CENCKIEWICZ O WYWIADZIE RZECE WAŁĘSY

Samooskarżenie megalomana

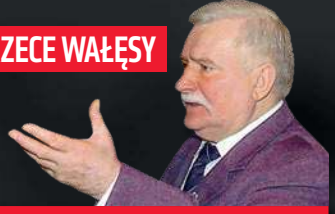

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 41/243 9–15 PAŹDZIERNIKA 2017

Czy za 80 lat nad Wisłą nie będzie Polaków?

100 LAT TEMU W FATIMIE ZATRZYMAŁO SIĘ SŁOŃCE

Podcięte skrzydła Ryanairu

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 103 tys. egzemplarzy

WYBORCY PAMIĘTAJĄ, KTO ZDRADZIŁ PIS

Prezydent Andrzej Duda odpowiada swoim krytykom na prawicy

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PARTNERZY STRATEGICZNI

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

PARTNERZY WYDARZENIA

LOTTO

FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

MECENAS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 71a92482cc

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mit niepolitycznych sędziów

Głównym argumentem przeciwników zmian przygotowanych przez PiS i prezydenta jest twierdzenie, że politycy nie powinni się mieszać do sądownictwa. Wara im od sądów! – wołają zwolennicy opozycji. Niezależnie jednak od tego, jak oceniać konkretne projekty reform – a sam kilka razy wskazywałem na ich słabe punkty – dążenie do zmian jest słuszne. Wszystkie badania pokazują niezadowolenie społeczeństwa z obecnego systemu sprawiedliwości i poparcie dla reform. System, który zasadzał się na całkowitej niemal autonomii sędziów, nie zdał egzaminu.

Ostatecznie, o czym tak często zapominają przeciwnicy projektów reform, źródłem wszelkiej władzy, a więc również władzy sądowniczej, jest naród. A sposobem, w jaki się on wypowiada, są wolne wybory – zarówno prezydenckie, i jak sejmowe. Dlatego politycy mają nie tylko prawo, lecz także wręcz obowiązek, żeby dotychczasowy niewydolny system, skoro nie cieszy się on szacunkiem i powszechnym poparciem, zmienić. W samej konstytucji nie ma nigdzie zakazu wyboru sędziów przez polityków, czy to przez Sejm, czy Senat, czy prezydenta. Nie można zmienić wadliwego systemu sprawiedliwości w sposób niepolityczny.

Nie ma innej drogi, chyba że wprowadzono by w Polsce wybory na sędziego. Tylko czy to dobre rozwiązanie? Łatwo sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji najwięcej zyskaliby najbogatsi, różnego rodzaju wpływowe grupy interesów, które mogłyby decydować o tym, komu powierzyć orzekanie. W polskiej kulturze politycznej zatem wprowadzenie głosowania powszechnego na sędziów pokoju wydaje się mało prawdopodobne.

Do tej pory 15 członków Krajowej Rady Sądownictwa wybierali sami sędziowie. Musiało to prowadzić do wzmocnienia ducha korporacji. Sędziowie zbyt często niezależność od polityków mylili z bezkarnością, a autonomię z wyobcowaniem. Zapominali, że istotą systemu sprawiedliwości musi być bezstronność również w osądzaniu błędów przedstawicieli swojego środowiska i że jej zachowaniu muszą służyć wszystkie inne instytucje. Czy to, że teraz wpływ na wybór członków sędziowskiej izby w KRS dostaną politycy, jest tożsame z zagrożeniem dla bezstronności? Czy Polsce może grozić sytuacja, że wybrani przez posłów sędziowie będą po prostu słuchać swoich politycznych mocodawców, jak to przedstawia opozycja? Krótko: Czy polityczność wyboru jest tożsama z utratą bezstronności? W żadnym razie.

Po pierwsze, istnieje coś takiego jak etyka zawodowa i charakter. Po drugie, nie da się ukryć, że na sędziów i tak największy wpływ ma ich własne środowisko, zdecydowanie rządzącej prawicy niechętne. Po trzecie wreszcie, i to jest rzecz najważniejsza, z samego faktu, że sędzia zostaje wybrany przez polityków, nie wynika jeszcze, że będzie im posłuszny. Szkoda, że cała polska debata polityczna skupiła się na tym jednym elemencie – na trybie wyboru sędziów, a nie na tym, co być może jeszcze bardziej istotne: na gwarancjach ich niezawisłości. Nawet w Stanach Zjednoczonych to prezydent wskazuje sędziów Sądu Najwyższego. Tyle że nie może ich później odwołać. Chociaż wybór jest polityczny, to późniejsza nieusuwalność gwarantuje, że raz wybrany przez polityka sędzia będzie rozstrzygać na podstawie prawa, zgodnie ze swym sumieniem i z wiedzą, a nie z wytycznymi pochodzącymi od wskazującego go prezydenta. Jednak ten system powstał po latach, wiekach wręcz, sporów oraz dyskusji i również nie jest idealny, a liczba jego krytyków rośnie.

To, z czym mamy do czynienia obecnie w Polsce, to nie zamach na demokrację, lecz przeciwnie – próba demokratyzacji również trzeciej władzy. I naturalne jest, że dokonują jej politycy. Czy im się ona uda, pokaże czas. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 71a92482cc

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ
WYBORCY PAMIĘTAJĄ, KTO ZDRADZIŁ PIS
Prezydent odpowiada swoim krytykom na prawicy

KRAJ

22 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
WAŁĘSA I RESZTA ŚWIATA
Najnowszy wywiad rzeka z Lechem Wałęsą jest paradoksalnie jednym wielkim aktem samooskarżenia

30 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM CZABAŃSKIM
OGRANICZYMY MONOPOL NA RYNKU MEDIÓW

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KOTWICE PIS

34 STEFAN SĘKOWSKI
REPRYWATYZACJĘ CZAS ZACZĄĆ

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TAK ZNIKAJĄ POLACY

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI
MACKI VAT-OWSKIEJ OŚMIORNICZKI

KULTURA

42 PIOTR SEMKA
GOMBRO À LA VENCE
Nowe muzeum Witolda Gombrowicza

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
KAZUO ISHIGURO Z LITERACKIM NOBLEM

46 ANDRZEJ HORUBAŁA
„MEFISTO" – POPŁUCZYNY PO „KLĄTWIE"

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 WOJCIECH POLAK
ZABIJANIE HUMANISTYKI
System punktowy dyskryminuje zajmujących się naukami humanistycznymi i społecznymi

58 ŁUKASZ WARZECHA
NA JAŁOWEJ ZIEMI

HISTORIA

62 ROZMOWA Z PIOTREM DOERRE'EM
„BŁĘDY ROSJI" WCIĄŻ NISZCZĄ ŚWIAT
Katolicki publicysta o aktualności orędzia z Fatimy

65 EWA K. CZACZKOWSKA, TOMASZ WIŚCICKI
MECHANIZM MORDERSTWA KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI

ŚWIAT

70 PIOTR GOCIEK
MACRON NA PUSTYNI
Europa dwóch standardów

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SYNOWSKIE UPOMNIENIE O HEREZJE

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ADIOS, KATALONIO

77 SZEWACH WEISS
POWRÓT DO NORMALNOŚCI

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
PODCIĘTE SKRZYDŁA SKANDALISTY
Czy kłopoty irlandzkiej linii lotniczej doprowadzą do upadku ekscentrycznego miliardera?

84 ŁUKASZ ZBORALSKI
MIESZKANIE NA WIELKI PLUS

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
SZPICZAK CZEKA NA LEKI
Leczenie nowotworu krwi

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (68), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 71a92482cc

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 71a92482cc

Szanowni Państwo!

W tym tygodniu listy dotyczące tekstów z naszych ostatnich numerów. Dziękujemy za wszystkie głosy. Pomagają nam one w codziennej pracy nad tygodnikiem.

Miejskie fiksacje

Bardzo dziękuję za artykuł pana Łukasza Warzechy („Do Rzeczy" 40/2017). Nie tylko kierowcy, lecz także zwykli mieszkańcy Warszawy padli ofiarą ideologii rowerowej i stali się... „kimś w rodzaju obywateli drugiej kategorii"... Jestem mieszkanką starej części osiedla Gołąbki. Jest to część Ursusa zabudowana domkami jednorodzinnymi. Atmosfera jest typowo podmiejska – cisza, spokój, większość mieszkańców się zna, ruch kołowy jest raczej niewielki.

W 2016 r. – jako realizacją zwycięskiego projektu budżetu partycypacyjnego (jego I edycji) – zostaliśmy „uszczęśliwieni" drogą dla rowerów na naszej ulicy. Nikt z mieszkańcami tego pomysłu nie konsultował, nie było nawet informacji, że taki projekt wygrał w konkursie. Pomalowano na czerwono fragment ulicy, z kontrapasem (nasza ulica była jednokierunkowa), postawiono znaki zakazujące jakiegokolwiek postoju czy parkowania. No i zaczął się codzienny koszmar. Nie możemy zatrzymać się przed własnym domem – na ścieżce rowerowej nie wolno, po drugiej stronie ulicy jest zakaz zatrzymywania się i postoju. W efekcie kilka razy dziennie muszę wjeżdżać do garażu i wyjeżdżać z niego, bo straż miejska bardzo pilnuje i chętnie wlepia mandaty. Nikt nie wziął pod uwagę tego, że po naszej ulicy jeździ autobus miejski. Na pewnym odcinku ulicy musi nawet wjechać na ścieżkę, ponieważ w tym miejscu jest ona bardzo wąska. Byłam świadkiem, jak młody rowerzysta „szedł na czołówkę" ze skręcającym autobusem. Głupota? Raczej bezmyślność i brak empatii dla mieszkańców. Nadmienię, że owa ścieżka nie ma dalszego ciągu, kończy się pętlą. Rowerzystów jest niewielu, nigdy na naszej ulicy nie było dużego ruchu rowerowego.

Ponieważ była to I edycja budżetu partycypacyjnego (w 2015 r.), niewiele osób miało pojęcie, jak rezultaty tej inicjatywy obywatelskiej wpłyną na ich codzienne życie. Rowerzyści (być może ideolodzy, o których pisze pan Warzecha) z innych dzielnic Warszawy, głosując na ten projekt, uszczęśliwili nas na siłę.

Apeluję zatem o przyglądanie się projektom w budżecie partycypacyjnym i czujność, aby pomysły innych nie stały się dla Państwa problemem dnia codziennego.

Pozdrawiam
Anna Jakubik

Porucznik Deyna na celowniku bezpieki

Do artykułu Grzegorza Majchrzaka („Do Rzeczy" 39/2017) wkradła się drobna nieścisłość. Kazimierz Deyna i oczywiście cała reprezentacja Polski na MŚ w piłce nożnej w 1974 r. zdobyli srebrny medal. Wiem, że zajęcie trzeciego miejsca powszechnie kojarzy się z brązem (jak napisał autor), jednak – podobnie jak w przypadku mundialu w 1982 r. w Hiszpanii – zwycięzca tzw. małego finału otrzymywał srebrny medal, zaś pokonana, czyli czwarta, drużyna honorowana była brązem.

Mistrz świata otrzymywał złoto, zaś pokonany w finale wicemistrz pozłacane medale. Stąd takie – inne niż zazwyczaj w sporcie – krążki.

Niestety, podczas następnych mundiali odstąpiono od tego i teraz czwarta drużyna „w pełni czuje czarę goryczy tego miejsca", zostając z gołymi rękoma, zaś trzecia faktycznie otrzymuje medale brązowe. Wówczas jednak, gdy Polacy sięgali po te trofea, za trzecie miejsce było srebro.

Swoją drogą, kiedy znowu nasze orły zameldują się choćby w półfinałach imprezy rangi mistrzowskiej?

Pozdrawiam serdecznie Autora i cały Zespół!

Z poważaniem
Jan Fedirko

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL
REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Artur Szczepański/Reporter, oprac. graf. JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW
Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 103 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 71a92482cc

WOJCIECH WYBRANOWSKI

FELIETON

Brud spod kamienic

O problematycznym przejmowaniu kamienic w wielu miastach Polski głośno było od dawna. Tyle że sprawdzać prawidłowości ich przebiegu przez osiem lat rządów PO-PSL nie było komu.

A jak już sprawdzano, jak to z reprywatyzacją było, to najczęściej tak jak w Warszawie, bardziej – by sprawę zmieść pod dywan i wyciszyć niż żeby coś faktycznie odkryć. Polityczna zasłona, indolencja, lokalne układy gwarantowały nietykalność ludziom, którzy nigdy za mienie publiczne nie powinni być odpowiedzialni. Teraz wystarczy trochę pogrzebać, by zza tej kotary uniósł się woniejący zapaszek strachu przed odpowiedzialnością karną za niedopełnienie obowiązków. Strachu, który powoduje, że stołecznej prezydent miękną nogi i nie jest w stanie dojść na posiedzenie komisji weryfikacyjnej, lęku paraliżującego tak bardzo, że po ujawnieniu przez „Do Rzeczy" informacji potwierdzających, że dobrze wiedziała o roszczeniach reprywatyzacyjnych i działaniach podległych jej urzędników, Gronkiewicz-Waltz unika dziennikarzy i chowa się za bałamutnym oświadczeniem na fejsbukowym profilu.

Pani prezydent pisze tam o „rzetelnym i przejrzystym nadzorze systemowym". Jak to wyglądało? Ano tak jak w protokole z przeprowadzonej w 2014 r. kontroli działań „reprywatyzacyjnych" podejmowanych wcześniej przez Jakuba R., byłego wicedyrektora BGN. „Nie stwierdzono nieprawidłowości" – czytam w dokumencie podpisanym przez Hannę Gronkiewicz-Waltz. Tyle tylko że dziś Jakub R. i jego rodzina siedzą w areszcie, a podwładny pani HGW ma prokuratorskie zarzuty. Tajemnicą poliszynela jest, że miejscy urzędnicy „nie stwierdzali" nieprawidłowości w wielu zagadkowych przypadkach przejęć „spadkowych" kamienic w innych miastach. Mówi się tu o Krakowie, Łodzi, Poznaniu... Dobrze, że rusza zapowiedziana przez ministra Ziobrę prokuratorska kontrola „reprywatyzacji" krakowskich, w kolejce czekają też inne miasta. Czas posprzątać bałagan nieruszany co najmniej od ośmiu lat. ©℗

REKLAMA

Muzeum Narodowe w Krakowie, Gmach Główny, al. 3 Maja 1

Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

niepodległa

Wystawa dofinansowana ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu „Niepodległa"

Partnerzy / Partners

Rzeczpospolita Polska Ministerstwo Spraw Zagranicznych

41 WHC Poland 2017

Wystawa towarzyszy 41. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa.

Mecenas Muzeum Narodowego w Krakowie

PZU

Patroni medialni

TVP · Polskie Radio · Radio Kraków · Gość · Polska Press Grupa · Kanał 1 · Local Life · www.Kraków.pl · inyourpocket · telewizjaM · TVM · onet

Jan Świtka, *Tłum – Sytuacje – Obraz pierwszy*, 1974
olej, płótno; Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl 71a92482cc

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Między Katalonią a RAŚ

Dramatyczne wydarzenia w Katalonii skłaniają wiele mediów do postawienia pytania: Czy Ruch Autonomii Śląska może być u nas przyczyną podobnie ostrych konfliktów?

Zacznijmy od różnic. Sytuacja w Katalonii dotyczy narodu historycznie od wielu wieków związanego na zasadzie autonomii lub unii personalnej z koroną hiszpańską albo jej bezpośrednio podporządkowanego. Narodu, którego niemal połowa gotowa jest poprzeć hasło pełnej niepodległości. W wypadku RAŚ nie sposób stwierdzić nawoływania do secesji, ale stawiany jest postulat autonomii w formie zbliżonej do statusu województwa śląskiego z lat 1922–1939.

A podobieństwa? Zacznijmy od wyraźnego kibicowania niepodległościowym dążeniom części Katalończyków, które od lat widać na portalach RAŚ. W czasie rozmowy w Radiu Piekary 3 października br. prowadzący wywiad Marcin Zasada zapytał Jerzego Gorzelika, lidera RAŚ, o zaakceptowaną także przez Katalonię hiszpańską konstytucję z 1978 r. zastrzegającą integralność kraju. „Każda umowa może podlegać renegocjacji" – odrzekł Gorzelik. I dodał: „Mamy do czynienia z lekcją, że brak dialogu i zatwardziałość polityczna centrum prowadzi do eskalacji konfliktu". W opinii lidera RAŚ większość winy jest po stronie Madrytu, który nie spełnił uzasadnionych żądań Katalończyków w kwestii osobnego budżetu.

Słowa lidera RAŚ pokazują sposób myślenia aktywistów „nowych narodów". Centrala ma tylko obowiązki, a secesjoniści mają prawo do ruchomego horyzontu zadań. Przecież zawsze można oskarżyć centralę, że nie spełnia uzasadnionych żądań.

Jeden z publicystów o śląskich korzeniach napisał niedawno: „Kto wciąż bezmyślnie łączy RAŚ z Katalonią, ten nie rozumie Śląska i w końcu kiedyś sobie wyhoduje »kataloński problem«". A może jest inaczej? Może do kryzysu musi prowadzić przekonanie, że każdy może uznać się za mniejszość, a ta z definicji musi mieć rację?

Na Górnym Śląsku Platforma Obywatelska od ponad 15 lat kłania się Kazimierzowi Kutzowi, który głosi „śląską krzywdę" ze strony Warszawy. Podobną politykę prowadziła hiszpańska lewica. Gdyby na Śląsku RAŚ był silny, prowadziłby taką samą politykę co katalońscy zwolennicy irredenty. Na szczęście mądrzejsi od lokalnej PO są sami Górnoślązacy, którzy jak dotąd nie kupują haseł Gorzelika.

Jednak lokalne elity liberalne, mimo kiepskich wyników RAŚ w wyborach samorządowych – od dwóch dekad zginają posłusznie kark nawet przed najbardziej skandalicznymi tezami RAŚ. W Katalonii też zginano kark, aż doszło do zderzenia czołowego.

Teraz zwolennicy RAŚ głoszą, że to porównywanie RAŚ z katalońskimi radykałami grozi wybuchem. Jest dokładnie na odwrót – to brak polemiki z ugrupowaniem Gorzelika powoduje, że przejmują oni władzę nad językiem debaty publicznej o Górnym Śląsku. I tak, jak czynią to katalońscy radykałowie, pozwala stawiać bałamutny znak równości między RAŚ a Ślązakami.

Szkoda, że prawda ta dociera do większości Polaków tylko wtedy, gdy widzą, co się dzieje w innych krajach, gdzie gra się kartą separatyzmu. A z RAŚ trzeba polemizować na co dzień, a nie tylko wtedy, gdy przed oczyma stają niepokojące analogie. ©℗

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/FOTO OLIMPIK/REPORTER

LEWANDOWSKI KRÓLEM STRZELCÓW

Aż trzy gole strzelił Robert Lewandowski podczas meczu z Armenią. W sumie nasz kapitan zdobył w reprezentacji już 50 bramek. „Lewy" wyprzedził tym samym Włodzimierza Lubańskiego, który dzięki 48 strzelonym golom zajmował pierwsze miejsce w księdze rekordów prawie 40 lat. Lewandowski ma też szanse zostać królem strzelców eliminacji mistrzostw świata. W piątek był już lepszy nawet od Ronaldo. *(jap)* ©℗

CYBERSEC W KRAKOWIE

PATRONAT DO RZECZY

Od 9 do 10 października w Centrum Kongresowym ICE Kraków odbywa się jedna z najważniejszych konferencji o cyberbezpieczeństwie na Starym Kontynencie. Podczas III Europejskiego Forum Cyberbezpieczeństwa – CYBERSEC – o zagrożeniach, rozwiązaniach wzmacniających bezpieczeństwo oraz wspierających rozwój innowacyjnej gospodarki UE debatuje 130 prelegentów oraz ponad 1000 uczestników z całego świata, m.in. minister cyfryzacji Anna Streżyńska, unijny komisarz ds. bezpieczeństwa sir Julian King. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

Nowe szanse dla polskiej nauki i szkolnictwa wyższego

Uwolnienie potencjału polskiej nauki oraz przywrócenie wartości dyplomu uzyskanego w Polsce to jedne z celów przebudowy systemu szkolnictwa wyższego i nauki. Jarosław Gowin zaprezentował we wrześniu Konstytucję dla Nauki, czyli projekt reformy, która powstała z inicjatywy oraz we współpracy ze środowiskiem akademickim. Prace nad nową ustawą przebiegały wzorcowo, ponieważ trwały ponad rok w oparciu o liczne debaty, konsultacje i dyskusje. Teraz wypracowana propozycja znajduje się na etapie konsultacji społecznych, a ze wszystkimi zmianami można zapoznać się na stronie www.konstytucjadlanauki.gov.pl .

Konstytucja dla Nauki to reforma szkolnictwa wyższego i nauki uwzględniająca m.in. nowy model skutecznego zarządzania uczelniami, zmianę kształcenia doktorantów, nowe ścieżki kariery akademickiej, łączenie potencjału dyscyplin naukowych, a także zwiększenie finansowania nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce.

LEPSZE KSZTAŁCENIE DLA STUDENTÓW

Obecnie zauważalne jest niedopasowanie struktury systemu szkolnictwa wyższego do wyzwań społecznych i gospodarczych. W badaniach Bilansu Kapitału Ludzkiego, prowadzonych w latach 2009-2014 w warunkach wysokiego bezrobocia, ponad 3/4 pracodawców poszukujących pracowników wskazywało, że nie może znaleźć osób o właściwych kompetencjach. Dlatego nowe regulacje wzmacniają rolę studiów o profilu praktycznym oraz ułatwiają prowadzenie studiów interdyscyplinarnych. Reforma utrzymuje także dotychczasowe przywileje studentów oraz wprowadza nowe rozwiązania w zakresie realnej ochrony praw studenta.

WAŻNA ROLA DYDAKTYKÓW W SZKOŁACH WYŻSZYCH

Reforma docenia wybitnych dydaktyków i tworzy dla nich równorzędną (z naukową) ścieżkę kariery akademickiej. Konstytucja dla Nauki znosi obowiązek habilitacji, jednak sam stopień utrzymuje. Nowym rozwiązaniem wprowadzanym przez reformę jest ułatwiony proces uzyskiwania habilitacji dla najwybitniejszych badaczy, którzy uzyskają prestiżowe granty naukowe.

NOWY MODEL KSZTAŁCENIA DOKTORANTÓW

Całkowitej przebudowie ulega model kształcenia doktorantów w Polsce. Od 2008 roku liczba uczestników stacjonarnych studiów doktoranckich wzrosła o blisko 60%. Mimo to, liczba nadawanych stopni doktora zatrzymała się na poziomie ok. 6 tys. rocznie. Konstytucja dla Nauki wprowadza szkoły doktorskie oraz zachowuje tryb tzw. z wolnej stopy. Liczne projakościowe rozwiązania zapewnią odpowiedni poziom kształcenia, a powszechny system stypendialny ułatwi start młodym naukowcom.

ZWIĘKSZENIE AUTONOMII UCZELNI

Reforma podnosi znaczenie statutu uczelni, dzięki czemu to szkoła wyższa będzie realnie decydowała o wielu aspektach wpływających na swój rozwój. Konstytucja dla Nauki pozostawia najważniejszą tradycję wolności akademickiej - to sama wspólnota uczelni będzie wybierała swoje władze oraz wyznaczała kierunki rozwoju szkoły. W tym ma pomóc nowy organ – rada uczelni, której połowa członków będzie spoza szkoły wyższej.

DODATKOWE FINANSOWANIE

Konstytucja dla Nauki to również znaczne ułatwienia w prowadzeniu elastycznej gospodarki finansowej uczelni. Dzięki integracji strumieni finansowania szkoły wyższe nie będą musiały już „znakować każdej złotówki". Dodatkowo Ministerstwo uruchomi dwa konkursy grantowe. Mając na uwadze zasadę zrównoważonego rozwoju przewidziano finanse dla tzw. „wysp doskonałości". Regionalne uczelnie, które będą prowadziły badania na wysokim poziomie w wybranej dyscyplinie, będą mogły starać się o dodatkowe finansowanie na okres 4 lat.

KONSTYTUCJADLANAUKI.GOV.PL

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 71a92482cc

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niech szczezną fizycy

Po „Gazecie Wyborczej" od dawna już trudno spodziewać się czegoś mądrego, ale trzeba przyznać, że jej komentarz do tegorocznych Nagród Nobla przebił dotychczasowe standardy politpoprawności. Na tegoroczne werdykty zareagowała mianowicie „Gazeta" stwierdzeniem, że „znowu nagrody dostała grupka starszych, białych mężczyzn".

Ponieważ Nobla w dziedzinie literatury dostał w tym roku co prawda mężczyzna, i to, można powiedzieć, starszy, ale jednak żółty, krytykę tę uznać należy za dotyczącą nagród w naukach ścisłych. I tu po prostu otwiera się bezbrzeżne morze głupoty, wyhodowanej przez formację, którą zwykłem nazywać „michnikowszczyzną" – i której redaktor Piotr Cieśliński, autor cytowanych słów, jest tylko jednym z wielu przykładów.

Oto nagroda, w rozumieniu gazety, stała się jednym z praw człowieka. Po prostu należy się każdemu, a jeśli nie każdemu, to przynajmniej każdy powinien mieć w niej udział przez swojego przedstawiciela. Jak w tzw. sejmie PRL, gdzie dobierano posłów z klucza „reprezentatywności", aby była w nim odpowiednia liczba włókniarek, górników strzałowych, robotników rolnych i inteligentów pracujących. Odpowiednia liczba Nobli za osiągnięcia w fizyce, ekonomii czy matematyce należy się jak psu buda mniejszościom etnicznym i seksualnym – kolorowym, lesbijkom czy pigmejom.

Nie można redaktora Cieślińskiego tak do końca wyśmiać, bo przecież postulowany przez niego mechanizm tak naprawdę już od dawna w noblowskim jury działa – z tym, że tylko w części objętych nagrodą dziedzin. Jakiż mógłby być inny powód przyznania nagrody literackiej oczywistym grafomanom, jak Elfriede Jelinek czy Dario Fo, lub miernotom, jak Toni Morrison, niż spełnienie klucza etniczno-płciowego? A co mówić o nagrodzie pokojowej, dystrybuowanej tak, że fundator przewraca się w grobie?

Niestety, z naukami ścisłymi jest gorzej. Zanim ktoś w nich cokolwiek osiągnie, zdąży się zestarzeć. No i jak na złość, nie osiągają w nich nic czarne lesbijki ani różnego rodzaju perwersi. Haniebna sytuacja.

Nie pozostaje nic innego niż po prostu nagrody w tych dziedzinach zlikwidować. I zamiast za fizykę czy chemię przyznawać je, na przykład, za gorliwość. Wtedy redaktor Cieśliński z „Gazety Wyborczej" będzie miał spore szanse. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tolerancji

W wielu włoskich przedszkolach oszołomione miazmatami gender przedszkolanki zaczęły stroić chłopców w sukieneczki, a dziewczynki w spodnie. Chłopcy dostali do zabawy lalki, a dziewczynki samochodziki. Wszystko w imię postępu. Gdy rodzice dowiedzieli się, że ich dzieci biorą udział w eksperymencie wychowawczym, wybuchła awantura i wróciła normalność.

Niemniej jednak postępowa teoria płci jest już dogmatem wiary postępowców i przekroczyła progi szkół. Wydawałoby się, że teoria, jak każda inna, może być przedmiotem dyskusji w ramach gwarantowanych przez konstytucję swobód. Ale okazało się, że nie.

Kilka organizacji posłało w Italię „Autobus wolności" z napisem: „Chłopcy są płci męskiej, a dziewczynki – żeńskiej. Natury się nie wybiera" oraz też „#StopGender w szkołach". Postępowy burmistrz Neapolu, gdy się zwiedział o tych napisach, wycofał pozwolenie na postój, ale uczynił to niezgodnie z prawem. Wysłał więc swego totumfackiego, który ostrzegł załogę autobusu, że nadciąga pospolite ruszenie postępowców i środowisk LGBT z kijami bejsbolowymi i butelkami z benzyną. Gdy uzbrojone siły postępu, którym nie stanął na drodze ani jeden policjant przybyły na miejsce, autobusu już tam nie było.

W prasie można wyczytać, że „Autobus wolności" to „prowokacja i nienawistna kampania homotransfobii" („Il Fatto Quotidiano") i „kampania agresywnej nietolerancji" („La Repubblica"). Wiele organizacji progresistów, antyfaszystów i LGBT wystąpiło z apelem do władz, by nie było w Italii miejsca dla tych, którzy „wykluczają, dyskryminują, prowokują i zniesławiają".

Tak dialoguje włoski obóz postępu. Ręce i piersi opadają. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 71a92482cc

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dramat lewicy: ma tylko Biedronia

Jakiś czas temu w „Saloniku Politycznym" w telewizji Republika, w którym akurat byłem gościem, gospodarz programu Rafał A. Ziemkiewicz zaproponował ryzykowny kierunek dyskusji: „Spróbujmy teraz skupić się na poważnych pomysłach, które opozycja ma". Już samo to sprawiło, że zacząłem się śmiać. Gdy zaś Rafał rzekł: „Poważny pomysł jest taki, żeby kandydatem na prezydenta był prezydent Słupska Robert Biedroń", dostałem niepohamowanego ataku śmiechu.

Właściwie tak samo mógłbym zareagować na deklaracje Aleksandra Kwaśniewskiego, który we „Wprost" stwierdził: „[Biedroń] Ma talent, umie zjednywać ludzi. Ma wszelkie szanse, żeby być poważnym polskim politykiem, do prezydentury kraju ma jednak jeszcze daleką drogę. […] Jeśli nawet nie wygra wyborów prezydenckich, ale uzyska w nich dobry wynik, to może zostać naturalnym liderem lewicy". Z kolei w „Super Expressie" Włodzimierz Czarzasty mówi: „Robert Biedroń ma wielkie szanse być kandydatem lewicy na prezydenta. Musi tylko powiedzieć, że jest tym zainteresowany". Biedroń, jak się zdaje, zainteresowany jest, choć lekko się kryguje.

Jedyne, co lewicy pozostaje, to pójście w stronę egzotyki światopoglądowej

Pompowanie Biedronia zaczęło się miesiące temu. Jeszcze w maju Onet publikował sondaż, z którego wynikało, że gdyby w II turze wyborów prezydent Słupska starł się z Andrzejem Dudą, przewaga tego drugiego wyniosłaby jedynie 0,2 pkt (ale bez niezdecydowanych).

Jeżeli faktycznie najlepsze, co ma do zaproponowania lewica, to pierwszy homoseksualista Rzeczypospolitej, lansujący obowiązkowy zestaw lewackich fobii i pomysłów, to istotnie można tylko wybuchnąć śmiechem. A może i trochę polityków lewej strony pożałować, bo przecież ogromną część dawno już zapomnianych, ale jednak z gruntu lewicowych postulatów społecznych przejął lub już realizuje PiS. W tej sytuacji faktycznie jedyne, co lewicy pozostaje, to pójście w stronę egzotyki światopoglądowej (która szczęśliwie egzotyką jest właśnie w Polsce, choć już nie na Zachodzie) w stylu towarzysza Zandberga.

Gdyby „Do Rzeczy" było tabloidem, na pierwszej stronie powinni się pojawić Czarzasty, Kwaśniewski, Zandberg i Biedroń oraz wielki, jaskrawy tytuł: „Dramat lewicy! Chcą rządzić, a mają tylko Biedronia". Ponieważ jednak tabloidem nie jesteśmy, musi wystarczyć mniejszy tytuł nad tym tekstem. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT

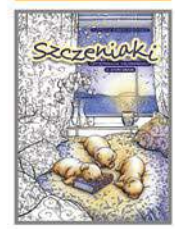

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 15 października 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 25,90 zł

2.
~~469,00 zł~~ 275,00 zł

3. 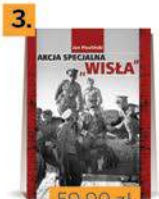

~~59,90 zł~~ 41,50 zł

4.

~~39,90 zł~~ 25,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 22,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 71a92482cc

KTO ZMUSZA DO MYŚLENIA

O tym, że Paulina Młynarska nie lubi PiS i się go boi, wiemy nie od wczoraj. Opowiedziała już o tym w tysiącu wywiadów. Podobnie jak o tym, że Jarosław Kaczyński jest złem wcielonym, a Polska musi się przebudzić, żeby to zrozumieć. W najnowszym wywiadzie Paulina wyznaje jednak, że są rzeczy, za które jest PiS i Kaczyńskiemu wdzięczna!

– Jestem więc PiS bardzo wdzięczna za doświadczenie frustracji, która pobudziła wiele osób do myślenia – wyznała. Po czym sprecyzowała, że wśród tych osób jest – a jakże! – ona sama! – Jarosław Kaczyński zmusza mnie do myślenia i do aktywności publicystycznej, intelektualnej. Z punktu widzenia czysto zawodowego to jest wyzwanie. Zresztą uważam, że lista rzeczy, za które powinniśmy być wdzięczni Jarosławowi Kaczyńskiemu i formacji PiS, jest bardzo długa – wyznała. Okrutny ten Jarosław. Żeby tak na siłę, wbrew woli, zmuszać ludzi do myślenia! Nie ma serca.

BUŁKA Z MASŁEM

Kasia Tusk wydaje kolejną książkę. Po poradniku dobrego stylu teraz chce nauczać, jak robić ładne zdjęcia. Ładne, czyli takie jak Kasia zamieszcza na swoim blogu. I tak np. Tuskówna radzi, jak zrobić atrakcyjne zdjęcia potrawie, którą się właśnie spożywa. – „Jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć pomyśl, jakie cechy charakterystyczne będzie miało twoje danie. Chleb ma ciekawą fakturę, ale mdły kolor, pizza na zdjęciach wygląda dobrze tylko od góry, bo jest płaska (musisz więc przygotować się do pracy na wysokościach albo ustawić blat na podłodze), koktajl owocowy nie ma ani struktury, ani kształtu, ma za to kolor" – fachowo radzi Tuskówna. Przy czym przestrzega przed przekombinowaniem zdjęcia. Bo, jak czytamy, aby oddać urodę chleba, nie trzeba wiele. „Połóż go na drewnianej desce, dodaj ładną ściereczkę, ukrój kromkę, dzięki czemu pokażesz środek, a okruszków nie zbieraj – to podkreśli, że chleb jest chrupiący" – podpowiada. I ostatnia rada: „Nie sil się na wydumane dodatki, bo nie będą wyglądać naturalnie. Kostka masła i ładny nożyk naprawdę zrobią swoje!".

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ CROMADA

To wspaniałe, że wiemy już, jak zrobić piękne zdjęcie chleba! A to, że nie wiemy, po co mielibyśmy je robić, to sprawa całkiem drugorzędna.

ZABÓJCZY POMPON

Niestety, okazuje się, że biznesy Kasi Tusk przeżywają poważny kryzys. I to wcale nie za sprawą kuriozalnej książki o tym, jak zrobić zdjęcie chleba, lecz za sprawą czapek. Jednak od początku. Tuskówna oprócz tego, że prowadzi bloga i pisze ambitne książki, wypuściła także własną kolekcję ubrań. I zaliczyła wpadkę z czapką, która ma pompon zrobiony z naturalnego futra. Naturalnego! A wiadomo, co to oznacza. Hejt od prawa do lewa. „Wstyd! Zabijać zwierzęta na co? Na pompon do czapki?", „Piesek, kotek to miłość, a inne zwierzaki może obedrzeć ze skóry dla pompona?", „Puszczę chronić, ale jenoty na czapeczki zabijać?" – tak piszą do Kasi zniesmaczone internautki, nawiązując przy okazji do jej ostatnich apeli w obronie Puszczy Białowieskiej. Cytują to największe portale plotkarskie, a Kasia nabrała wody w usta i myśli, jak wyjść z całej afery z twarzą. Polityka podobno najłatwiej zabić gazetą. Okazuje się, że córkę polityka prościej trafić pomponem.

DOBRA ENERGIA JULII

Aktorka Julia Wyszyńska, odtwórczyni jednej z głównych ról w wulgarnym i obrażającym uczucia religijne spektaklu „Klątwa", narzeka, że po całym zamieszaniu, które wybuchło jakiś czas temu wokół tego przedstawienia, odczuwa nieustanny strach. – Boję się nieprzewidzianej reakcji publiczności. Za kulisami, jakieś dwa metry ode mnie, stoi pan Marek, nasz agent ochrony. Od niedawna mamy bramki do wykrywania metalu i strach jest mniejszy, ale i tak za każdym razem boję się, że ktoś do mnie strzeli – żali się Wyszyńska. Jednak to nie koniec tych wynurzeń. – Uruchomiły się we mnie stany lękowe. Zdałam sobie sprawę, że ludzie wysyłają w moim kierunku strasznie złą energię – skarży się. A przecież ona, odgrywając scenę seksu oralnego z figurą Jana Pawła II, wysyła do świata i ludzi wyłącznie dobrą energię. Zwłaszcza do katolików! ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwa właśnie dyskurs na temat zasadności cofnięcia zegarków o godzinę w ostatni weekend października i w efekcie dołożenia dodatkowej godziny.

Otósh jesteśmy zdecydowanie przeciw zmianie czasu na zimowy, iż cofnięcie zegarków o godzinę oznacza, iż przez godzinę dłużej będziemy musieli znosić krwawy reżim kaczystowski. A jak wiadomo, każda godzina trwania reżimu to kolejne aresztowania, internowania, zsyłki i kolejni ateiści zmuszani do udziału w rekolekcjach.

Do wyborów natomiast pozostały jeszcze dwa lata i nietrudno policzyć (chyba iż ktoś ma zaawansowaną dyskalkulię), iż w ten sposób zyskujemy dodatkowe dwie godziny pod reżimem Kaczafiego. Jeśli więc będzie trzeba, to ogarniemy na szybko jakiś protest w obronie czasu, który rząd chce nam zawłaszczyć!!!

Ofkors nie mogło nas zabraknąć na czarnym proteście zorganizowanym z okazji rocznicy czarnego protestu. W tym roku zebraliśmy się w imię obrony praw reprodukcyjnych kobiet, które są zmuszane w tym kraju do zachodzenia w ciążę, rodzenia dzieci, urlopu macierzyńskiego, a następnie i tak bite kablem od żelazka, głównie końcówką z żelazkiem.

Tym razem jednak postanowiliśmy wziąć udział w proteście mentalnie, iż dzień był zimny, a sojowe latte przyjemnie rozgrzewało nas za szybą starbusia. Postanowiliśmy więc wysłać pozytywną energię płynącą prosto z naszych mentalnych osobosiostrzanych wagin. Podobnie jak my musiało pomyśleć wiele frendziar z kolektywu, iż frekwencja na miejscu protestu nie okazała się liczebnie imponująca.

Jesteśmy zdecydowanie przeciw zmianie czasu na zimowy

Mamy już też plan na kreatywną akcję protestacyjną na przyszłoroczny protest. Ubierzemy się na czarno, przyniesiemy parasolki i będziemy skandować „NIEDLA dyktatury kobiet" i „P...lę, nie rodzę". Już się cieszymy na to, jaki wyjątkowy event się szykuje!

Iż do Krakowa wrócili studenci, życie od razu stało się radośniejsze i bardziej kolorowe. Momentami czujemy się nawet na ulicach wśród roześmianej młodzieży jak na jakimś Erasmusie, ale niestety dominują raczej przyjezdni z Nowego Sącza, Tarnowa i Jasła, a nie z Francji, Belgii, Holandii czy innego nowoczesnego społeczeństwa :(

W każdym razie cieszymy się, iż już niebawem pewnie ktoś dołączy do naszego teamu sprzedażowego w ramach bezpłatnych praktyk. Iż ostatnio zepsuł nam się ekspres do kawy, a Nowy z Tarnowa stracił czujność, potrzebujemy kogoś, kto dwa razy dziennie pobiegnie do starbusia i zapamięta listę zamówień dla naszego teamu.

Mamy tylko nadzieję, iż nie skończy się tak, że Nowy każe robić kawę sypaną z dwóch łyżeczek, podaną w szklance z plastikowym koszyczkiem. Takie praktyki to nikomu do niczego się nie przydadzą :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 71a92482cc

dwaj panowie g

Z zainteresowaniem czytamy rozmaite publikacje o tym, jak zły Kaczor Dyktator za pomocą marszczenia brwi i tupania nogą zmusił prezydenta Andrzeja Sebastiana do rezygnacji z większości prezydenckich pomysłów na sądy. Wiewiórki zbliżone do pałacu opowiadają, że za zamieszanie odpowiada KatoKrólik, czyli prof. Michał Królikowski. Nie tylko był przedstawiany w tefauenach jako „doradca prezydenta", lecz także propagował rozmaite pomysły własne, sugerując, że to pomysły prezydenta. Andrzej Sebastian nie potraktował ich poważnie, no i teraz te królikopomysły dostały drugie życie jako rzekome ofiary kaczystowskiego okrucieństwa.

Uwaga! Wstrętna plotka! Źli ludzie opowiadają, że istnieją dwa konkurencyjne projekty ustawy o dekoncentracji mediów. Jeden ministerstwa kultury, a drugi – ziobrystów. Cechy wspólne obu projektów? Nie zostaną wprowadzone w życie. Nie dlatego, że istnieje trzeci projekt, który pogodzi jednych i drugich, ale dlatego, że w obozie dobrej zmiany stygnie ochota na dekoncentrację vel repolonizację.

Bufet w sądach na Lesznie jest niezwykle ciekawym miejscem, gdzie od czasu do czasu przesiadują nasze wiewiórki. Zasłyszały one rozmowę orłów Temidy, które rozprawiały o składzie orzekającym w sprawie apelacji Marka Falenty, oskarżonego w aferze taśmowej. Z rozmowy wynikało, że skład ma być wyznaczony tak, żeby nawet rozgrzani sędziowie Tuleja i Łączewski zdawali się w porównaniu z jego członkami łagodni jak baranki. Sprawiedliwość musi być bowiem po stronie ośmiorniczek. Czyli Falenta musi iść do paki.

W zupełnie innym warszawskim bufecie usłyszeliśmy inną ciekawą informację. Rozmawiali ze sobą dwaj panowie, którzy dostali propozycję wzięcia udziału w grupie rekonstrukcyjnej. I nie byli to militaryści. Chodzi o rekonstrukcję rządu Bełaty, organizowaną z okazji połowy kadencji. I – co ciekawe – panowie mieliby objąć resorty, których dotąd w kontekście rekonstrukcji w ogóle nie wymieniano.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nie oznacza to, że nasz ulubieniec, Witold Waszczykowski vel Srebrny Lis Dyplomacji, może spać spokojnie. Źli ludzie mówią, że zbiór zastrzeżony IPN krył tajemnice, o których wcześniej nawet nie szeptano.

Tymczasem Srebrny Lis Dyplomacji został totalnie zaskoczony poprawką do ustawy o dyplomacji. Witold się wściekł, bo wprowadzenie jakiejś poselskiej rady konsultacyjnej wygląda tak, jakby ktoś zamiast przyspieszenia dekomunizacji marzył o jej zastopowaniu. Nigdy nie myśleliśmy, że to powiemy, ale nie tylko rozumiemy Srebrnego Lisa. My go nawet popieramy. W tej sprawie.

Apelujemy do kolegów z rozmaitych redakcji – przestańcie robić gwiazdę z niejakiego Rzepeckiego Łukasza, czyli młodzieńca wyrzuconego niedawno z klubu PiS. Za każdym razem, kiedy podstawiacie mu pod twarz mikrofon, to tak, jakbyście podstawiali mikrofon Marcinowi Mastalerkowi. A Mastalerek przecież nie jest nawet

eprasa.pl 71a92482cc

posłem. Z jakiej zatem niby paki miałby brylować w mediach?

Kraków, królewskie miasto. Jednak kto będzie nowym królem? Nikt nie chce kandydować na prezydenta, bo wszyscy uważają, że i tak wygra Majcher IV, zamieniając się w Majchra V. Wiewiórki opowiadają jednak, że Jacek Majchrowski wcale jeszcze nie podjął decyzji, by bić się o piątą kadencję. Po 15 latach bycia królewskim Majchrem ma już trochę dosyć. Te rozterki wprawiają w popłoch przedstawicieli Eine Totale Opposition. Koledzy z totalnej nie mają bowiem totalnie żadnego pomysłu, kto w takim przypadku mógłby powstrzymać PiS w Krakowie.

Sensacja rewelacja! Niektóre gazety i Internety publikują teksty oparte na „nieoficjalnych przeciekach", wedle których PiS rozważa wystawienie w Krakowie Małgośki Wassermann. Czujemy się z tego powodu strasznie staro, bo uświadomiliśmy sobie, że pisaliśmy o tym, zanim Kraków uzyskał prawa miejskie. Pozdrawiamy gazety i Internety, podpowiadając jednocześnie, że według nieoficjalnych przecieków prezesem PiS jest Jarosław Kaczyński.

W Warszawie sygnał do rozpoczęcia boju o stolec prezydenta stolicy dał najsłynniejszy Guziec miejski, czyli Piotr Guział, niegdyś burmistrz Ursynowa. Guział objawił się na pierwszej stronie darmowej gazety „Informator Stolicy", rozdawanej na ulicach miasta i służącej do zawijania ryb oraz wycierania szyb. W obszernym wywiadzie mówił, że jest źle, a powinno być gorzej, oraz krytykował jednowładztwo, czyli dyktaturę. Mamy dla Guźca złą wiadomość – w stolicy o głosy elektoratu lewicowego będzie walczyło jeszcze tak z 800 kandydatów.

Kukizowcy z kolei do boju o Warszawę rzucą Stanisława Tyszkę, gdyż podobno najbardziej chce. Nie jest to do końca prawda. Marek Jakubiak też najbardziej chce, ale niektórzy kukizowcy tego nie chcą. Na przykład Tyszka.

Tak czy inaczej pożegnamy Hankę Bufetową. I to z hukiem, bo na rynek wydawniczy ma niebawem trafić bestseller – jego autorem będzie Marcin Bajko, posiadacz gigantycznej wiedzy na temat przewałów w warszawskim ratuszu. Bajko to były szef Biura Gospodarki Nieruchomościami. Wiele ciekawych rzeczy opowiedział już przed komisją Jakiego, ale te, które opowiada w książce, będą jeszcze ciekawsze.

Tymczasem w Poznaniu. Tutaj miało być pięknie, bo na przyszłego prezydenta miasta typowano Aśkę Schmidt, ale od czasu jej wyprawy na Maderę z Ryśkiem Petru koncepcja się zmieniła. Wiewiórki mówią, że kandydatką Nowoczesnej będzie na bank inna blondynka – Katarzyna Kierzek-Koperska, która w 2015 r. kandydowała do Senatu.

Kandydatka Kierzek-Koperska to bardzo ciekawy przypadek. Od półtora roku żyje we wnętrzu komputera Jarosława Kaczyńskiego. Tak można wywnioskować z jej deklaracji, którą złożyła w lutym 2016 r., podczas poznańskiej manifestacji przeciw rządowi i „ustawie inwigilacyjnej". – Jutro nastanie Matrix, będę jak bohater filmu, z mózgiem podłączonym do macierzy – mówiła. Jutro nadeszło, więc trzymamy Koperską za słowo.

W Wielkopolsce dzieją się i inne ciekawe rzeczy. Dwóch charyzmatycznych działaczy PeŁo – poseł Szejnfeld Adam oraz prezydent Piły Głowski Piotr – spiskuje przeciw Rafałowi Grupińskiemu i chce obalić naszego ulubionego intelektualistę. W Platformie idą bowiem spóźnione dożynki, to znaczy, pardon, wybory szefów regionów.

Kwalifikacje Szejnfelda są powszechnie znane, zatem dwa słowa o jego kumplu Głowskim. Zasłynął on z występów na lokalnych wiecach KOD oraz przekonywania, że uchodźcy są OK, a „źli ludzie najczęściej mieszkają od lat po sąsiedzku i na miejsce przestępstwa dojeżdżają autobusem". Na miejscu Grupińskiego uważnie więc obserwowalibyśmy poznański dworzec autobusowy. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjadą tam Głowski z Szejnfeldem.

À propos burdelu w lokalnych strukturach Platformy – uważnie wczytujemy się w wieści z województwa świętokrzyskiego. Nie dlatego, że buntują się tam lokalni działacze PeŁo (bo gdzie się nie buntują?), tylko dlatego, że bunt pacyfikuje partyjny komisarz. Nie, to nie jest nasz wymysł, w Platformie istnieją oficjalnie takie stanowiska jak „komisarz", choć niestety nie ludowy.

Odnotowujemy ten fakt ze zrozumieniem, bo komisarze do Platformy pasują, tak jak do kawalerii pasują wachmistrzowie. W dodatku komisarzem w Świętokrzyskiem jest Herr Paweł Zalewski, który z twarzy bardzo przypomina komisarza. Równie bardzo, jak Borysław Budka przypomina Gomułkę.

W Platformie w ogóle nastały smutne czasy. Nawet jak gra piłkarska reprezentacja Polski, nie ma już wspólnego oglądania meczyków. No, czasem się zdarzy wyjątek, kiedy w biurze krajowym PeŁo na Wiejskiej jest akurat włączony telewizor. Cóż za upadek w porównaniu z czasami Donalda, wina i cygar?! – Może oglądacie chociaż w jakiejś restauracji? – zapytaliśmy współczująco pewnego wpływowego platformersa. – Teraz już się w restauracjach niczego nie robi – odpowiedział rozsądnie platformers.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

Wyborcy pamiętają, kto zdradził

Z prezydentem Andrzejem Dudą
rozmawiają Paweł Lisicki i Kamila Baranowska

PAWEŁ LISICKI, KAMILA BARANOWSKA: Panie prezydencie, czy w tej chwili mamy do czynienia z wojną na górze między panem a PiS?

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA: Nie mam poczucia, by toczyła się jakakolwiek wojna pomiędzy mną a Prawem i Sprawiedliwością. Oczywiście są pewne rozbieżności zdań, ale dla mnie czym innym jest wojna, a czym innym rozbieżność zdań, kiedy się ze sobą rozmawia, próbuje znaleźć konstruktywne rozwiązanie, na które będą w stanie zgodzić się obie strony. W mojej ocenie teraz właśnie trwają działania o charakterze konstruktywnym.

Do tej pory o tym, jak wygląda polityka obozu rządzącego, decydowała wola jednej osoby. To, że pan prezydent ma inne zdanie w sprawie reformy sądownictwa, jest odbierane jako zerwanie z tym sposobem działania. I nie wszystkim się to podoba.

Zwracam uwagę, że do mnie trafiły trzy ustawy, każdą z nich oceniałem najpierw osobno, potem wszystkie razem. I moja decyzja była taka, że dwie zawetowałem. Gdyby mój postulat o wyborze sędziów do KRS przez Sejm większością trzech piątych na etapie prac sejmowych został wprowadzony odrębną ustawą, to pewnie bym się na ustawę o KRS zgodził. Tymczasem ten zapis wprowadzono do ustawy o Sądzie Najwyższym, co spowodowało, że musiałem zawetować obie. Największe zastrzeżenia miałem jednak do części rozwiązań zapisanych w ustawie o Sądzie Najwyższym. Żałuję, że ich wcześniej ze mną nie uzgodniono.

Zbigniew Ziobro twierdzi, że rozmawiał z panem prezydentem i o zmianach w KRS, i w Sądzie Najwyższym.

Mówiąc „nie uzgodniono", mam na myśli konkretne projekty ustaw, które na etapie projektowym nie zostały mi przedstawione. Nie było czasu, by się do nich w jakikolwiek sposób odnieść czy zgłosić swoje uwagi. Całe procedowanie trwało tydzień, tempo było ekspresowe, a ja i grono moich prawników z Biura Prawa i Ustroju Kancelarii Prezydenta mogliśmy się nad nimi pochylić dopiero wtedy, gdy już uchwalone trafiły do mnie na biurko. Efekt był taki, że ustawa o Sądzie Najwyższym w tamtej formie była absolutnie nie do przyjęcia.

Dlaczego?

Ze względu na dwa zawarte w niej elementy. Po pierwsze, bardzo duży wpływ ministra sprawiedliwości, który jednocześnie jest prokuratorem generalnym, a więc często stroną w postępowaniach sądowych, na funkcjonowanie Sądu Najwyższego. Po drugie, możliwość odwołania w ciągu jednego dnia wszystkich sędziów Sądu Najwyższego, a później decydowania o możliwości ich dalszego orzekania bez żadnych kryteriów. A decydować miał prokurator generalny. To było nie do przyjęcia. Zabrakło mi też w tej ustawie bardzo ważnego elementu, który stanowił część mojego programu wyborczego i programu wyborczego PiS, czyli skargi nadzwyczajnej – nowego środka prawnego, pozwalającego obywatelom, którzy czują się pokrzywdzeni, dochodzić sprawiedliwości. Trudno mi powiedzieć, dlaczego skarga nadzwyczajna nie znalazła się w tym projekcie, uznałem to za błąd i bardzo mi zależało, by ten instrument prawny wprowadzić.

Jest wiele wątpliwości dotyczących akurat tego instrumentu. Na przykład, czy nie sparaliżuje to prac Sądu Najwyższego?

Jak skargi nadzwyczajne mogą sparaliżować Sąd Najwyższy, skoro tylko jedna, specjalnie do tego celu stworzona izba będzie się nimi zajmowała, a pozostałe normalnie zajmą się innymi, zwykłymi sprawami? To ma dotyczyć tylko jednej izby, która będzie pracować w swoim tempie. Poza tym nie jest tak, że każdy taką skargę może wnieść, będą organy pośrednie, które mogą taką skargę zgłosić tylko wtedy, jeśli uznają ją za zasadną. Nie sądzę, by nadużywały tego środka. Czy w stosunku do tego, co mamy dziś, zwiększy się liczba niezadowolonych i pokrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości? Jestem przekonany, że

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nie, a być może się zmniejszy, bo wreszcie ci ludzie zostaną wysłuchani i przestaną słyszeć zewsząd, że nic się nie da zrobić, bo nawet najbardziej kuriozalne wyroki sądów są niepodważalne.

Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" określił spór między panem prezydentem a ministrem Ziobrą w sprawie sądów jako „spór pokoleniowy między 40-latkami", którym on nie będzie się zajmował.

To nie jest spór pokoleniowy, lecz o przyszłość państwa, przyszłość moich rodaków. Prezydent musi brać pod uwagę nie najbliższe dwa, trzy lata, ale o wiele dłuższą perspektywę. Ja po prostu chcę, tak jak miliony Polaków, abyśmy, mam nadzieję, długie lata żyli w kraju bezpiecznym, praworządnym i sprawiedliwym. Perspektywa krótkoterminowa tu i teraz nie zapewni osiągnięcia długoterminowych celów.

Mnie nie chodzi o ministra X czy ministra Y, lecz o każdego ministra sprawiedliwości, który jest jednocześnie prokuratorem generalnym i w mojej ocenie nie powinien mieć tak ogromnej władzy nad Sądem Najwyższym, jakie dawała mu uchwalona przez parlament ustawa. Dobrze to ujęła Zofia Romaszewska, mówiąc, że nie chce żyć w kraju, w którym władza prokuratora generalnego jest większa niż nawet w PRL. To jest właśnie troska o przyszłość, dobrą przyszłość.

Projekty prezydenckie też oddają ogromne kompetencje w ręce jednej osoby, tyle że jest nią prezydent.

Potrzebny był podmiot, który pewne decyzje będzie podejmował – czy to w przedmiocie regulaminu Sądu Najwyższego, czy dopuszczania sędziów do orzekania po ukończeniu przez nich 65. roku życia. Uznałem, że najwłaściwszym podmiotem jest właśnie prezydent, wybierany przez naród; który zgodnie z konstytucją jest gwarantem ciągłości władzy państwowej, również sądowniczej. Prezydent powołuje sędziów, ma duże kompetencje, jeśli chodzi np. o Naczelny Sąd Administracyjny. To od lat funkcjonuje i nikt tego nie kwestionuje. Prezydent wybierany jest w wyborach powszechnych na pięcioletnią kadencję, a prokurator generalny zmienia się często, tylko w ostatnim dziesięcioleciu było ich sześciu. Różne są rozwiązania w różnych krajach i nie twierdzę, że minister sprawiedliwości nie może mieć daleko idących kompetencji. Jednak jako minister, który jest jednocześnie prokuratorem generalnym i który jest stroną w postępowaniach, nie powinien mieć tak olbrzymich kompetencji wobec Sądu Najwyższego.

Nie dziwi pana, że Sejm nie zajął się od razu pana projektami?

Moim zdaniem to dobrze, że tym razem jest czas na namysł. Wobec poprzedniego trybu procedowania zgłaszano pretensje, że nie było konsultacji, że projekty nie były znane, zostały w ostatniej chwili ogłoszone itd. Sam nie miałem możliwości się z nimi wcześniej zapoznać i na spokojnie przeanalizować. A to były trzy potężne ustawy. Wobec tego uważam, że to jest fair, że moje projekty są ogólnie dostępne, że się o nich dyskutuje, że się je chwali albo krytykuje, że stanowią punkt odniesienia do dalszych prac w parlamencie.

Na jakie ustępstwa jest pan prezydent gotów pójść, a czego na pewno pan nie odpuści?

Chcę, żeby zostały utrzymane rozwiązania ograniczające rozbudowaną wcześniej władzę prokuratora generalnego (ministra sprawiedliwości) nad Sądem Najwyższym. Chociaż zwracam uwagę, że i w moim projekcie są nadal zachowane uprawnienia ministra sprawiedliwości, jak choćby prawo delegowania sędziów, bo ono zawsze było i nie widzę powodu, by to zmieniać. Drugim warunkiem jest to, by sędziowie odchodzili z Sądu Najwyższego na zasadzie obiektywnych kryteriów – równych, jednakowych dla wszystkich – i takim rozsądnym kryterium jest wiek 65 lat (wiek emerytury). Trzeci element, przy którym będę się upierał, to większość trzech piątych w Sejmie przy wyborze KRS, bo chodzi o to, by ten wybór był niejednopartyjny. W Sejmie po 1989 r. nie zdarzyło się, by jedna partia miała większość trzech piątych, więc jest to coś, co gwarantuje pluralizm wyboru.

Jest pan równie przywiązany do swojego pomysłu, że jeśli nie uda się wybrać sędziów większością trzech piątych, to będą wybierani zasadą jeden poseł – jeden głos? Wówczas o wyborze poszczególnych sędziów zdecyduje mniejszość.

Jestem przywiązany do zasady multipartyjności przy wyborze sędziów do KRS. Jeśli ktoś będzie miał inną propozycję, jak to rozwiązać, gdyby się trzy piąte nie udały, a żeby multipartyjność została zachowana, to oczywiście, że taką propozycję rozważę. Pierwotnie zaproponowałem, by podmiotem rozstrzygającym był prezydent, zgłoszono wątpliwości, więc znalazłem inne rozwiązanie. Przy czym nie mówię, że uważam, iż to jest jedyne rozwiązanie, tylko oczekuję, że jeśli ktoś się z nim nie zgadza, to niech wskaże inny, alternatywny pomysł, który zagwarantuje, że decyzja nie będzie wyłącznie w rękach jednej partii.

Czyli propozycja marszałka Karczewskiego, by w drugim kroku decydował Senat większością trzech piątych, nie jest brana pod uwagę?

Czy to daje nam większość ponadpartyjną w Senacie? Nie, bo jest jeden klub, który liczy więcej niż 60 senatorów, więc mój warunek nie zostałby spełniony. Same trzy piate w Senacie nie gwarantuje ponadpartyjnego wyboru sędziów do KRS.

Przy czym chcę jasno podkreślić, że te scenariusze, o których teraz rozmawiamy, to rozwiązania zapasowe, bo ja cały czas zakładam, iż skład KRS będzie wyłaniany za pomocą większości trzech piątych w Sejmie. Sam pomysł, by w KRS zasiadali kandydaci i większości, i opozycji, nie jest niczym nadzwyczajnym – w dzisiejszej

eprasa.pl 71a92482cc

KRS na czterech posłów zasiada dwóch z opozycji. Wielokrotnie udawało się takie porozumienie zawrzeć, więc nie widzę powodu, by teraz miało się to nie udać.

Temperatura sporu politycznego jest teraz nieco inna.

To proponuję wszystkim szklankę zimnej wody. Polacy nie potrzebują ciągłych awantur.

PiS zdaje się uważać, że tylko wtedy, gdy będzie miał całkowitą kontrolę nad KRS, naprawa sądownictwa będzie w ogóle możliwa, więc wszelkie pomysły dogadywania się z opozycją są traktowane jako rozwadnianie reformy.

W okresie, gdy pracowałem nad tymi ustawami, kontaktowało się ze mną wiele osób, także posłów PiS, i powiedziałbym, że ich poparcie dla tych ustaw było, delikatnie mówiąc, bardzo umiarkowane. Wielu z nich wyrażało bardzo poważne obawy i było w ogromnej rozterce.

Inni twierdzili, że dał się pan prezydent zwieść złym doradcom. Minister Ziobro stwierdził nawet, że w otoczeniu pana prezydenta są „ludzie, którzy niczym larwy chcą się rozwijać w politycznym ciele prezydenckiego zaplecza" i którzy odciągają pana od PiS.

Proszę mi pokazać, gdzie w programie Prawa i Sprawiedliwości jest napisane, że kompetencje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego wobec Sądu Najwyższego oraz systemowo wobec całego wymiaru sprawiedliwości, będą tak ogromne. Nie ma nigdzie takiego zapisu. Natomiast jest zapis o skardze nadzwyczajnej, która jest tam nazywana apelacją nadzwyczajną, a ten element nie znalazł się w ustawach, które do mnie trafiły. To ja kieruję projekty ustaw o sądownictwie w stronę programu PiS, który znam i który był też moim programem w kampanii prezydenckiej. A co do złych doradców to mogę odpowiedzieć to samo w drugą stronę. Polityka i demokracja wymagają pewnego rozsądku i obiektywnych kryteriów.

Pojawiła się także teza, że o wetach przesądziły naciski zagranicy – presja ze strony Niemiec, Komisji Europejskiej, a nawet Departamentu Stanu USA.

Po całej historii z Trybunałem Konstytucyjnym, gdy zobaczyłem, jak ta sprawa jest oceniana za granicą, zwłaszcza w Komisji Europejskiej i w Komisji Weneckiej, jestem pozbawiony wszelkich złudzeń. Przekonałem się, że te ciała są nieobiektywne i nie ma co liczyć na ich obiektywne podejście do tematu. Dlatego odpowiadam na to pytanie: nacisk zagranicy, gdyby był, nie miałby na mnie i moje decyzje żadnego wpływu. Najmniejszego.

A jaka była rola w pracach nad ustawami prof. Michała Królikowskiego?

Skontaktował się ze mną, znamy się od dawna, zaoferował swoją pomoc, jeżeli będzie taka potrzeba, bo ma swoje pomysły i rozwiązania. Powiedziałem, że bardzo chętnie zapoznam się z jego propozycjami, podobnie jak zapoznałem się z propozycjami kilku innych prawników czy z propozycją stowarzyszenia Iustitia, które też przysłało mi swój projekt. Wydaje mi się, że na tym właśnie polega zwykła praca legislacyjna, by zbierać i konfrontować różne ciekawe głosy, pomysły i rozwiązania. I wybierać te najciekawsze oraz najlepsze dla społeczeństwa i państwa.

Co dalej z pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatą Gersdorf? Stosuje się do niej zapis ustawy o stanie spoczynku po ukończeniu 65. roku życia czy zapis konstytucji gwarantujący jej sześcioletnią kadencję?

Oczywiście, że do prezes Sądu Najwyższego stosuje się ustawa, tak jak i do każdego innego sędziego Sądu Najwyższego. Osiągnięcie 65. roku życia oznacza przejście sędziego w stan spoczynku, chyba że ktoś złoży wniosek o to, że chce orzekać dalej.

Wtedy decyzję podejmuje prezydent. Co pan zrobi, jeśli pani prezes Gersdorf złoży taki wniosek?

Ta ustawa była pisana w sposób ogólny i nie odnosi się w żadnym razie do konkretnej osoby pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Ta ustawa ma służyć przez dziesięciolecia i wielu przez ten czas będzie prezesów Sądu Najwyższego.

Jarosław Kaczyński mówi, że cała reforma sądownictwa będzie teraz zależała od determinacji prezydenta. „Musimy wiedzieć, czy prezydent jest z nami".

Prezydent jest wybierany w wyborach powszechnych przez naród i przede wszystkim powinien być z Polakami. Ja jestem z moimi rodakami. Dalszy los reformy sądownictwa zależy teraz od determinacji i zdrowego rozsądku większości parlamentarnej. Wierzę w to, że porozumienie jest bardzo blisko. Szedłem do wyborów z określonym programem i ten program staram się realizować. Ten program jest zbieżny z programem PiS, bo z tej partii się wywodzę, ale jako prezydent oceniam odrębnie każde proponowane rozwiązanie i jeśli uważam, że coś nie jest prowadzone dobrze, to wtedy się włączam. Reaguję adekwatnie do sytuacji, tak jak powinien reagować prezydent.

I wtedy pojawiają się zarzuty, że zamiast budować IV RP, prezydent próbuje się ustawić w wygodnej roli arbitra między III a IV RP.

Prezydent w jakimś sensie musi odgrywać rolę arbitra, bo tak jego rola jest wpisana w konstytucję. Pamiętam liczne zarzuty naszego środowiska politycznego pod adresem mojego poprzednika, że jest prezydentem jednej partii, a nie obywateli. Moim suwerenem jest naród, wszyscy obywatele, bez względu na poglądy czy światopogląd. Taka jest rola prezydenta. Oczywiście jako prezydent mam swoje poglądy i swój rozsądek i tym przede wszystkim się kieruję. Nikt nie może się dziwić, że realizuję program, o którym mówiłem w kampanii wyborczej, a który w wielu aspektach jest zbieżny z programem PiS.

Nie obawia się pan, że jeśli nie dojdzie do kompromisu i reforma sądownictwa się nie powiedzie, to pan zostanie okrzyknięty przez prawicowych wyborców hamulcowym zmian?

Reforma, którą zaproponowałem w swoich projektach ustaw, jest najgłębszą reformą od 1989 r., jeśli chodzi o polskie sądownictwo. Ona tworzy dwie nowe izby Sądu Najwyższego, powoduje istotną wymianę kadr Sądu Najwyższego, wprowadza młode pokolenie sędziów, wprowadza prospołeczny i proobywatelski nowy środek, czyli skargę nadzwyczajną. To reforma bardzo dobra i głęboka.

Nie tak głęboka jak pomysły Ziobry, który chciał za jednym zamachem wymienić 100 proc. składu Sądu Najwyższego. Pana reforma wymienia niecałe 40 proc.

Reforma ma być dobra i głęboka. W takiej kolejności. Nie wiem, czy Polacy chcieli stuprocentowej wymiany sędziów Sądu Najwyższego, ale obawiam się, że nie. Zwłaszcza bez żadnych kryteriów. Wydaje mi się, że część środowisk prawicowych powinna chłodno jeszcze raz popatrzeć na całą sprawę i spróbować ją obiektywnie ocenić.

Na razie część prawicy zarzuca prezydentowi zdradę obozu dobrej zmiany.

Te ataki na mnie pochodzą głównie z jednego środowiska. Bynajmniej nie jest to środowisko Prawa i Sprawiedliwości,

eprasa.pl 71a92482cc

ale jednego z koalicjantów PiS w ramach Zjednoczonej Prawicy. Wyborcy doskonale pamiętają, że te same osoby w 2011 r., zaraz po wyborach parlamentarnych, zdradziły Prawo i Sprawiedliwość, próbowały rozbić Klub Parlamentarny PiS oraz partię. Potem wielokrotnie, publicznie i ostro, atakowały śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego w związku z podpisaniem traktatu lizbońskiego.

Już po wetach – zarówno po stronie PiS, jak i osób z pałacu – pojawiło się dużo złych emocji, które dodatkowo potęgowały konflikt. Dlatego zaczęto mówić o wojnie na górze i szorstkiej przyjaźni.

Mnie żadne złe emocje nie towarzyszyły ani na etapie podejmowania decyzji, ani później. Podjąłem tę decyzję w zaciszu prezydenckiej rezydencji w Juracie. Miałem naprawdę dużo czasu do namysłu i osobistej analizy tych zapisów. Działam tak, jak powinien działać prezydent Rzeczypospolitej, i jestem przekonany, że realizuję swój program. Zawsze mówiłem, że będę słuchał Polaków, że będę starał się być prezydentem wszystkich Polaków, że Polsce trzeba spokoju, by mogła się rozwijać.

Ma pan żal, że PiS dał ciche przyzwolenie na to, żeby pana atakować, i że coś takiego w stosunku do Lecha Kaczyńskiego nie byłoby możliwe?

Tak jak wspomniałem, odwaga krytykowania prezydenta Kaczyńskiego dopadała niektórych dopiero wówczas, gdy opuścili Prawo i Sprawiedliwość. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na obecne zachowanie prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który od początku tonował nastroje i starał się nie wzbudzać zbyt dużych emocji, które mogłyby zaszkodzić całemu projektowi dobrej zmiany. Chcę wierzyć, że ataki na mnie dokonują się poza jego wiedzą i zgodą, a jeśli tak, to ktoś w obozie Zjednoczonej Prawicy wykazuje się wyjątkową niesubordynacją wobec lidera tego obozu.

W sprawie reformy sądownictwa w dużej mierze zawiodła komunikacja między przygotowującym ustawy obozem rządzącym a Pałacem Prezydenckim. Czy teraz jest pod tym względem lepiej?

Na tym etapie komunikacja jest, są rozmowy, one trwają. Myślę, że jest pole do kompromisu i ten kompromis jest na wyciągnięcie ręki. Prawdą jest, że poprzednim razem tej komunikacji zabrakło. Gdybym dostał wszystkie trzy projekty ustaw do konsultacji dwa tygodnie przed złożeniem ich w Sejmie i mógł je na spokojnie ocenić, to wyraziłbym swoje wątpliwości oraz pewnie byłaby szansa innego rozwiązania tej sprawy dużo wcześniej.

Dlaczego tak się nie stało?

Nie wiem. Proszę o to pytać autorów poprzednich ustaw. Wierzę, że to był brak profesjonalizmu procedujących te ustawy, a nie zamierzone działanie.

PiS zapowiada niebawem przedstawienie założeń innej kluczowej reformy – dotyczącej dekoncentracji mediów. Te założenia były już konsultowane z prezydentem?

Nie przedstawiano mi ich do tej pory. Przy czym pamiętajmy, że założenia do projektów ustaw są ważne oraz ciekawe i można sobie o nich dyskutować, ale prawnik, a ja jestem prawnikiem, potrzebuje mieć wgląd w ostateczny projekt ustawy, konkretny tekst, żeby spojrzeć, jak poszczególne rozwiązania się ze sobą wiążą, co poszczególne przepisy rzeczywiście stanowią i do czego prowadzą. Bez tego nie ma rzetelnej oceny. Oczywiście warto jest poznać założenia ustawy, ale ja przede wszystkim chcę z wyprzedzeniem zobaczyć projekt ustawy. Na razie go nie widziałem.

Pamiętam, gdy w 2006 r. trwały prace nad ustawą lustracyjną, wówczas odpowiadający za te prace poseł Arkadiusz Mularczyk regularnie przychodził do śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, żeby konsultować z nim i przedstawiać mu kolejne wersje projektu, nad którym pracował Sejm. Prezydent był na bieżąco informowany o każdej ze zmian. Mógł je spokojnie oceniać i dawać uwagi.

Na horyzoncie widać kolejną oś sporu między panem a PiS. Referendum w sprawie konstytucji ma zawierać m.in. pytanie o model ustrojowy państwa. Jarosław Kaczyński ujawnił, że podczas ostatniej rozmowy z panem prezydentem powiedział, iż nie ma żadnych przesłanek, by wprowadzać system prezydencki.

Osobiście bardziej mnie przekonuje system prezydencki, wspominałem już o tym. Nie znaczy to, że system parlamentarny jest zły z założenia. Powiem więcej, jestem zadowolony z funkcjonowania systemu parlamentarno-gabinetowego, uważam, że to dobrze, że to większość parlamentarna wyłoniona w powszechnych wyborach przedstawia prezydentowi swojego kandydata na premiera. Gdybym jednak miał wybierać, wybrałbym system prezydencki.

Czyli więcej kompetencji w rękach prezydenta.

Tak, i o tym można dyskutować – czy w pewnych aspektach nie powinno być współdecydowania prezydenta i premiera, jak doprecyzować pewne uprawnienia rządu oraz prezydenta, które się na siebie nakładają i prowadzą do niepotrzebnych sporów kompetencyjnych, czy w pewnych obszarach wzmocnić pozycję ustrojową prezydenta. Pan prezes w rozmowie ze mną stwierdził, że jest zwolennikiem systemu kanclerskiego, i to jest coś, o co trzeba by spytać Polaków. System kanclerski oznacza w konsekwencji, rezygnację z wyboru prezydenta w wyborach powszechnych. Można zadać pytanie, czy Polacy chcą mieć prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe, czy wolą go wybierać tak jak do tej pory. Jeśli moi rodacy opowiedzą się za systemem kanclerskim, to nie mam nic przeciwko temu, jestem absolutnie otwarty.

Na razie ze strony PiS nie widać zbytniego entuzjazmu wobec referendum.

Złożę odpowiedni wniosek do Senatu i Senat to oceni. Na razie prowadzimy debaty w całej Polsce na temat konstytucji i widać, że ludzie chcą o tym rozmawiać.

A co z datą referendum? PiS nie chce, by odbyło się ono razem z wyborami samorządowymi ani w święto narodowe 11 listopada.

Zależy mi, żeby referendum odbyło się 11 listopada 2018 r., bo to jest ważna dla Polaków data. Nigdy nie mówiłem, że referendum musi się odbyć razem z wyborami samorządowymi. Uważam, że jest dobrym pomysłem, by dać się Polakom wypowiedzieć w tej sprawie wcześniej, jeszcze zanim pojawi się gotowy projekt konstytucji przygotowany przez ekspertów.

Nie jest tak, że sprawa referendum może stać się kartą przetargową w negocjacjach nad kształtem ustaw o sądownictwie?

Nie było żadnych takich propozycji i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji. Jeśli chodzi o ustawy o SN i KRS, to jest możliwość porozumienia. To nie jest przedmiot żadnego targu, bo to są zbyt poważne sprawy wagi państwowej.

Antoni Macierewicz zapytany ostatnio o relacje z panem prezydentem odpowiedział: „Koń, jaki jest, każdy widzi". Jak te relacje wyglądają z pana perspektywy?

To jest trudna współpraca, bo konstytucja mówi, że prezydent jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych, ale na bieżąco wykonuje swoją funkcję za pośrednic-

eprasa.pl 71a92482cc

twem ministra obrony. Te kompetencje są bardzo powiązane i kompetencje ministra obrony narodowej, jeśli chodzi o armię i jej funkcjonowanie, są daleko szersze niż kompetencje prezydenta. Siłą rzeczy dochodzi tu do różnego rodzaju kolizji.

To kwestia tylko złej konstytucji czy także złej woli?

Zawsze za wszystkimi stanowiskami, czy to ministrów, czy wiceministrów, stoją ludzie, którzy je zajmują, więc cechy osobowościowe jakąś rolę odgrywają. Jednak gdyby były precyzyjne przepisy w tym zakresie, to być może wielu sporów udałoby się uniknąć. Są zachowania i decyzje MON, z którymi trudno mi jako prezydentowi się pogodzić oraz których na pewno nie zaakceptuję, tak jak nie akceptował ich śp. prezydent Lech Kaczyński.

Co ma pan prezydent na myśli?

Na przykład to, że prezydent Lech Kaczyński nigdy nie zaakceptował tego, iż Witolda Waszczykowskiego, który był wiceszefem BBN, ABW pozbawiła dostępu do informacji niejawnych poprzez uruchomienie procedury sprawdzającej.

Nawiązuje pan do postępowania sprawdzającego wobec gen. Kraszewskiego.

Tak jak Platforma Obywatelska w 2008 r., próbując pozbawić Antoniego Macierewicza dostępu do informacji niejawnych, próbowała mu uniemożliwić wykonywanie obowiązków poselskich w komisji, tak samo poprzez wszczęcie postępowania uniemożliwia się wykonywanie obowiązków gen. Kraszewskiemu. To jest dokładnie ta sama metoda, ale widać punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Z tym, że wtedy chodziło o walczące ze sobą partie, dziś ta walka toczy się w ramach jednego obozu.

Od początku miałem jedno oczekiwanie wobec MON, by ta sprawa została jak najszybciej wyjaśniona, nie przesądzam, z jakim skutkiem. Na razie jednak od miesięcy mamy sytuację, w której generał został pozbawiony dostępu do informacji niejawnych, a żadne zarzuty nie zostały potwierdzone, bo sprawa jest w toku. Wydaje mi się, że można było tę sprawę dawno wyjaśnić i uciąć.

Brak nominacji generalskich, o które wnioskuje MON, jest odbierany jako pańska zemsta na ministrze Macierewiczu za sprawę gen. Kraszewskiego.

To jest bardzo poważna sprawa, te kandydatury wymagają analizy i poprosiłem BBN o spokojne jej dokonanie, zwłaszcza że w tej chwili procedowane są bardzo ważne zmiany. Chodzi o stworzenie nowego systemu dowodzenia polską armią. Zapewniam jednak, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, to z nominacjami zdążymy na czas.

Ostatnio mocno obrywa się także szefowi BBN Pawłowi Solochowi. Główny zarzut jest taki, że otacza się podejrzanymi ludźmi dawnego układu.

Jestem wieloma spośród tych oskarżeń wobec pana ministra Pawła Solocha szczerze zdziwiony, przecież lista pracowników BBN jest listą znaną resortowi obrony, bo są tam ludzie, którzy otrzymywali certyfikaty oraz są w dyspozycji służb, i jakoś przez dwa lata nikt nie zgłaszał żadnych problemów. One pojawiły się teraz. Pytanie: Dlaczego teraz?

Właśnie – dlaczego?

Może jednak problem nie dotyczy ludzi, lecz kwestii merytorycznych – tego, jaki jest punkt widzenia na bardzo ważne kwestie związane z obronnością państwa. Poza tym, że część z tych osób, o których mówi MON czy o których piszą niektóre media, to osoby, które były przyjmowane do pracy w BBN za czasów śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i śp. ministra Władysława Stasiaka, jako szefa BBN.

Panie prezydencie, czy politycznie mamy dobry moment, by domagać się od Niemiec reparacji wojennych?

To nie jest kwestia nowa, ten temat był już kilkakrotnie podnoszony. Prawdą jest, że Niemcy nie wypłaciły Polsce reparacji wojennych. Kwota, którą Polska otrzymała z różnych tytułów, była kwotą mniej niż ułamkową, ale reparacji jako takich nie otrzymaliśmy. To są fakty. Temat jest trudny i na razie jest tematem między parlamentami. Rozmawiałem o tym z panem prezydentem Steinmeierem i powiedzieliśmy sobie, że skoro znajduje się to na poziomie parlamentarnym, to niech na razie tam trwają konsultacje, wymiana opinii i wniosków.

W bieżącej polityce dużo mówi się o zagrożeniu ze strony Rosji. Czy w takiej sytuacji podnoszenie kwestii reparacji wobec Niemiec nie jest ryzykowne? Zwykle gdy boimy się jednej strony, warto dbać o dobre relacje z drugą.

Wiadomo, że trzeba dbać o dobre relacje z drugą stroną, ale druga strona powinna też dbać o dobre relacje z nami. Wierzę w to, że to staranie, aby wzajemne relacje między Polską a Niemcami były dobrze budowane, jest i będzie. Mieliśmy w Niemczech nowe wybory, politycy, którzy atakowali Polskę, nie odnieśli w nich sukcesu.

Jak pan ocenia to, co się dzieje w Hiszpanii? Komisja Europejska przyznała, że referendum w Katalonii było nielegalne, po czym stwierdziła, iż to wewnętrzna sprawa Hiszpanii.

Ta sprawa ma dwa aspekty. Oczywiście Hiszpania jako państwo niepodległe broni postanowień swojej konstytucji oraz integralności terytorialnej i nikogo to nie powinno dziwić. Tak robiłyby każde państwo i jego władze.

Inną kwestią jest zaś brutalna reakcja policji hiszpańskiej. Skoro na gruncie hiszpańskiej konstytucji to referendum jest nielegalne, nie ma mocy prawnej, nie jest też uznawane przez społeczność międzynarodową, to taka brutalna reakcja policji jest niewspółmierna do tego wydarzenia.

Ta sytuacja pokazuje także hipokryzję brukselskiej biurokracji. Dlaczego nie ma adekwatnej reakcji wiceprzewodniczącego Timmermansa, któremu przemoc wobec protestujących w Barcelonie nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie – mówi, że jest dozwolona w obronie państwa prawa. Natomiast przeszkadza mu to, że w Polsce realizowane są zasady demokracji i że większość parlamentarna podejmuje decyzje, które nie podobają się jego kolegom. To świadczy o jego całkowitym braku obiektywizmu.

Na ile niebezpieczne są odśrodkowe tendencje, takie jak w Polsce np. reprezentuje Ruch Autonomii Śląska?

Jako prezydent zawsze będę stać na straży integralności państwa i jego terytorium zgodnie z art. 126 konstytucji. Chociaż jakiegoś specjalnego zagrożenia dla integralności terytorium w chwili obecnej absolutnie nie widzę. Śląsk jest dla nas bardzo ważnym regionem i cieszę się, że w polityce centralnej jest dziś Śląska tak dużo, jak naprawdę dawno nie było. Śląsk i jego mieszkańcy zasługują na szczególną uwagę ze strony rządzących. Zasługują na to ze względu na pamięć o walkach Ślązaków o Polskę i polskość w powstaniach śląskich, a także ciężką pracę dla Polski i ofiarę górników kopalni Wujek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

MOJA FIRMA JEST TAM, GDZIE JA

PKO KONTO FIRMOWE

Wiemy, w jaki sposób prowadzi się dzisiaj biznes. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że bez dostępu do internetu trudno zaczynać jakiekolwiek przedsięwzięcia. Teraz, zakładając PKO Konto Firmowe, możesz otrzymać dostęp do internetu: 10 GB miesięcznie przez rok.*

- 0 zł za prowadzenie konta**
- 0 zł za pierwszych 30 zwykłych krajowych przelewów internetowych w miesiącu
- 0 zł za wpłaty we wpłatomatach***

Bank Polski
dzień dobry

The Banker Bank of the Year 2016 POLAND

PKO Bank Polski bankiem numer jeden w Polsce
w prestiżowym konkursie „Bank of the Year 2016"

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 66 60 opłata zgodna z taryfą operatora

*Możliwość korzystania z internetu wymaga spełnienia warunków promocji „PKO Konto z internetem" oraz odbioru nagrody zgodnie z procedurą opisaną w regulaminie promocji. Regulamin promocji, w tym szczegółowy zakres usług świadczonych w ramach internetu mobilnego, dostępny na www.pkobp.pl lub w placówkach Banku. Promocja trwa od 11.09 do 31.10.2017 r. lub wcześniejszego wyczerpania puli nagród.
**Warunek aktywności – realizacja w danym miesiącu co najmniej jednego przelewu internetowego do ZUS i dokonanie operacji bezgotówkowych kartą debetową na kwotę min. 500 zł, w przeciwnym razie opłata za prowadzenie konta 25 zł miesięcznie.
***Za wpłaty we wpłatomatach PKO Banku Polskiego (do 50 000 zł miesięcznie).

Szczegółowe informacje o produkcie i promocji oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie www.pkobp.pl.

eprasa.pl 71a92482cc

Wałęsa i reszta świata

Sławomir Cenckiewicz

Najnowszy wywiad rzeka z Lechem Wałęsą jest paradoksalnie jednym wielkim aktem samooskarżenia i dowodem na megalomanię byłego prezydenta

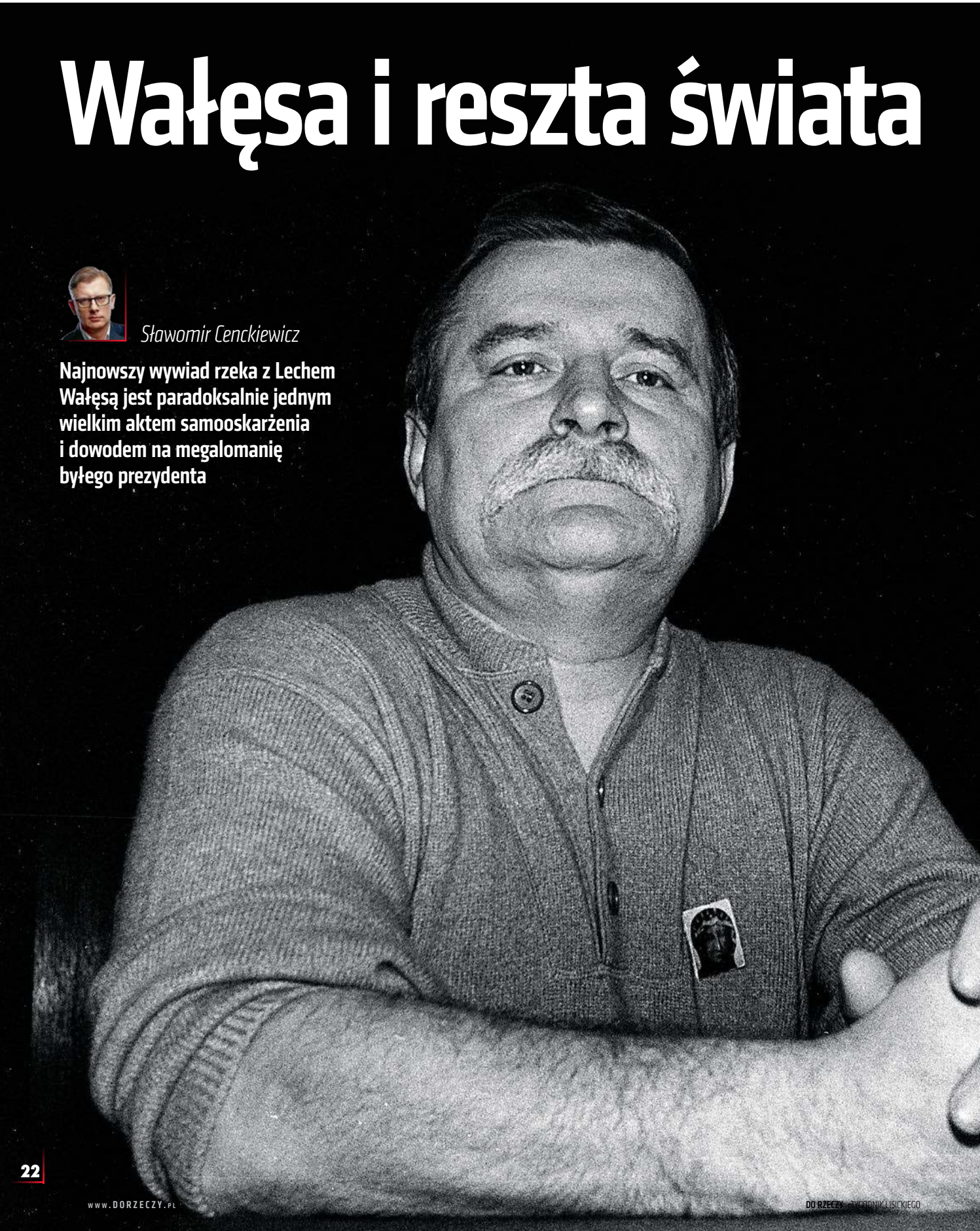

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

FOT. W. PIWIŃSKI/REPORTER

Ta książka miała ostatecznie rozstrzygnąć wielki spór o Lecha Wałęsę. Triumfalizm, z jakim autorzy wywiadu z Wałęsą obwieszczają zawczasu swój sukces wydawniczy, bywa nawet zabawny. „Cenckiewicz wbija teraz zęby w ścianę, bo jego kolejny paszkwil o Lechu Wałęsie przegrał walkę w czasie" – napisał Andrzej Bober, współautor wywiadu rzeki z Wałęsą zatytułowanego „Ja". Jednak zamiast wbijania zębów w ścianę podczas lektury przecierałem raczej oczy ze zdumienia. Książka jest w gruncie rzeczy wielkim aktem samooskarżenia Wałęsy i dowodem na jego megalomańską niereformowalność, która w dodatku skutecznie uniemożliwia akolitom Wałęsy podjęcie jakiejkolwiek jego obrony.

POWTÓRKA Z ROZRYWKI

Pod wieloma względami obecna sytuacja przypomina okoliczności wydania w 2008 r. książki Wałęsy „Droga do prawdy", którą finansowo wspierał rząd Tuska. Ona także miała być odpowiedzią na „paszkwil" „SB a Lech Wałęsa", a okazała się blamażem wydawniczym i symbolem kłamliwej próby wytłumaczenia tego, co przecież jest w gruncie rzeczy niewytłumaczalne. Teraz jest podobnie. Obrona Wałęsy przed „Bolkiem", a „Bolka" przed Wałęsą dała efekt groteski, na której końcu legenda „Człowieka z wąsem" dosłownie sięga bruku.

Andrzej Bober i Cezary Łazarewicz zaczynają od odważnego wyznania: „Przeczytaliśmy wszystkie pana biografie i co sam pan o sobie mówił w wywiadach". Jednak efektu tej erudycji wcale nie widać. Książka roi się od błędów faktograficznych, przekłamań, pomylonych postaci i błędnie osadzonych w czasie wydarzeń. Co więcej, błądzi i baja nie tylko Wałęsa, lecz także wysłuchujący go (bo nie przepytujący) dziennikarze, którym nie starcza wiedzy i odwagi, by zareagować na kłamstwa.

Nawet te drobne pozostają bez komentarza, żeby odwołać się tylko do opisu dzieciństwa, o którym Wałęsa opowiada inaczej niż w swojej fundamentalnej „Drodze nadziei" z 1988 r. W tamtej wersji były narady rodzeństwa w lesie, otwarty bunt i Lech odważnie wchodzący w swary z ojczymem Stanisławem (który po śmierci brata Bolesława ożenił się z Feliksą Wałęsową). W wersji najnowszej z kolei twierdzi, że „nie było zwady". W „Drodze nadziei", innych wcześniejszych i późniejszych przekazach Wałęsy jest mowa o podzielonej rodzinie na dwa zantagonizowane i rywalizujące ze sobą obozy (dzieci Bolesława Wałęsy kontra dzieci ojczyma Stanisława Wałęsy), obecnie natomiast wszyscy się przykładnie kochali i znali swoje miejsce w szeregu. Ten mało istotny szczegół ukazuje jednak typowy dla Wałęsy sposób traktowania własnego życiorysu, który w zależności od sytuacji i potrzeb ulega rozlicznym retuszom i zmianom.

REWIZJONISTA

Jednak książka „Ja" jest paradoksalnie pochwałą konsekwencji rzeczników prawdy. Wątki tabu w biografii Wałęsy, za które najpierw Paweł Zyzak, a później i ja ciężko publicznie obrywaliśmy, są tutaj często zasygnalizowane, a nierzadko i potwierdzone. Wałęsa w swoim stylu próbuje „usiąść na tego konia" i „wszystko wyjaśnić", uprzedzając przy tym kolejne odkrycia historyków. Wałęsa przyznaje, że w młodości nie stronił od łobuzerki, lenił się, nie chodził do kościoła, nadużywał alkoholu i wykorzystywał „dziewczynki". Wprawdzie fałszywie przedstawia okoliczności porzucenia pracy w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Leniach Wielkich i wyjazdu do „wielkiego miasta", ale przyznaje, że pokłócił się wówczas z dziewczyną, która „chyba na imię miała Jadwiga". Ten typowy wałęsizm polegający na częściowym wychyleniu się ku prawdzie (dziewczyna w rzeczywistości miała na imię Wanda) twórczo rozwinął w innym fragmencie wywiadu.

Nagle po latach ciskania wyzwisk pod adresem Pawła Zyzaka, który tę sprawę pierwszy opisał, Wałęsa przyznaje, że w młodości pozostawał w związku, którego owocem było dziecko. Najpierw w haniebny sposób mówi o Wandzie, że „wrobiła" go w nie jego dziecko, aby za chwilę stwierdzić, że był na pogrzebie synka i „nie wypiera się, ale też się nie przyznaje", bo „sprawa nie jest do końca wyjaśniona"! Szczypta prawdy unieważniająca wcześniejsze zaprzeczenia i znów powrót do kłamstwa, bo przecież od blisko dwóch lat w zasadzie wszystko jest w tej sprawie ustalone, po tym, jak otrzymałem zgodę na wgląd w księgi parafialne w Chełmicy Dużej. Sprawę już opisałem, ale najwyraźniej nie jest ona wciąż znana autorom książki.

TRAGEDIA PRZEPUSTKĄ DO SŁAWY

Grześ przyszedł na świat 21 grudnia 1963 r. we Włocławku, a jego chrzest odbył się 18 kwietnia 1964 r. w parafii pw. św. Jakuba Apostoła w Chełmicy Dużej. Imię ojca nie zostało wpisane w rubryce dotyczącej urodzin i chrztu jakby z zemsty. Dopiero po śmierci Grzesia 15 maja

eprasa.pl 71a92482cc

1967 r. jego mama – Wanda Lewandowska, którą Wałęsa zostawił, kiedy dowiedział się, że jest z nim w ciąży – zadeklarowała, że ojcem był Lech. Wszystko stało się ostatecznie jasne i ułożyło się w logiczny ciąg.

Po zakończeniu służby wojskowej w 1965 r. Wałęsa salwował się ucieczką do filii POM Łochocin w Leniach Wielkich po tym, jak dowiedział się, że Wanda Lewandowska zaszła w ciążę. W poniedziałek, 15 maja – w dniu śmierci Grzesia – dobrowolnie porzucił pracę w POM, o czym sam wspomina w odręcznie spisanym życiorysie z 1976 r., sporządzonym przed podjęciem pracy w gdańskim ZREMB. Napisał, że pracował w POM do 15 maja 1967 r. i że „zwolnił się na własną prośbę". Później w niektórych dokumentach widnieje data 13 maja jako ostatni dzień pracy Wałęsy w POM – dlatego że kiedy w poniedziałek 15 maja Wałęsa „rzucił papierami", uznano, iż ostatni dzień, który przepracował w zakładzie, to była sobota 13 maja. W każdym razie 17 maja 1967 r. Wałęsa przyjechał jeszcze na cmentarz w Chełmicy Dużej na pogrzeb Grzesia. Początkowo stał z dala w ciemnych okularach i łkał, ale później – jak opowiadał mi Leszek Śmiechowski – kiedy kondukt pogrzebowy z małą trumienką na wozie ruszył w stronę wykopanego grobu, Wałęsa energicznie doszedł do Wandy, chcąc ją złapać za rękę i objąć, ale ona wyraźnie odepchnęła go, nie przyjmując tego gestu. Miejscowi go wyzywali, mówiąc: „Czemuś zostawił, gnoju?!", więc Wałęsa się szybko oddalił. Pierwotnie na tabliczce umocowanej na krzyżu napisano: „Grzegorz Wałęsa, żył lat 4". Wałęsa nagle postanowił uciec z okolic Popowa i Łochocina i tak trafił do Gdańska. W ten sposób 30 maja 1967 r. zgłosił się do pracy w stoczni gdańskiej. Istnieje zatem ścisły związek pomiędzy śmiercią Grzesia, zwolnieniem się Wałęsy z pracy w POM i jego ucieczką do Gdańska. Tak więc śmierć pierworodnego syna, którego Wałęsa się wyrzekł, niezamierzenie stała się przepustką do jego wielkiej kariery. Gdyby bowiem nie tragiczne wydarzenia z maja 1967 r. być może Wałęsa nigdy nie opuściłby rodzinnych stron.

Śmierć pierworodnego syna Grzesia, którego Lech Wałęsa się wyrzekł, niezamierzenie stała się przepustką do jego wielkiej kariery

„WYBITA SZYBA W DRZWIACH"

Wspomniany wałęsizm Wałęsy odciska swoje piętno niemal na każdej części tej książki. Raz jeszcze tłumaczy wydarzenia z poranka 15 grudnia 1970 r., kiedy to – ku zdziwieniu stoczniowej załogi – Wałęsa stanął nagle w oknie gabinetu samego komendanta miejskiego MO, próbując uspokoić tłum żądający wypuszczenia aresztowanych dzień wcześniej kolegów. Wałęsa nigdy nie potrafił logicznie wytłumaczyć okoliczności, w jakich 15 grudnia znalazł się w komendzie MO. W zależności od sytuacji i nastroju opowiadał, że szedł z czoła pochodu, ale się „wycofnął do przodu", bo „nie lubił takich bitek jakichś" i poszedł jedynie zapytać milicję, czy „będzie mordować", więc bez trudu został przyjęty przez dowództwo milicji, barykadujące się właśnie przed żądającymi sprawiedliwości robotnikami. Innym znów razem snuł fantastyczne wizje o obrotowych drzwiach komendy, których tam nigdy nie było, a które miały go podmuchem wiatru „wciągnąć do środka", kiedy się tylko do nich zbliżył. W „Ja" jest nowa wersja okoliczności sforsowania drzwi Komendy Miejskiej MO. Tym razem Wałęsa wszedł przez „wybitą szybę w drzwiach", a w budynku spotkał milicjantów z drogówki. W rzeczywistości przyjął go sam komendant miejski MO płk Henryk Stasiak, który w postępowaniu prokuratorskim dotyczącym masakry grudniowej zeznał o Wałęsie: „Zaproponowałem, aby on nakłonił swoich kolegów do odstąpienia od komendy. Zaproponowałem mu, żeby skorzystał z rozgłaszacza dostarczonego przez oficera dyżurnego. Stoczniowiec skorzystał z tego i z okna mego gabinetu, to jest z pierwszego piętra, nawoływał ludzi do odstąpienia dalszego szturmowania komendy miasta. Tłum go nie posłuchał, wtedy padły okrzyki: zdrajca kierowane do Lecha Wałęsy". To prawda. Dlatego ludzie bezpieki napisali później, że „Wałęsa w czasie zajść przed KM MO współpracował z komendantem miejskim MO, aby nie dopuścić do ekscesów".

Pobyt w komendzie MO nie był jednak jednorazowy. Może najciekawszym wątkiem rekonstrukcji zachowania Wałęsy 15 grudnia jest jego druga wizyta w Komendzie Miejskiej MO. Okazuje się, że kiedy grudniowy teatr wojenny przesunął się z okolicy Świerczewskiego w stronę siedziby Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych i „Reichstagu" (tak od grudnia 1970 r. w Gdańsku określano gmach KW PZPR), Wałęsa zostawił kolegów, wrócił spokojnie do domu, po czym znów zapukał do drzwi komendy, gdzie zaproponował wyłonienie reprezentacji stoczniowej. „No to idź pan, organizuj" – usłyszał.

ZGŁOSZONY – NIEWYBRANY

Na kartach „Ja" Wałęsa po raz pierwszy przyznaje też, że w grudniu 1970 r. sam zgłosił się na ochotnika do Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej (w rzeczywistości była to Rada Delegatów Robotniczych Strajku Okupacyjnego). Wspomina też o swoich relacjach z dyrektorem Stanisławem Żaczkiem, który w tych dramatycznych dniach wyłuskał go z tłumu i starał się nim sterować. Ileż było agresji i rozdzierania szat, kiedy się o tym po raz pierwszy pisało... Wałęsa znalazł się w Komitecie Strajkowym nie z wyboru załogi, lecz właśnie ze wskazania przez dyrekcję! Sam nie chciałem wierzyć, kiedy pierwszy raz opowiadali mi o tym Henryk Jagielski z Karolem Hajdugą, wicedyrektorem stoczni. Mieli rację. Sprawdziłem później wszystkich członków Komitetu Strajkowego Grudnia '70: Zofię Zejser, Zbigniewa Jarosza, Jerzego Górskiego, Stanisława Oziębłę, Ryszarda Podhajskiego i Kazimierza Szołocha. Nikt inny, poza Wałęsą, nie był wskazany do Komitetu Strajkowego przez dyrekcję stoczni. Nikt też nie był agentem SB. Wałęsa nie miał żadnego autorytetu w załodze, a jego staż pracy prezentował się mało imponująco. Z jakichś powodów był dla dyrekcji osobą godną zaufania. Pamiętajmy, że w opiniach z tamtego czasu czytamy, że Wałęsa „udzielał

eprasa.pl 71a92482cc

się społecznie w pracach organizacji ZMS – aktywny członek. Nie występował wrogo przeciwko PRL. Brał aktywny udział w pracach społecznych organizacji ZMS oraz w Związkach Zawodowych – Rada Wydziałowa".

Być może był więc znany dyrekcji jako lojalny pracownik. W każdym razie na Wałęsę miał wskazać dyrektor Stoczni Stanisław Żaczek, źródło osobowe bezpieki, były funkcjonariusz Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Gdańsku, cały czas przebywający na gorącej linii z SB. „Wymieniany jako członek Komitetu Strajkowego usilnie zapewniał dyrekcję Stoczni, że dołoży wszelkich starań, aby utrzymać porządek" – czytamy w jednej z notatek SB. Był na tyle cennym nabytkiem dyrekcji, że próbowano strajkującym narzucić jego przywództwo. Wałęsa był jednak nie do zaakceptowania dla załogi. Jeden z dyrektorów Stoczni Gdańskiej, Karol Hajduga, relacjonował wówczas bezpiece, że „była propozycja", aby Wałęsę „wybrać na przewodniczącego Rady, jednak z uwagi na brak jednomyślności odłożono ten punkt na dalszy plan obrad, co w konsekwencji spowodowało, że zapomniano tego wyboru dokonać i Rada działała bez jednoosobowego kierownictwa".

REWOLUCYJNE WYZNANIE

W tym kontekście jest jeszcze inna ciekawostka, którą po raz pierwszy odsłania Wałęsa. Przyznaje mianowicie, że po raz pierwszy rozmawiał z dwoma funkcjonariuszami SB w nocy z 15 na 16 grudnia 1970 r.! Rozmowa miała odbyć się w pokoju dyrektora stoczni po tym, jak ukonstytuował się Komitet Strajkowy, a Wałęsa bezskutecznie próbował zostać jego przewodniczącym. Potwierdzają to słowa cytowane przez Wałęsę, który miał usłyszeć wówczas: „Człowieku, ty tu nic nie znaczysz. Komitet tu rządzi. Ciebie nie ma!". Jest to o tyle interesujące, że z dokumentów teczki personalnej agenta „Bolka" wynika, iż pierwszą rozmowę z Wałęsą przeprowadzić miał kpt. Edward Graczyk dopiero 19 grudnia 1970 r.!

Na tym jednak koniec tych przebłysków prawdy. Później jest już jak zawsze. Agent „Bolek" jest wyłącznie efektem aparatury podsłuchowej (donosy „Bolka" to w gruncie rzeczy stenogramy z podsłuchów), bo przecież „nikt" i nigdy Wałęsie „żadnej współpracy nie proponował". Swoją drogą nasi oczytani dziennikarze (sami tak o sobie mówią) napisali, że kontaktującym się z Wałęsą w 1970 r. (i później) miał być Marek Aftyka, który w rzeczywistości w szeregi SB wstąpił dopiero w marcu 1978 r. (sic!). W czasie rozmowy z funkcjonariuszami SB 19 grudnia 1970 r. Wałęsa miał być tak hardy i odważny, że uznano go za „trochę stukniętego". I co istotne, był na tyle ważny, że nie stosowali wobec niego jakiejkolwiek przemocy! A jeszcze w książce „Droga do prawdy" z 2008 r. Wałęsa pisał: „Zamierzył się jeden na mnie, ale w końcu nie uderzył. No, może jakoś lekko, bo nie zapamiętałem". A poza tym – mieszkanie na Stogach Wałęsa otrzymał w 1972 r., bo „stanowił spore zagrożenie" dla bezpieki, czego potwierdzeniem miały być lokalizacja oddalona od centrum miasta i zainstalowane podsłuchy, których w rzeczywistości tam nigdy nie było.

BLIŻEJ PRAWDY

Na tym jednak nie koniec rewolucyjnych wynurzeń Wałęsy. Kilka lat temu Krzysztof Wyszkowski opowiadał

REKLAMA

EMERYTOWI TEŻ PRZYSŁUGUJE ULGA PODATKOWA

Union Investment

Rozliczanie PIT to moment, w którym wiele osób przypomina sobie o możliwości skorzystania z odliczeń. Emeryci, którzy dostają formularz PIT-40A, nie muszą składać w urzędzie skarbowym dodatkowego zeznania podatkowego.

Łukasz Tymoszuk
Manager ds. Kluczowych Klientów

Jest to rozwiązanie wygodne, ale przy okazji często zapominają o przysługujących im ulgach.

Jeśli jednak chcą skorzystać z przysługujących im ulg podatkowych, powinni złożyć deklarację samodzielnie. Także przy odliczaniu wpłat na konto emerytalne IKZE.

Już kilkaset tysięcy osób w Polsce posiada IKZE, czyli indywidualne konta zabezpieczenia emerytalnego. Posiadaczami tych kont są osoby pracujące, ale także emeryci i renciści. W odróżnieniu od klasycznych produktów finansowych, IKZE gwarantują bowiem znaczne ulgi podatkowe.

Wpłaty na IKZE dokonane w danym roku można odliczyć od dochodu (także emerytury czy renty) przy okazji rozliczania deklaracji PIT, zyskując od 18 do 32%. Wpłacając na IKZE kwotę 5115,60 zł (ustawowy limit wpłat przewidziany na 2017 r.), w przyszłym roku można zyskać nawet do 1,6 tys. zł.

Klienci na emeryturze często mylnie uważają, że nie mogą korzystać z ulg podatkowych wynikających z IKZE , tym bardziej, że sami nie rozliczają swoich podatków – mówi Łukasz Tymoszuk z Union Investment TFI.

Emeryt , który odkłada pieniądze na IKZE powinien poczekać na formularz PIT-40A/11A. ZUS lub KRUS mają obowiązek go przesłać do końca lutego.

Następnie należy wypełnić odpowiedni formularz – ulgę z tytułu wpłat na IKZE rozlicza się w załączniku PIT/O. Należy w nim wypełnić pole numer 29: „Wpłaty na indywidualne konto zabezpieczenia emerytalnego (IKZE)". Wpisujemy tam łączną sumę naszych wpłat na IKZE w danym roku.

Towarzystwo działa na podstawie decyzji Komisji Papierów Wartościowych (obecnie: Komisja Nadzoru Finansowego) z dnia 1 czerwca 1995 r., nr decyzji KPW-4073-1\ 95.
Niniejszy materiał jest upowszechniany w celu reklamy lub promocji usług świadczonych przez Towarzystwo.
Szczegółowe informacje na temat IKE i IKZE w Union Investment TFI S.A. znajdują się w prospektach informacyjnych funduszy oraz w Regulaminach prowadzenia IKE lub IKZE.

eprasa.pl 71a92482cc

publicznie, że kiedy w czerwcu 1978 r. Wałęsa po raz pierwszy zapukał do jego drzwi, oferując swoją pomoc Wolnym Związkom Zawodowym Wybrzeża, to zaproponował terrorystyczny program działania. „Za każdego aresztowanego – jedna komenda w powietrze" – miał wówczas oznajmić Wałęsa. Wałęsa od razu zaprzeczał tej relacji, uznając Wyszkowskiego za „mitomana". Wprawdzie w książce „Ja" Wałęsa podtrzymuje swoją złą opinię o Wyszkowskim, ale wyznaje, że... przyszedł do WZZ z koncepcją „wzięcia za broń", jednak szybko został przekonany, że jest to zła metoda walki z komunizmem. Podobnie zresztą Wałęsa potraktował relacje i naukowe ustalenia związane z próbą przejęcia rodzącej się Solidarności przez środowisko Jacka Kuronia we wrześniu 1980 r. Wałęsa potwierdza, że Kuroń przyjechał wówczas do Gdańska z koncepcją usunięcia go z funkcji przewodniczącego MKZ NSZZ „Solidarność".

Obrońcom Wałęsy polecam zwłaszcza zawarte w tej książce wynurzenia na temat kobiet, bohaterów walki z komunizmem i nieżyjących współpracowników byłego prezydenta

JA, JA, JA...

Opowieść o herosie, który w pojedynkę „obala komunizm", oszukuje generałów, mianuje biskupów (abp. Tadeusza Gocłowskiego), doradza papieżowi, próbuje uciec z Arłamowa, ale obawia się, że wpadnie do studni przysypanej śniegiem, i jest postrachem Moskwy, byłaby jednak niepełna, gdyby nie pomniejszono znaczenia i roli wszystkich, których Wałęsa spotkał na swojej drodze. Prawdziwie czarnym charakterem najnowszej opowieści Wałęsy jest Bogdan Borusewicz. „Ile mnie ten Borsuk nerwów kosztował. [...] Borsuka nie lubię, bo w trudnych sytuacjach był zawsze po przeciwnej stronie. Zawsze mu się nie podobało. Teraz to chce być marszałkiem i na mojej walce robić karierę" – czytamy. Znajdujemy całą listę zarzutów Wałęsy pod adresem Borusewicza: wprowadzenie Edwina Myszka (agenta SB) do WZZ (akurat to prawda), nie dał „ani grosza", kiedy Wałęsa pozostawał bez pracy (to szczególnie haniebne, bo zachowały się rozliczenia WZZ z okresu finansowania całej rodziny Wałęsów w 1980 r.), nie kierował i nie miał wpływu na inny strajk w stoczni w Sierpniu '80 r. oraz nawoływał do niepodpisania porozumienia z 31 sierpnia 1980 r.

Wałęsa podobnie traktuje też innych. I tak Krzysztof Wyszkowski to „mitoman" bez posłuchu wśród robotników, Anna Walentynowicz – manipulowana przez Kuronia, Arkadiusz Rybicki „do roboty się nie nadaje", Jacek Merkel – „wierzyłem" i „nie wierzyłem" w jego agenturę, Aleksander Hall – pisał książki i „się nie nadawał", Andrzej Gwiazda – „fajny facet, ale się nie nadawał", Jan Rulewski, Władysław Frasyniuk i Zbigniew Bujak „nie mieli szans", kard. Józef Glemp „był słabiutki", Tadeusz Mazowiecki „porządny człowiek, ale zachowawczy", „on nie wycofałby radzieckich wojsk, nie stanąłby przeciwko generałowi", Wiesław Chrzanowski „trząsł się" ze strachu, Sławoj Leszek Głódź „jako ksiądz mi nie pasuje", a Bronisław Geremek „jeździł za granicę, więc musiał się na coś zgodzić i może coś podpisał", Donald Trump – tak „nieciekawy facet", że aż go „nie pamiętam", Danuta Wałęsa – jej mowa w Oslo w 1983 r. na trzy plus...

Tradycyjnie już Wałęsa z atencją odnosi się w zasadzie jedynie do komunistów i ludzi tajnych służb PRL (Wałęsa opowiada o swoich ludziach w SB na czele ze Zbigniewem Grzegorowskim), bo przecież „system był zły, a nie ludzie". I znów znajdujemy deklarację, że Wojciech Jaruzelski nie stał za zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki, bo to był po prostu „wypadek". Co ciekawe, w opowieści pojawia się także postać gen. Adama Krzysztoporskiego – potężnego niegdyś szefa Departamentu III MSW, z którym Wałęsa miał rozmawiać zanim doszło do zwołania okrągłego stołu. Jednak w tym schemacie pojawiły się dwie korekty: Aleksander Kwaśniewski jest od teraz agentem rosyjskim, Czesław Kiszczak winien jest zaś prowokacji z fałszywkami donosów „Bolka", do której wykorzystał Kornela Morawieckiego, Annę Walentynowicz i „wnuka UB-eka" z IPN.

PROROCTWO BĄDKOWSKIEGO

Kiedy jakiś czas temu napisałem, że Lech Wałęsa jest „podkulturowym typem ludzkim", pojawiły się głosy, że traktuję go zbyt ostro. To właśnie moim krytykom i obrońcom Wałęsy szczególnie polecam tę książkę, a zwłaszcza zawarte w niej wynurzenia na temat kobiet, wielu polskich bohaterów walki z komunizmem i nieżyjących współpracowników byłego prezydenta, na których zrzuca odpowiedzialność za „wypożyczanie" (na zawsze) dokumentacji „Bolka" w latach 1992–1995. Zresztą również dla nich nie znajduje Wałęsa dobrego słowa, uznając, że broniący go przed syndromem „Bolka" historycy niczego z jego walki „nie rozumieją", gdyż uznają teczki „Bolka" za autentyczne.

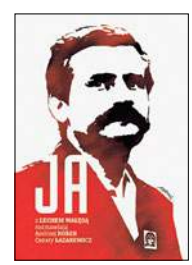

„JA. Z LECHEM WAŁĘSĄ ROZMAWIAJĄ ANDRZEJ BOBER I CEZARY ŁAZAREWICZ"
W.A.B. 2017

Zawsze, kiedy pochylam się nad kolejnymi wynurzeniami Wałęsy i jego życiorysem, mam w pamięci jakże profetyczny artykuł Lecha Bądkowskiego „Człowiek z czego?" z 1981 r.: „Lech Wałęsa jest postacią historycznie przypadkową, to jest przykład płatania figlów przez historię. Dylemat polega na tym, że głód moralnego przywództwa w Polsce spowodował to niesłychane wyniesienie Wałęsy. I w tym wypadku nawet nie można działać otrzeźwiająco na ludzi, ponieważ pozbawi się ich tego, co z takim trudem uzyskali i z taką radością przyjęli. A zarazem wiadomo, że ten człowiek, chociaż jest symbolem przełomu, nie jest oczekiwanym przywódcą. Przeskoku z represjonowanego bezrobotnego na człowieka roku kreowanego na Zachodzie, na okładki ilustrowanych pism o milionowych nakładach, udzielającego wywiadów największym na świecie agencjom, tygodnikom i dziennikom, mógłby dokonać tylko człowiek o ogromnej kulturze wewnętrznej, by nie ulec zepsuciu".

Dzisiaj wiemy, że Wałęsa nie tylko uległ straszliwemu zepsuciu, lecz także w swój upadek uwikłał miliony Polaków i państwo, którym przez pięć lat na nieszczęście rządził. Jego najnowsza książka jest tego najlepszym świadectwem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. FOTOLIA

Dokształcanie się opłaca

Czasy, gdy raz zdobyte wykształcenie wystarczało na całe życie zawodowe, odeszły do lamusa. Świat pędzi do przodu w zawrotnym tempie – aby za nim nadążyć, trzeba ciągle poszerzać wiedzę i kwalifikacje. Doświadczenie pokazuje, że to się opłaca. Również dlatego, że wiele kursów, szkoleń czy studiów podyplomowych dofinansowywanych jest z Funduszy Europejskich.

Na początek krótki quiz. Ilu Polaków w wieku 25–64 lata w skali roku bierze udział w kursie, szkoleniu lub studiach podyplomowych? Odpowiedź to ok. 30%. Wydaje się, że to sporo, a tymczasem plasujemy się z tym wynikiem znacznie poniżej średniej unijnej. To wbrew pozorom dobra wiadomość. Dobra dla kogo?

Przede wszystkim dla osób, które się dokształcają. Decydując się na udział w szkoleniu lub studiach podyplomowych, mogą mieć pewność, że wyróżni je to w oczach pracodawcy – zarówno obecnego, jak i przyszłego.

Niski stopień korzystania przez dorosłych Polaków z dodatkowej edukacji pokazuje też, że mamy jeszcze duży niewykorzystany potencjał. Jeżeli osiągamy sukcesy gospodarcze bez masowego dokształcania się, to dzięki dodatkowej edukacji może być tylko lepiej.

Ciągłe poszerzanie wiedzy i umiejętności staje się koniecznością m.in. ze względu na rozwój technologiczny. W coraz większym stopniu jest on obecny w życiu prywatnym i zawodowym. Może ułatwić wiele spraw, ale najpierw trzeba nauczyć się z niego korzystać.

Zmienia się też rynek pracy. Jedne zawody stają się mniej potrzebne, inne zyskują na znaczeniu, a kolejne dopiero powstają. Może okazać się, że nasze umiejętności w coraz mniejszym stopniu przystają do obecnych realiów. Receptą na tę sytuację może być właśnie dodatkowa edukacja.

NAUKA Z DUŻĄ ULGĄ

Osoby dorosłe, które decydują się na podjęcie nauki, mają do dyspozycji szeroki wachlarz możliwości. Co

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 71a92482cc

ciekawe, cena takich usług bywa często bardzo atrakcyjna, a niekiedy w ogóle nie trzeba za nie płacić. Dzieje się tak dzięki unijnemu i krajowemu dofinansowaniu. Jak z niego skorzystać?

Najprościej wygląda to w przypadku kształcenia formalnego – studiów licencjackich, magisterskich i doktoranckich, a także techników i liceów dla dorosłych. W tym przypadku to szkoły i uczelnie pozyskują środki unijne. Dzięki temu mają ciekawszą ofertę edukacyjną dostępną w znacznie niższych cenach. Czasem oferują nawet stypendia dla swoich uczniów i studentów. Chcąc pójść na studia lub np. zostać technikiem masażystą, najlepiej zapytać bezpośrednio w szkołach, czy mają w swojej ofercie dofinansowany kierunek. Jeżeli tak, zgłaszamy się i uczymy, nie martwiąc się o dodatkowe formalności związane z unijnym dofinansowaniem.

Podobnie sytuacja wygląda z niektórymi rodzajami szkoleń, głównie kursami językowymi i komputerowymi. Dofinansowanie na ich realizację szkoły pozyskują od urzędu marszałkowskiego w swoim regionie. Udział w nich jest bezpłatny lub dostępny za niewielką opłatą. Najczęściej w pierwszej kolejności są one kierowane do osób w trudniejszej sytuacji na rynku pracy, np. bezrobotnych czy powyżej 50. roku życia. Jak znaleźć szkołę i ciekawy kurs? Najlepiej zapytać w Punkcie Informacyjnym Funduszy Europejskich. Można też skorzystać ze strony ***www.funduszeeuropejskie.gov.pl/wyszukiwarka***. W wyszukiwaniu zaawansowanym wystarczy zaznaczyć swój region, lata „2014–2020" oraz temat „nauka i edukacja".

Ciekawa oferta dostępna jest też dla osób, które chcą oswoić się z nowymi technologiami cyfrowymi. Obecnie dostępne są 4 projekty finansowane z programu Polska Cyfrowa.

- „E-kompetencje bez barier" ***http://e-kompetencje.wmzdz.pl***
- „Latająca Akademia Edukacji Cyfrowej" ***https://zhp.pl***
- „e-Mocni: cyfrowe umiejętności, realne korzyści" ***http://www.e-mocni.org.pl***
- „e-Obywatel: nowe umiejętności cyfrowe" ***www.eobywatel.kig.pl***

Ofertę dla siebie znajdą też nauczyciele ze szkół podstawowych (klasy 1–3). Dzięki projektom unijnym nauczą się podstaw programowania i będą mogli wykorzystać tę wiedzę z korzyścią dla swoich uczniów. Takie projekty prowadzić będą m.in. Fundacja Orange, Fundacja Rozwoju Edukacji Elektronicznej, Wyższa Szkoła Humanitas, Fundacja VCC, Fundacja Silver Economy oraz Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego.

FOT. FOTOLIA

GDZIE PO INFORMACJE?

Szczegółowych informacji o wszystkich możliwościach wsparcia unijnego udzielają pracownicy Punktów Informacyjnych Funduszy Europejskich. PIFE pomogą też znaleźć projekty edukacyjne dostępne w danym regionie. Dane kontaktowe dostępne są na stronie ***www.funduszeeuropejskie.gov.pl/punkty.***

Szukając informacji o dofinansowaniu z urzędów pracy, warto zadzwonić również na Zieloną Linię (tel. 19 524).

ok. 30 proc.

TYLU POLAKÓW W WIEKU 25–64 LATA W SKALI ROKU BIERZE UDZIAŁ W KURSIE, SZKOLENIU LUB STUDIACH PODYPLOMOWYCH

BONY I DOTACJE NA EDUKACJĘ

Jest jeszcze druga ścieżka korzystania z unijnego dofinansowania na edukację dorosłych, w której stara się o nie sam zainteresowany.

Osoby pracujące w firmach powinny przede wszystkim porozmawiać ze swoim pracodawcą. Przedsiębiorcy mają bowiem możliwość otrzymania dofinansowania na pokrycie części kosztów szkoleń i innych form edukacji dla siebie i swoich pracowników. Mogą skorzystać z oferty firm szkoleniowych dostępnych w Bazie Usług Rozwojowych (BUR, ***https://uslugirozwojowe.parp.gov.pl***).

eprasa.pl 71a92482cc

Na udział w części z nich można otrzymać dofinansowanie (rzędu 50–80%).W jaki sposób? W pierwszej kolejności należy znaleźć ciekawą ofertę w BUR. Przy każdej usłudze edukacyjnej dostępnej w Bazie podana jest informacja, czy można uzyskać na nią dofinansowanie oraz jak to zrobić. Strona wskaże też dane kontaktowe do instytucji, która przyznaje je w danym regionie.

System ten nie jest jednak obecny w województwie mazowieckim i pomorskim. Firmy i pracownicy z tych regionów mogą skorzystać ze wskazanych wcześniej szkoleń językowych i komputerowych albo z Krajowego Funduszu Szkoleniowego (KFS). Środki z KFS przyznawane są przez urzędy pracy. Pracodawca może otrzymać dofinansowanie do 80% wartości usługi edukacyjnej. W przypadku firm zatrudniających poniżej 10 pracowników urząd pracy sfinansuje całość wydatków.

Niedawno pojawiła się jeszcze jedna możliwość – czyli pożyczki z Programu Wiedza Edukacja Rozwój na niemal dowolnie wybraną usługę edukacyjną. Pożyczka nie tylko jest nieoprocentowana, ale po ukończeniu szkolenia czy studiów podyplomowych można otrzymać umorzenie do 25% jej wartości. Udzielane są one m.in. za pośrednictwem strony ***http://inwestujwrozwoj.pl***.

W przypadku poszukujących pracy takie wsparcie udzielane jest przez urzędy pracy. Dostępne jest ono również dla osób pracujących, ale starszych niż 45 lat. Na co można liczyć? Na dotację na szkolenia (do 4 tys. zł) lub studia podyplomowe (do 12 tys. zł) bądź na preferencyjną pożyczkę na formę dokształcania wybraną przez osobę zainteresowaną (do 16 tys. zł). Urząd może też sfinansować dodatkowe koszty udziału w kursie czy studiach, np. koszty dojazdu. Informacji udzielają pracownicy urzędów pracy, a także infolinii Zielona Linia (tel. 19 524). ©℗

Agnieszka Lewandowska

WYPOWIEDŹ BENEFICJENTA

Michał Rabiega z Pruszkowa

Wziąłem udział w studiach podyplomowych IT Project Manager. Zorganizowała je Warszawska Wyższa Szkoła Informatyki. Zakres programowy pokrywał się z moimi aspiracjami zawodowymi, jednak to dofinansowanie miało decydujący wpływ na podjęcie decyzji o zapisaniu się na studia.

Mimo że pogodzenie spraw rodzinnych i pracy ze zjazdami co 2 tygodnie w weekendy nie należało do najprostszych wyzwań, to jestem teraz zadowolony. Dzięki tym studiom miałem możliwość awansu zawodowego i zmiany pracy.

FUNDUSZE EUROPEJSKIE NA DOKSZTAŁCANIE

dla szukających pracy	dla pracowników	dla przedsiębiorców
pożyczki z urzędu pracy • do 16 tys. zł	**pożyczki z urzędu pracy** • dla osób 45+ • do 12 tys. zł	**Krajowy Fundusz Szkoleniowy** • dofinansowanie 80–100% • wnioski składa się w urzędach pracy
dotacje z urzędu pracy • do 4 tys. zł na szkolenia • do 12 tys. zł na studia podyplomowe	**dotacje do 5 tys. zł z urzędu pracy** • dla osób 45+ • do 4 tys. zł na szkolenia • do 12 tys. zł na studia podyplomowe	**Baza Usług Rozwojowych** • dofinansowanie 50–80% • wybór usługi z BUR • dofinansowanie z Programu Regionalnego • bez Mazowsza i Pomorza

STUDIA I SZKOŁY DLA DOROSŁYCH

- oferowane przez szkoły, które uzyskały dofinansowanie
- niższe czesne
- lepsza oferta edukacyjna
- możliwość otrzymania stypendiów (w zależności od oferty danej szkoły)

UDZIAŁ W DOFINANSOWANYCH SZKOLENIACH

- językowe i komputerowe (Programy Regionalne)
- dla nauczycieli, programistów i wzmacniające kompetencje cyfrowe (Program Polska Cyfrowa)
- zerowe lub niższe koszty udziału

POŻYCZKI Z PROGRAMU WIEDZA EDUKACJA ROZWÓJ

- o wartości od 600 zł do 100 tys. zł
- możliwość umorzenia tej kwoty o 20–25%
- szczegóły na stronie ***http://inwestujwrozwoj.pl***

Fundusze Europejskie
Rzeczpospolita Polska
Unia Europejska
Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ

eprasa.pl 71a92482cc

Z Krzysztofem Czabańskim, przewodniczącym Rady Mediów Narodowych
rozmawia Maciej Pieczyński

Ograniczymy monopol na rynku mediów

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Trzeba się bić o wolność słowa" – apelowali Jacek Żakowski, Dominika Wielowieyska i Andrzej Morozowski z okładki „Newsweeka". Mają o co? Skąd te militarystyczne nastroje?

KRZYSZTOF CZABAŃSKI: Z nawyku do manipulacji. I dlatego że ci dziennikarze nie wyobrażają sobie różnorodności na rynku mediów. Pluralizm im po prostu przeszkadza. Mają typowe dla III RP zapędy do monopolizacji opinii publicznej, do narzucania wszystkim mediom jedynie słusznej narracji. Przy czym ta narracja się zmieniała zależnie od okoliczności zewnętrznych. Warto przypomnieć, że Adam Michnik przyznał się kiedyś do pomyłki, jaką był atak na Kaczyńskiego za troskę o ludzi wykluczonych. Obóz lewicowo-liberalny jest jednak zdolny do wyciągania jedynie powierzchownych wniosków ze swoich błędnych działań. Dla nich słuszne jest to, co jest skuteczne. Ze szczególnym ubolewaniem odnoszę się do wypowiedzi Jacka Żakowskiego, który był moim kolegą w czasach opozycji antykomunistycznej. Współzakładał Solidarność w RSW, współpracował z opozycyjnymi pismami katolickimi i podziemnymi. Dziwię się, że ludzie z taką przeszłością mają dziś tendencję do narzucania swojej woli wszystkim inaczej myślącym.

Tyle że oni twierdzą, że PiS zagraża ich wolności.

W jaki sposób?! Niech pan nie żartuje.

To nie ja żartuję, cytuję tych dziennikarzy.

Chyba po to, żeby ich ośmieszyć. Szczególnie że o zagrożeniu dla wolności słowa mówią z okładki tygodnika o jednym z największych nakładów i bez skrępowania powtarzają to na antenie telewizji o wysokiej oglądalności.

Skoro zatem nie biją się o wolność, to o co?

O monopol na rynku dla swoich mediów. Dziennikarze lewicowo-liberalni (liberalni na modłę lewicową, a nie w klasycznym wydaniu) narzucali w III RP ton debaty, odgrywając niejako rolę kamertonu służącego do strojenia opinii publicznej. Gdy okazało się, że nie mają na to wyłączności, zaczęło to ich uwierać. Gdy 10 lat temu PiS podjął pierwszą próbę pluralizacji mediów publicznych, a do kierowanego wówczas przeze mnie radia zaczęli przechodzić prawicowi publicyści, nasi przeciwnicy podnieśli taki krzyk, jakbym niszczył to radio. Tymczasem ja je ratowałem, zapewniając pluralizm w medium zdominowanym wcześniej przez lewaków.

Przy okazji zwalniał pan jednak dziennikarzy lewicowo-liberalnych.

Część z nich musiała się przesunąć, by zwolnić miejsce przy mikrofonach dla dziennikarzy o odmiennych poglądach.

I tego boją się niechętni wam dziennikarze: że po reformie mediów PiS wyrzuci z TVN Morozowskiego, zastąpi go Karnowskim.

Takie bajki zostawmy na boku. Reforma mediów będzie szła w kierunku ograniczenia praktyk monopolistycznych na rynku mediów. To przecież realny problem, który próbuje się rozwiązywać w każdym cywilizowanym kraju. Nie chodzi o wyrzucenie z rynku komercyjnego mediów lewicowo-liberalnych, ale o to, by dać szansę także odmiennym ideowo inicjatywom.

Wiadomo, że zmiany będą szły właśnie w kierunku repolonizacji. Czy polski kapitał w mediach to rzeczywiście gwarancja propolskiej narracji?

Chodzi jednak nie o ograniczenie kapitału zagranicznego jako takiego, ale o zwalczanie praktyk monopolistycznych, niezależnie od tego, kto je stosuje.

W przypadku mediów kapitał ma narodowość?

Zdecydowanie. Szkoda, że dopiero obecny rząd zdaje sobie z tego sprawę. W latach 90. każdy, kto przyjechał z zagranicy i miał trochę pieniędzy, mógł stać się ważnym graczem na polskim rynku medialnym. Dlatego mamy dziś taką sytuację, że znaczna część tego rynku znajduje się w rękach zagranicznych. To patologia. Nie jest dobrze, gdy media kierują się racją stanu obcego państwa.

A ma pan dowody, że należące do niemieckiego kapitału polskojęzyczne media kierują się niemiecką racją stanu?

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 71a92482cc

Wystarczy prześledzić, jak zachowują się media w innych krajach – przykładowo, gdy instytucje unijne krytykują Francję, francuskie media stają w obronie własnego interesu narodowego. U nas jest dokładnie odwrotnie. Większość mediów, także te z obcym kapitałem, staje murem za Brukselą. To patologia, która wynika z wieloletniej dominacji mediów lekceważących polską rację stanu – niezależnie od tego, czy są one własnością kapitału obcego, czy polskiego.

Media regionalne również?

Nie śledzę mediów regionalnych, ale już te najbardziej wpływowe, ogólnopolskie, za każdym razem w sporze Bruksela – Warszawa atakują Warszawę. Nawet jeśli nie realizują interesów obcego państwa, to ponad polskim interesem narodowym stawiają interes unijny. Dobitnie świadczy o tym opublikowana swego czasu instrukcja dla dziennikarzy szefa koncernu Ringier Axel Springer. A wracając do rzekomego duszenia wolności słowa przez PiS… Niedawno głosami partii rządzącej – choć nie tylko – została uchwalona rządowa nowelizacja prawa prasowego, która znosi obowiązek pisania tekstów zgodnie z linią redakcyjną. Dziennikarz nie musi więc już pisać wbrew swoim poglądom, na polecenie naczelnego. To oczywista zmiana na korzyść wolności słowa. Tego jednak media lewicowo-liberalne „nie widzą", bo wolność słowa jest dla nich wyłącznie frazesem.

W satyrycznym serialu Roberta Górskiego Krzysztof Czabański i Jacek Kurski zawzięcie walczą ze sobą o dostęp do „ucha prezesa". Ile prawdy odbija to krzywe zwierciadło?

Tym pytaniem stawia mnie pan w beznadziejnej sytuacji. Jeśli skrytykuję satyrę, to wyjdę na faceta bez poczucia humoru, przy tym nie ma nic śmieszniejszego niż oburzanie się na parodię. To byłby gotowy scenariusz do kolejnego odcinka z moim udziałem. Nie mam jednak zamiaru iść śladem tych polityków, którzy demonstracyjnie podlizują się satyrykom i wychwalają ich za to, że sprawili im tę przyjemność i ich sparodiowali. Moim zdaniem autorzy „Ucha prezesa" nie za dużo wiedzą o kuchni politycznej. Kierują się stereotypowymi wyobrażeniami. Prawdą jest, że telewizja publiczna wymaga jeszcze wiele pracy. I prawdą jest, że z prezesem Kurskim różnimy się wizją TVP. To żadna tajemnica. Ale zapewniam, że nie wyraża się to przerzucaniem się w gabinecie prezesa Kaczyńskiego infantylnymi uwagami.

Coraz częściej prawicowi publicyści krytykują TVP. Zarzucają, że tępą propagandą szkodzi „dobrej zmianie". Zgadza się pan z tymi opiniami?

Na pewno wartością dodaną TVP pod wodzą Kurskiego jest nowa narracja w przekazie informacyjno-polityczno-publicystycznym; ta narracja spluralizuje rynek polskich mediów.

Tylko czy ta narracja nie jest serwowana zbyt łopatologicznie?

Czasem tak. Ja bym się jednak skupił przede wszystkim na kwestiach warsztatowych. Często pytam szefów telewizji, czy ktokolwiek monitoruje program na bieżąco i wyciąga wnioski z tego, co pojawia się na ekranie. Okazuje się, że ten aspekt został zaniedbany. Konsekwencją braków warsztatowych, które są bolączką wielu dziennikarzy mediów publicznych, powinno być odsunięcie od kamery i mikrofonu. Co prawda, generalnie ważniejsza jest treść przekazu niż jego forma, jednak jeśli forma będzie kuleć, widzowie nie zechcą wsłuchać się w treść.

W cytowanym już wywiadzie Andrzej Morozowski twierdzi, że gdyby TVN otwarcie wezwał do protestów w obronie stacji, na ulicach pojawiłby się milion ludzi.

Taka frekwencja byłaby możliwa, gdyby naprawdę chodziło o wolność mediów. Tak było w przypadku protestów w obronie TV Trwam. Wzięło w nich udział kilkaset tysięcy osób, zaniepokojonych realnym, a nie urojonym kneblowaniem mediów. To byli ludzie naprawdę zatroskani o wolność słowa. Zostawmy więc w spokoju Morozowskiego i jego sny o potędze, a zwłaszcza o przywróceniu monopolu jego środowiska.

To także sny o potędze opozycji.

Warto zauważyć, że totalna opozycja chce likwidacji Rady Mediów Narodowych, mimo że jest to ciało pluralistyczne, bo na pięciu członków dwóch pochodzi z opozycji. Nie krytykuje natomiast nadmiernie KRRiT, gdzie nie ma nikogo z opozycji. To dowód, że tak naprawdę chodzi im o zachowanie systemu, w którym zwycięzca bierze wszystko. Z tym oczywiście przekonaniem, że to oni będą zwyciężać.

Czy spór na linii PiS – prezydent Andrzej Duda to nowa wojna na górze?

Ja widzę raczej próbę porozumienia się co do najbardziej efektywnego kształtu reformy sądownictwa.

Myśli pan, że obóz „dobrej zmiany" wyszedł z tego konfliktu mocniejszy?

Mówienie o konflikcie to manipulacja służąca walce politycznej.

Ale prawdą jest, że politycy PiS ostro krytykowali prezydenta.

Mimo wszystko takie konfrontacyjne słownictwo niepotrzebnie podgrzewa emocje. Mam nadzieję, że rozmowy merytoryczne w sprawie reformy sądownictwa zakończą się porozumieniem.

Lakonicznie pan odpowiada. A może Andrzej Duda to dla PiS konstruktywna opozycja, zdolna odebrać głosy opozycji totalnej?

Mam nadzieję, że prezydent zachowa instynkt polityczny i nie da się wciągnąć w taką wydumaną grę. Powinien pełnić funkcję głowy państwa, a nie opozycji wobec rządu.

Grzegorz Schetyna zapowiada, że PO będzie koordynować protesty w obronie sądownictwa.

Można się pastwić nad Schetyną, ale po co? Wystarczy, że rzeczywistość się nad nim pastwi. Proszę spojrzeć na sondaże.

Opozycja rozpieszcza PiS?

To prawda, ale właśnie dlatego obóz władzy musi być uważny. Z drugiej strony trzeba przyznać, że ten rząd jak żaden inny w historii III RP jest konsekwentny w realizacji swoich wyborczych obietnic. Nie powinien jednak popadać w samozachwyt.

Wróćmy na koniec do Jacka Kurskiego. Stwierdził pan, że RMN posiada wobec mediów broń atomową, nie dysponuje zaś bronią konwencjonalną. Co Kurski musi zrobić, by nie użył pan guzika atomowego i nie wysadził prezesa TVP ze stanowiska?

Trzymając się tej metaforyki, cały czas pracujemy na poligonie. Odbywają się cykliczne spotkania z kierownictwami poszczególnych mediów, na bieżąco wyjaśniamy sobie różne sprawy.

Kurski nie ma się czego bać?

Prezes TVP nie może być człowiekiem strachliwym. Pamiętajmy, że programy informacyjne i publicystyczne to tylko 5 proc. Reszta to rozrywka i kultura. Nie można jednak wszystkiego załatwiać sportem. W telewizji musi być więcej własnych produkcji, więcej kultury, także wysokiej. W radiu kultura jest w lepszym stanie, choć też powinno być jej więcej, do tego profesjonalnie podanej. Jeżeli misję „kultura" – a to przecież jest główna misja mediów publicznych – prezes Kurski będzie wypełniał, żadne guziki nie będą potrzebne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

Kotwice PiS

Rafał A. Ziemkiewicz

Transfery społeczne, sukces gospodarczy – z tym nie można wygrać, odwołując się do poprzednich rządów najeżonych patologiami i zapowiedziami wprowadzenia „związków partnerskich"

Jak to jest, że temu strasznemu PiS nie spada, a nawet rośnie. Próby odpowiedzi na to pytanie, jakich próbują udzielić „totalna opozycja" i wspierające ją media, nieodmiennie brzmią groteskowo. Udzielając ich, wrogowie PiS nie potrafią bowiem wyjść poza swoje „urojenia wyższościowe". Podstawą niechęci elit III RP do PiS jest przekonanie, że to partia podludzi – starszych, biedniejszych, głupich. Nie można więc przyznać, że taka partia w czymkolwiek okazała się lepsza niż partia „ludzi rozumnych i na pewnym poziomie".

Spróbujmy więc pomóc totalnym poradzić sobie z ich dysonansami poznawczymi i wyjaśnić główne powody, dla których ci Polacy, którzy głosowali na PiS, nie żałują swojej decyzji, a wielu z tych, którzy nie głosowali, zamierza to zrobić.

Być może określenie „zwykli Polacy" jest w przekazie PiS – zwłaszcza w wystąpieniach pani premier – nieco nadużywane, ale spozycjonowanie partii rządzącej jako partii „zwykłego Polaka" w opozycji do partii „elit" okazało się w wyborach 2015 i później niezwykle skuteczne.

„ZWYKLI POLACY"

PiS grał tą kartą od dawna – można przypomnieć sławne spoty z pustoszejącą lodówką i znikającymi pluszakami ze zwycięskiej kampanii 2005. Jednak w roku 2007 mechanizm oparty na podzieleniu Polski na „solidarną" i „liberalną" zawiódł. Na pewien czas Polska „liberalna" okazała się mieć dla Polaków więcej uroku niż ta proponowana przez PiS.

Po ośmiu latach rządów PO, a zwłaszcza po ujawnieniu taśm z Sowy i Przyjaciół nastroje jednak diametralnie się zmieniły – większość Polaków poczuła się wykorzystywana i oszukiwana przez kastę „dobrze ustawionych" cwaniaków. Opozycja tę zmianę przespała, PiS tymczasem zmodyfikował przekaz, zastępując nieco abstrakcyjne pojęcia doskonale trafionym słowem kluczem. Ze „zwykłym Polakiem" jest bowiem tak samo jak z „klasą średnią" w USA – jakkolwiek by ją opisywali socjologowie, za członków „klasy średniej" uważa się 90 proc. pytanych o to wyborców.

Oczywiście „do tanga trzeba dwojga" – spozycjonowanie PiS jako partii „zwykłych Polaków" nie udałoby się tak dobrze, gdyby „opozycja totalna" nie brnęła z samobójczym uporem w celebrycką pogardę dla gorzej urodzonych i nie bazowała w komunikacji społecznej na dyskursie oderwanych od codziennego życia salonów.

TRANSFERY SPOŁECZNE

Swą wiarygodność jako obrońcy i rzecznika interesów „zwykłego Polaka" zbudował PiS przede wszystkim czynem – dokonując największych w dziejach RP transferów społecznych. Sztandarowym projektem jest tutaj oczywiście program wspierania rodzin wielodzietnych, potocznie zwany „500+".

Było to posunięcie ze strony PiS bardzo ryzykowne. Niemniej posunięcia ryzykowne, jeśli się udadzą, z reguły przynoszą wielki zysk. I tak właśnie jest z „500+".

Po pierwsze – okazało się, że można. Państwo od „rozdawnictwa" nie upadło, nie zbankrutowało, przeciwnie, równolegle z jego realizacją wskaźniki ekonomiczne się poprawiły. Tym samym PiS zyskał argument dyskredytujący całe „25 lat wolności", tak bronione przez „opozycję totalną", kiedy to nieustannie „zwykli Polacy" słyszeli, że nic się nie da, na nic nie ma pieniędzy. A jednocześnie stale słyszeli o tym, że miliardy są marnowane bądź rozkradane przez elity.

Po drugie – okazało się, że „zwykłym Polakom" warto było zaufać. Oprócz zapowiedzi „greckiego bankructwa" dyskurs PO

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

i Nowoczesnej wobec „500+" bazował na straszeniu, że program ten zdemoralizuje jego beneficjentów – pieniądze zostaną przepite, obdarowywane matki zaczną rzucać pracę, przybędzie patologii. Po roku funkcjonowania programu z badań wykonanych przez CBOS, ale i z wielu innych źródeł, widać, że zapowiedzi te bezpodstawnie obrażały „zwykłych Polaków". W pierwszych miesiącach pieniądze ze świadczenia rodziny przeznaczały głównie na buty, odzież i inne wydatki, które można uznać za uzupełnienie braków wywołanych niedostatkiem – później zaczęły dominować wydatki na dodatkowe zajęcia, zwłaszcza językowe i sportowe, kulturę oraz inne formy inwestowania w dzieci. Przypadki zamiany świadczenia gotówkowego na rzeczowe, przewidziane w wypadku stwierdzenia rodzinnych patologii, są tak nieliczne, że statystycznie nieistotne – praktycznie zaś zlikwidowane zostało dotkliwe w ostatnim ćwierćwieczu ubóstwo dzieci.

Program zasadniczo zmienił Polskę, zmienił oczekiwania obywateli wobec państwa i sposób myślenia o nim. I kto tej zmiany nie uwzględni, nie ma szans na sukces w polskiej polityce nawet w odległej przyszłości.

WYSTARCZY NIE KRAŚĆ

Nawet zdecydowani zwolennicy PiS, bazującego zawsze na hasłach i elektoracie tożsamościowym, nie spodziewali się po jego rządach niczego szczególnego w dziedzinie gospodarki – ot, byle jej zanadto nie popsuł. Dlatego sukces w tej dziedzinie jest dziś jednym z największych atutów rządzących, uwiarygadniając ich w oczach społeczeństwa. Oczywiste jest też, że bez sukcesów gospodarczych nie byłoby możliwe „500+", a tym bardziej kolejne zapowiadane przez PiS transfery społeczne.

Rosnące prognozy wzrostu i ratingi, rekordowo niskie bezrobocie, gwałtowny wzrost wpływów podatkowych, ujawniający skalę rozkradania państwa przez poprzedników – to wszystko wybiło z rąk obrońcom III RP ich najsilniejszą broń, którą było przekonanie wyborców, że może nie są doskonali, ale tylko oni mają u siebie ekspertów i fachowców. Okazuje się, że „misiewicze" wyszydzani przez media „opozycji totalnej" zarządzają spółkami Skarbu Państwa o niebo efektywniej niż ich „fachowi" poprzednicy.

Wicepremier Morawiecki bryluje w mediach, wszystkie sukcesy gospodarcze są skrupulatnie odnotowywane w rządowej propagandzie, co skutecznie wytwarza atmosferę gospodarczego sukcesu – ta zaś przekłada się na poczucie bezpieczeństwa. A kiedy władza daje poczucie bezpieczeństwa, wezwania do rewolucji i próby destabilizowania tylko mobilizują społeczeństwo do jej aktywnego popierania.

MUREM ZA HANKAMI

I tutaj również trzeba dodać, że do rosnącej popularności rządu walnie przyczynia się postępowanie jego głównych oponentów. Próba merytorycznego punktowania władzy poprzez znajdowanie miejsc, gdzie sukces jest chwilowy albo pozorny, wykazywanie długofalowych zagrożeń lub innego rodzaju szukanie dziury w całym też nie dawałoby opozycji w tej chwili szans na sukces, ale przynajmniej budowałoby pozycje wyjściowe dla przyszłej walki wyborczej, gdy upajający efekt uwolnienia gospodarki od balastu „renty korupcyjnej" (a ta okazała się w ćwierćwieczu III RP większa, niż sądzili nawet najwięksi pesymiści) przeminie, a koniunktury osłabną.

PO, Nowoczesna i PSL postanowiły jednak iść w zaparte i nadal w tonie pryncypialnie balcerowiczowskim krytykować ewidentnie przynoszące sukces posunięcia władzy jako katastrofę, broniąc jednocześnie uparcie swoich rządów, ze wszystkimi ich patologiami i przestępstwami.

Dopóki opozycja będzie – jak zapowiada – stać murem za mafią wyłudzającą VAT, złodziejami i czyścicielami kamienic, jednocześnie skupiając się na „bronieniu wolności" rozumianej jako aborcja i „związki partnerskie" czy wezwaniach do bojkotu TVP, PiS może liczyć na ogromną wyrozumiałość i cierpliwość wyborców.

WSTAWANIE Z KOLAN

Do najgrubszych błędów PO, Nowoczesnej i lewicy, dających obecną siłę PiS, należy drugi człon strategii „ulica i zagranica". Nieskrywana radość z ataków na Polskę Komisji Europejskiej i Komisji Weneckiej, i – jak się z czasem okazało – sprawcza rola w ściąganiu ich na nas, nie mogły się Polakom spodobać.

Tymczasem opozycja była przekonana, że skutek będzie właśnie odwrotny – że potępienie PiS przez ludzi takich jak Frans Timmermans i kampania przeciwko nam w zachodniej prasie raz jeszcze uruchomią w Polakach „murzyńskość", na której swego czasu bardzo zyskiwał Donald Tusk.

Opozycja i tu przegapiła zmianę nastrojów społecznych. Rzeczywiście, jeszcze niedawno Europa budziła w Polakach kompleks niższości, a zarazem postrzegana była jako szafarz dóbr, z którego łaski cieszymy się względnym, supermarketowym dostatkiem. Ściągnięci przez Angelę Merkel i eurokratów imigranci oraz wykazane przy tym ideologiczne zaślepienie Zachodu politpoprawnością, a wreszcie próba wciśnięcia tych „nachodźców" nam, łącząca się nierozerwalnie z atakami na rzekome „łamanie praworządności", odmieniły ten stan rzeczy. Europa stała się dla Polaka zagrożeniem – co nie mogło nie zmienić oceny sił politycznych, przedstawiających się jako jej namiestnicy na kraj.

Gwoli ścisłości, proces był dłuższy i miał też inne przyczyny, także wzrost poczucia własnej wartości, spowodowany wyżej wspomnianymi sukcesami gospodarczymi.

Uporczywe wykazywanie przez media „opozycji totalnej", że PiS jest źle widziany w Unii Europejskiej, i straszenie „polexitem" jest więc kolejną pracą, którą wykonują one na rzecz utrzymania przez PiS pełni władzy w kolejnej kadencji.

W demokracji bowiem, o czym nie powinniśmy zapominać, wyborcy wybierają nie między ideałami a realnymi propozycjami. Na chwilę obecną wyborcy nie dostrzegają atrakcyjnej kontroferty dla propozycji PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

Reprywatyzację czas zacząć

Stefan Sękowski

Minął rok od wejścia w życie „małej ustawy reprywatyzacyjnej", która nie rozwiązała problemów związanych z dekretem Bieruta, a także wywłaszczeniami dokonanymi przez komunistów w innych częściach kraju. Czy rząd PiS będzie kolejnym, który zamiecie sprawę pod dywan?

Temat zwrotów zawłaszczonych przez komunistów nieruchomości pojawia się z reguły w kontekście afer związanych z oszustwami i korupcją. Kolejne posiedzenia komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji i przenikliwe spojrzenie Patryka Jakiego wymierzone w świadków tylko utwierdzają nas w przekonaniu, że reprywatyzacja to jeden wielki szwindel. Z widoku umyka nam to, że przestępstw i nadużyć było tak wiele, ponieważ jesteśmy jedynym państwem byłego bloku sowieckiego, które do tej pory kwestii należycie nie uregulowało. Trudno mówić o „dzikiej" reprywatyzacji w Polsce, skoro żadnej reprywatyzacji nie było. Mamy do czynienia z erzacami, które mają na celu co najwyżej zaleczyć problem, ale przede wszystkim zamieść go pod dywan. 17 września minął rok od wejścia w życie tzw. małej ustawy reprywatyzacyjnej, uchwalonej jeszcze za rządów PO-PSL. Tę ustawę można nazywać „reprywatyzacyjną" jedynie żartobliwie, bo służy przede wszystkim utrudnieniu zwrotów nieruchomości.

NIE MA ZWROTU, NIE MA PROBLEMU?

Pomysł na nią pojawił się pod koniec ubiegłej kadencji Sejmu, kiedy po serii afer związanych z nieprawidłowym zwrotem nieruchomości w Warszawie Platforma Obywatelska postanowiła „coś z tym zrobić". Zamysł był prosty: skoro problemem były zwroty, do których doszło z naruszeniem prawa, to jeśli utrudnimy jakiekolwiek zwroty, nie będzie także tych niezgodnych z prawem. I tak uznano, że miasto może odmówić zwrotu nieruchomości wykorzystywanych do celów publicznych, np. urzędów, szkół i przedszkoli. Ponadto Warszawa ma prawo do pierwokupu roszczeń. Ustawa weszła w życie dopiero we wrześniu ubiegłego roku, ponieważ prezydent Bronisław Komorowski odesłał ją do Trybunału Konstytucyjnego, który

eprasa.pl 71a92482cc

dopiero w lipcu 2016 r. uznał ją za zgodną z ustawą zasadniczą. Andrzej Duda musiał ją, chcąc nie chcąc, podpisać.

Od urzędu m.st. Warszawy dowiadujemy się, że do 17 września 2017 r. na podstawie znowelizowanej ustawy, miasto wydało 75 decyzji odmownych. W ośmiu przypadkach skorzystało z prawa do pierwokupu. Dzięki temu nie dojdzie do odzyskania co najmniej dwóch kamienic wraz z lokatorami. Jednakże byli właściciele i ich spadkobiercy zazwyczaj bezsilnie czekają na rozwiązanie swoich spraw. Nie ma zwrotów, nie ma problemu? Nie do końca. Przedstawiciele Komitetu Obrony Praw Lokatorów, zajmujący się chronieniem mieszkańców m.in. reprywatyzowanych kamienic przed eksmisjami, twierdzą, że nie rozwiązuje ona problemu. – Ona ogranicza zwroty, ale nie dotyczy mieszkańców już oddanych kamienic. Ponadto nadal jest możliwe, choć trudniejsze, oddawanie budynków wraz z mieszkańcami – mówi „Do Rzeczy" Beata Siemieniako z KOPL. Samo stworzenie sytuacji, w której nawet nie można otrzymać odszkodowania w momencie odmowy zwrotu nieruchomości, może spowodować, że za kilka lat będziemy musieli zmierzyć się z serią pozwów do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Nie będzie to już problem większości PO-PSL-SLD, które wadliwą ustawę uchwaliły (PiS wstrzymał się od głosu), ani pewnie Hanny Gronkiewicz-Waltz, ale nas wszystkich, którzy będziemy musieli zapłacić za to odszkodowanie. – Sytuacja, w której miasto może odkupić roszczenie, jest korupcjogenna i nie likwiduje relacji spadkobiercy lub byłego właściciela z handlarzem roszczeń. Mogą się umówić, że w razie wykupienia przez miasto roszczenia, po cenie wyznaczonej przez rzeczoznawcę, były właściciel odda część uzyskanych środków handlarzowi – mówi „Do Rzeczy" prawnik zajmujący się sprawami reprywatyzacji w Warszawie, Jakub Żak.

SPADKOBIERCA TO RZADKO BOGACZ

Żak i jemu podobni prawnicy nie skupują roszczeń, ale pomagają osobom, którym niegdyś komunistyczne władze odebrały mienie, w jego odzyskaniu. Jest to możliwe, gdyż komuniści nie przestrzegali nawet przez siebie ustanowionego prawa. Tak zwany dekret Bieruta, wydany 26 października 1946 r. przez Krajową Radę Narodową, zakładał, że w celu sprawniejszej odbudowy stolicy trzeba grunty uczynić własnością miasta. W ten sposób znacjonalizowano dziesiątki tysięcy działek na terenie Warszawy (również w tych dzielnicach, które w ogóle nie były zniszczone), a także stojących na ich terenie budynków, mimo że dekret ich w ogóle nie dotyczył. Dzisiaj większość byłych właścicieli nie żyje, jednak pamięć o tym, że kiedyś należała do nich kamienica czy działka w Warszawie, jest żywa wśród ich potomków. – Często spadkobiercy zgłaszają się do nas tuż po świętach, gdy podczas rodzinnych spotkań wypływają np. stare dokumenty – mówi Żak. Zwroty dotyczą często działek przygotowanych pod budowę domów. Często gotowe były już plany inwestycji, jednak okupacja je pokrzyżowała.

W przypadku Zbigniewa Lisieckiego – prezesa Zrzeszenia Osób Dotkniętych Skutkami Dekretu Warszawskiego „Dekretowiec" – widoczne są różne rodzaje problemów związanych ze zwrotami. – Przed wojną mój dziadek miał z bratem w Warszawie cztery sklepy. Po wojnie te nieruchomości zostały mu odebrane. Do końca życia ich nie odzyskał, zawsze narzekał na krzywdę, jaką mu wyrządzili komuniści. Po wojnie odzyskałem kamienicę, jednak musiałem ją sprzedać, ponieważ była w bardzo złym stanie po użytkowaniu przez miasto. W miejscu sklepu na Powiślu stoi teraz wielopiętrowiec, a inna działka mojego dziadka przekazana została na zakład mechanika samochodowego. Nie chcę, żeby te działki przestały być użytkowane, czy przez warsztat, czy jako dom mieszkalny, lecz chciałbym po otrzymaniu udziału własności dojść do porozumienia stron, po którym obecny użytkownik płaciłby czynsz lub odkupił je ode mnie. Odszkodowanie wolałbym dopiero wtedy, gdy takie korzystne także dla obecnego użytkownika porozumienie nie dojdzie do skutku – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy".

– Poszkodowani przez dekret Bieruta są w większości szarzy obywatele, żadni bogacze. Gdy już udaje im się odzyskać mienie, dostają często walący się budynek z lokatorami, którzy niekiedy nie płacą czynszu. Brakuje im przedsiębiorczości i twardości. Nie mają też często pomysłu, jak je zużytkować, stąd decydują się często na odsprzedanie roszczeń lub samej kamienicy – tłumaczy „Do Rzeczy" poseł Prawa i Sprawiedliwości oraz były burmistrz dzielnicy Praga-Północ Paweł Lisiecki (zbieżność nazwisk przypadkowa). Dlatego nie jest najlepszym rozwiązaniem przekazywanie im zwrotu w naturze. Niestety, dla miasta akurat do tej pory było, gdyż z jednej strony pozbywało się często uciążliwego mienia, a z drugiej nie musiało sięgać do kasy, by wypłacić odszkodowania.

KONIEC ZAMIATANIA POD DYWAN?

Uchwalenia właściwej ustawy, która by porządkowała ten prawny bałagan, chcieliby przedstawiciele środowisk lokatorskich. – Lepiej usuwać przyczyny niż skutki. Obecnie proces zwrotów jest bardzo nieprzejrzysty – mówi Siemieniako. W tej kadencji jako pierwsza swój projekt zgłosiła Platforma Obywatelska, jednak negatywnie zaopiniowała go komisja sejmowa. Rząd do tej pory sprawą się nie zajął. Co prawda w lipcu Patryk Jaki zapowiedział w rozmowie z Polsat News, że ministerstwo pracuje nad ustawą reprywatyzacyjną, jednak do tej pory nie widać efektów tych działań. Grupa parlamentarzystów i senatorów nie tylko z PiS pracuje nad projektem ustawy, który napisał były senator PiS Piotr Andrzejewski, współtwórca zawetowanej w 2001 r. przez prezydenta Kwaśniewskiego ustawy reprywatyzacyjnej. Wedle propozycji do zwrotów dopuszczeni byliby tylko byli właściciele i ich spadkobiercy (nie handlarze roszczeniami). W odzyskiwanych kamienicach nie mogliby naruszać dotychczasowych praw mieszkańców ani pozbywać się ich dopóty, dopóki ci nie uzyskają lokali zamiennych, dlatego zapewne częstszym rozwiązaniem byłoby przyznanie właścicielom i spadkobiercom bonów kompensacyjnych, które mogliby wymienić na nieruchomości zamienne (np. mieszkania należące do miasta) lub udziały w funduszu inwestycyjnym, z którego będzie można uzyskać środki finansowe.

Projekt nie trafił jednak jeszcze do Sejmu i trudno powiedzieć, jakie są szanse na jego przegłosowanie – choć biorąc pod uwagę zaangażowanie w prace polityków PiS pewne szanse istnieją. Warto też pamiętać, że na rogatkach warszawskich świat się nie kończy, a nieruchomości w stolicy to tylko wyimek z problemu, w jaki wepchnęli nas przed laty komuniści. W wielu miastach i wioskach Polski na zwrot lub rozwiązanie sporów z byłymi właścicielami czekają liczne kamienice, dworki czy pałacyki. Od czegoś trzeba jednak zacząć prawdziwą, a nie tylko werbalną dekomunizację prawa w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 71a92482cc

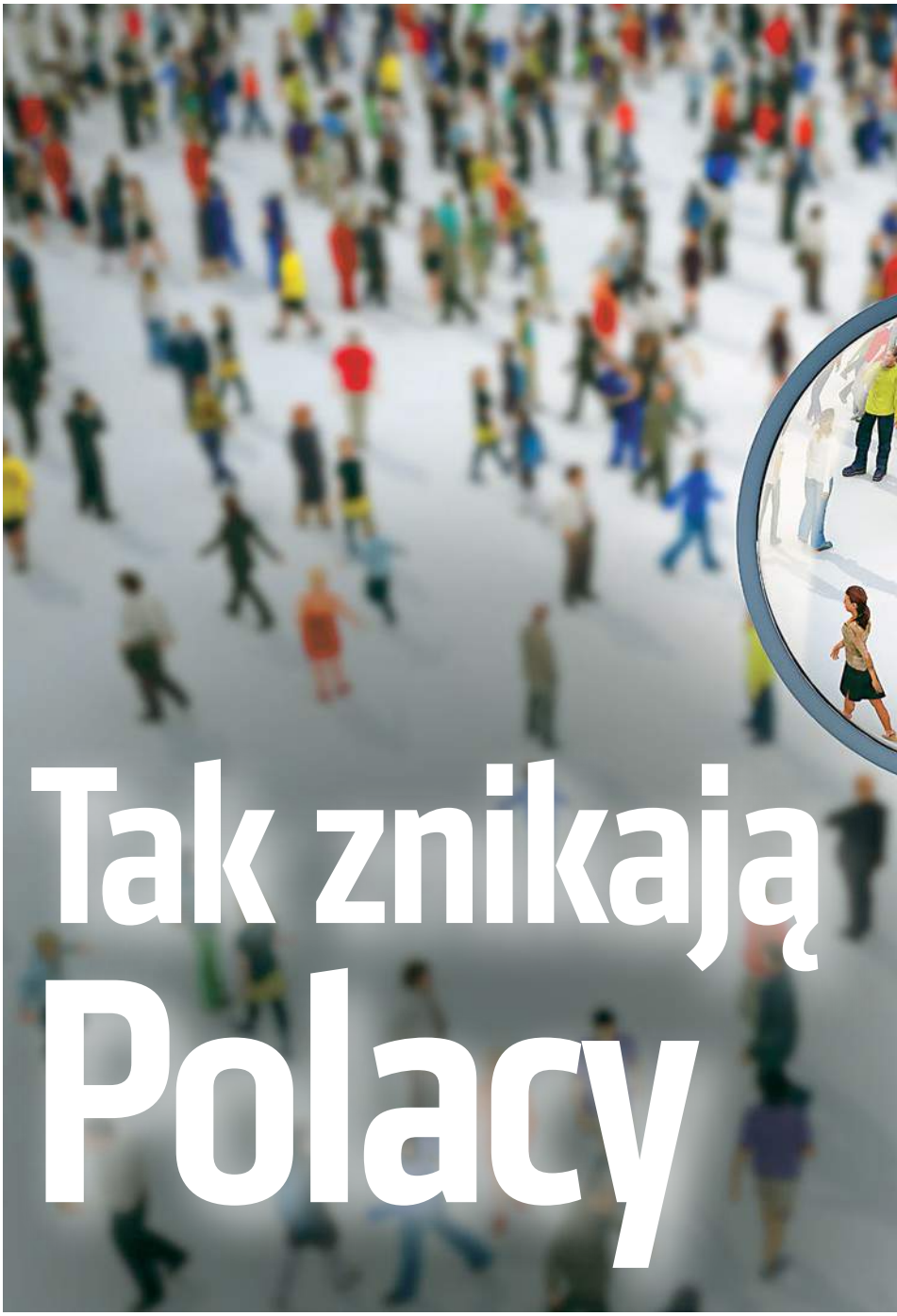

Tak znikają Polacy

Agnieszka Niewińska

ONZ przewiduje demograficzną hekatombę. Za 80 lat nad Wisłą może nas być o 17 mln mniej. „Rodzina 500+" to za mało, by odwrócić ten trend – mówią demografowie

To nie szybki spadek liczby ludności Polski. To już galop. W 2100 r. nasz kraj może zamieszkiwać zaledwie 21,2 mln ludzi, o 17 mln mniej niż obecnie – wynika z najnowszej prognozy ludnościowej, którą ONZ opublikował w lipcu. A to i tak średni wariant, a więc jeszcze optymistyczna symulacja. Najczarniejszy scenariusz zakłada, że w 2100 r. Polskę może zamieszkiwać niespełna 12-milionowa populacja.

Średni wariant w prognozie ONZ sprzed dwóch lat zakładał, że w 2100 r. będzie nas 22,2 mln. Eksperci po przyjrzeniu się wskaźnikom dotyczącym Polski doszli jednak do wniosku, że prognoza była nadmiernie optymistyczna, i odjęli milion mieszkańców.

Chociaż rok 2100 wydaje się bardzo odległą przyszłością, to znaczące zmniejszenie się liczby ludności dokona się na naszych oczach – już w ciągu najbliższych dziesięcioleci. ONZ w średnim wariancie prognozuje, że już w 2040 r. zamiast 38,2 mln będzie nas tylko 34,6 mln, a w 2050 r. – niespełna 32,4 mln.

– Takie symulacje są trochę jak prognoza pogody – im odleglejszego terminu dotyczą, tym są mniej dokładne, ale i tak powinniśmy się nimi poważnie przejąć – podkreśla Mateusz Łakomy, specjalista w dziedzinie demografii politycznej z Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego. – Nie wystarczy optymistyczne założenie, że demograficzne wskaźniki w końcu zaczną się odbijać. To się samo nie zrobi.

LUDNOŚCIOWY GRZYB

Chociaż między rokiem 2001 a 2015 współczynnik dzietności (liczba urodzonych dzieci przypadających na jedną kobietę w wieku rozrodczym) wzrósł na Starym Kontynencie z 1,46 do 1,58 (dane Eurostatu), to aby zachować dotychczasowy stan ludności, wskaźnik ten powinien wynosić 2,1. Najbliżej osiągnięcia tego poziomu są: Francja (1,96), Irlandia (1,92) i Szwecja (1,85). Polska poważnie zaniża europejską średnią. Ze współczynnikiem 1,32 jesteśmy na szarym końcu Europy. Za nami jest tylko Portugalia (1,31). Chociaż w krajach naszego regionu sytuacja demograficzna jest trudna, to wskaźnik dzietności w innych państwach jest wyższy, a na przestrzeni ostatnich 15 lat poprawiał się szybciej niż nad Wisłą. Litwa może się pochwalić współczynnikiem dzietności na poziomie 1,7, podobnie jak Łotwa, gdzie między rokiem 2001 a 2015 wzrósł on do 1,7 z poziomu 1,22. W Bułgarii dzietność wynosi 1,58 (wzrost o 0,31), w Czechach – 1,57 (wzrost o 0,42), na Węgrzech – 1,45 (wzrost o 0,14). W tym samym czasie w Polsce współczynnik dzietności poszedł w górę zaledwie o 0,01.

– Jeśli nie odwrócimy tego trendu, to czekają nas bardzo poważne problemy związane z dysproporcją między ludźmi młodymi a tymi w podeszłym wieku – mówi prof. Julian Auleytner, ekspert w dziedzinie polityki społecznej. – Wykres struktury wieku Polaków

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. FOTOLIA

nie będzie już piramidą, zacznie przypominać grzyba. Będziemy żyć coraz dłużej, ludzie starsi zaczną przeważać nad młodymi. Czekają nas gigantyczne wydatki nie tylko na emerytury, lecz także na opiekę medyczną, świadczenia społeczne. W 1917 r. byliśmy narodem bez własnego państwa, w 2017 r. mamy własne państwo, jesteśmy w Unii Europejskiej, za sto lat będziemy krajem ludzi sędziwych.

– Zmniejszenie się ludności Polski do 21 mln oznacza słabszy potencjał gospodarczy. Będzie mniej pracowników i mniej konsumentów, co prawdopodobnie przełoży się na mniejsze wpływy do budżetu oraz mniejsze zdolności do np. finansowania armii. W efekcie oznacza to marginalizację Polski – mówi Mateusz Łakomy.

„500+" TO NIE WSZYSTKO?

Eksperci zapewniają, że jest jeszcze szansa na to, by prognozy ONZ się nie sprawdziły. – One są alarmistyczne właśnie po to, żeby pokazać państwom, co może się wydarzyć, jeśli pozwolą sobie na nicnierobienie w kwestiach polityki prorodzinnej – mówi Krystyna Iglicka-Okólska, demograf, rektor Uczelni Łazarskiego.

– Trend można zmienić za pomocą prowadzonej polityki. Przykładowo dzięki politycznej decyzji o przyjęciu migrantów w 2015 r. Niemcy poprawiły swoje wyniki na 2100 r. w porównaniu z poprzednimi projekcjami aż o 8 mln, podczas gdy przewidywania dotyczące Polski zakładają zmniejszenie się liczby ludności o dodatkowy milion – mówi Łakomy.

Czy ludnościowego cudu dokona sztandarowy program polskiego rządu, czyli „500+"? Minister rodziny i polityki społecznej Elżbieta Rafalska utrzymuje, że choć działa on od półtora roku, to już można zaobserwować pierwsze jego efekty. Z danych GUS wynika, że w pierwszym półroczu 2017 r. urodziło się o 14 tys. więcej dzieci niż w analogicznym okresie 2016 r. Przybyło zwłaszcza dzieci, które urodziły się jako drugie i trzecie. Minister już zapowiedziała, że jeśli w tym roku na świat nie przyjdzie 400 tys. dzieci, to „połknie własny język". Ostatni raz liczba urodzeń przekroczyła w Polsce 400 tys. w 2010 r.

Marian Piłka, wiceprezes Prawicy Rzeczypospolitej, w tekście w „Rzeczpospolitej" stwierdził, że katastrofę demograficzną można przezwyciężyć, jedynie promując w Polsce model rodziny 2 + 3, czyli wprowadzając zachęty finansowe dla tych, którzy zastanawiają się nad trzecim i kolejnym dzieckiem. Z programu „500+" korzysta w tej chwili 1,5 mln rodzin z dwojgiem dzieci, 724 tys. z jednym dzieckiem i zaledwie 378 tys. rodzin z co najmniej trojgiem dzieci.

Krystyna Iglicka-Okólska widzi jednak szansę w odwróceniu demograficznych trendów dzięki „500+". – Nie zgadzam się z tym, że „Rodzina 500+" to program wyłącznie socjalny. Owszem, niweluje ubóstwo, poprawia sytuację wielu polskich rodzin, ale jego długofalową konsekwencją będzie poprawa sytuacji demograficznej. Warunek jest jednak taki, by program „500+" był stabilny. Rodzice muszą mieć pewność, że ta pomoc będzie im wypłacana. Od tego nie może być odwrotu, bo kryzys demograficzny to najważniejsze wyzwanie współczesnej Polski – zwraca uwagę demograf. Dodaje jednak, że polityka prorodzinna państwa nie może ograniczać się do tego programu. – Ważne są też długie urlopy dla rodziców, elastyczny czas pracy

eprasa.pl 71a92482cc

dla matek, nowe żłobki i przedszkola. Państwo powinno stanąć frontem do rodziców – także poprzez wydłużanie godzin pracy placówek opiekuńczych, by były dostępne również dla tych, którzy pracują w innych godzinach niż 8–16, czy zapewnianie dzieciom posiłków. Dobrym pomysłem byłoby obniżenie VAT na artykuły dziecięce. Uważam, że nawet pomysł przyznawania emerytur matkom, które poświęciły się wychowaniu większej liczby dzieci, nie powinien być pieśnią przyszłości – wylicza demograf.

Łakomy – choć wśród koniecznych działań rządu wymienia zwiększenie dostępu do mieszkań i wprowadzenie mechanizmów pozwalających na łączenie macierzyństwa z karierą – zwraca uwagę na konieczne zmiany kulturowe. – Aby ludzie decydowali się na większą rodzinę, musi zmienić się atmosfera wokół niej. U nas brakuje pozytywnego podejścia, tymczasem rodziny wielodzietne powinny się cieszyć uznaniem społecznym, szacunkiem – zwraca uwagę.

Profesor Auleytner jest zdania, że problemy demograficzne Polski są na tyle poważne, iż kwestia polityki państwa w tej materii powinna być stałym elementem debaty publicznej. – Zamiast skupiać się na doraźnych rozwiązaniach, powinniśmy spojrzeć na problem kompleksowo, opracować model polityki rodzinnej. Musimy zacząć poważnie rozmawiać o repatriacji, o migracji, przyjmowaniu w pierwszej kolejności bliskich nam kulturowo Białorusinów i Ukraińców, ale w dalszej kolejności także migrantów z innych państw – wskazuje.

Inspiracji do debaty na temat skutecznych rozwiązań w polityce prorodzinnej nie brakuje. Przykładem efektywnych rozwiązań jest m.in. polityka francuska, prowadzona już od lat 30. XX w. We Francji zasiłki rodzinne są jednym z filarów polityki rodzinnej. Wypłacane są wszystkim, którzy mają co najmniej dwoje dzieci. Rodziny pobierają je do momentu ukończenia przez dziecko 20 lat (do 2015 r. niezależnie od dochodów rodziny). Kwota wzrasta wraz z ukończeniem przez dziecko 14 lat. Obecnie przy zachowaniu niezbyt wyśrubowanych progów dochodów rocznych (67 408 euro przy dwojgu dzieciach, 73 025 euro przy trojgu, 78 642 euro przy czworgu, po 5617 euro więcej na każde kolejne dziecko) można otrzymać po 130 euro (dwoje dzieci), niespełna 300 euro (troje) i po 167 euro na każde kolejne.

Francuzi mają też m.in. odpowiednik becikowego, zasiłek na wychowanie dziecka do trzeciego roku życia, zasiłek na rozpoczęcie roku szkolnego dla rodziny o niższych dochodach, dodatki mieszkaniowe. Rodzice mają do wykorzystania urlop macierzyński i ojcowski, a jeśli zdecydują się na rezygnację z pracy lub ograniczenie jej czasu, by wychowywać dziecko, to otrzymują rekompensatę za utracone dochody w maksymalnej kwocie ok. 400 euro miesięcznie (na okres od sześciu miesięcy przy pierwszym dziecku, aż do trzech lat przy większej liczbie dzieci). Kobieta po trzech latach wychowywania dziecka musi być przyjęta na opuszczone przez nią stanowisko pracy. Francuzi mają też zasiłek „wolnego wyboru sposobu opieki nad dzieckiem" do lat sześciu, który pozwala na sfinansowanie sporej części wydatków, np. na miniżłobek czy opiekunkę. Do tego dochodzą ulgi podatkowe i system opieki instytucjonalnej nad dzieckiem (żłobki, klubiki, przedszkola czynne 12 godzin). Premie dla tych, którzy mają większe rodziny, zapisano także w ustawach emerytalnych. Tym, którzy poświęcają się wychowaniu dziecka, zalicza się czas na to poświęcony jako okres składkowy niezbędny do emerytury. Rodzice trojga lub więcej dzieci mogą też liczyć na jej wzrost od 10 do 30 proc. We Francji obecna jest też karta dużej rodziny dająca realne zniżki, m.in. na przejazdy koleją – nawet do 75 proc. Suma wydatków Francji na politykę rodzinną od lat oscyluje wokół 5 proc. PKB. W Polsce sięgnęła 3,4 proc. PKB dopiero po wprowadzeniu programu „Rodzina 500+".

Fundacja Mamy i Taty proponuje m.in. cedowanie na rodziców prawa wyborczego nieletniech dzieci

Wiele rozwiązań prorodzinnych zaproponował rządzący na Węgrzech Fidesz i choć nie są one postrzegane jako te najefektywniejsze, to od 2011 r. wskaźnik dzietności na Węgrzech wolno, ale konsekwentnie rośnie. – Viktor Orbán od początku swoich rządów przykładał wielką wagę do kwestii kryzysu demograficznego, ponieważ sytuacja na Węgrzech jest poważna. W ciągu ostatnich 30 lat ludność zmniejszyła się tam o 8,5 proc. Orbán postawił diagnozę i zaczął prowadzić kompleksową politykę – mówi Łukasz Kołtuniak, ekspert ds. Europy Środkowej. Zaznacza, że premier Węgier przyjął inną taktykę niż rząd PiS. Nie ma na Węgrzech bezpośrednich transferów finansowych do rodzin (utrzymany został jedynie już wcześniej istniejący drobny zasiłek na dziecko w kwocie o równowartości ok. 160 zł). Urlop macierzyński trwa tylko 24 tygodnie, ale za to rodzice mogą skorzystać z ulg podatkowych na dzieci (obniżenie wymiaru podatku nawet do 4 tys. euro rocznie), a także z systemu płatnych urlopów wychowawczych. Nieubezpieczonym do trzeciego roku życia dziecka wypłacany jest zasiłek opiekuńczy GYES (92 euro miesięcznie na dziecko). Ubezpieczeni do drugiego roku życia dziecka pobierają „wsparcie dla wychowania domowego" GYED (70 proc. pensji rodzica, ale maksymalna stawka to niespełna 500 euro), między zaś drugim a trzecim rokiem życia dziecka dostają wspomniane już świadczenie GYES. Przy co najmniej trojgu dzieciach można skorzystać z urlopu wychowawczego (GYET). Można go wykorzystać między trzecim a ósmym rokiem życia najmłodszego dziecka. Świadczenie wynosi 92 euro miesięcznie. Żeby ułatwić matkom powrót z urlopu wychowawczego na rynek pracy, państwo zwalnia pracodawców z ubezpieczania ich przez dwa lata, a w trzecim roku obejmuje preferencyjną stawką ubezpieczeniową. – Obowiązuje tam zakaz eksmisji rodzin z dziećmi na bruk za niespłacanie kredytu. Ostatnio także rząd pomaga w nabyciu mieszkań młodym rodzinom, ale uzależnia pomoc od posiadania dzieci. Kwota wsparcia rośnie, gdy małżeństwo podpisze zobowiązanie do posiadania kolejnych dzieci. Rozwiązanie to spotkało się z gwałtowną reakcją feministek, które deklarują, że będą się starać o dzieci dopiero, gdy Fidesz straci władzę – opowiada Kołtuniak. Zwraca uwagę, że Fidesz zadbał o to, aby zaproponowane przez niego rozwiązania w ramach polityki prorodzinnej były trwałe. – Określa je ustawa z 2011 r., która jest w grupie tzw. ustaw kardynalnych. Można ją zmienić większością dwóch trzecich głosów.

W odniesieniu do Izraela mówi się wręcz o demograficznym cudzie. Wśród krajów rozwiniętych OECD to właśnie

eprasa.pl 71a92482cc

Izrael może się pochwalić najwyższą dzietnością, która wynosi 3,1. Izrael wypłaca rodzinom powszechne zasiłki niezależne od dochodu rodziny. Przy jednym dziecku to równowartość 150 zł miesięcznie. Przy trojgu można otrzymać równowartość 650 zł. Urlop macierzyński jest o wiele krótszy niż w Polsce – 26 tygodni, z czego tylko 14 płatnych, za to w wysokości 100 proc. pensji. Izrael rozwija jednak ofertę opieki instytucjonalnej dla dzieci poniżej piątego roku życia. Profesor Szewach Weiss, izraelski polityk, były ambasador Izraela w Polsce, zwraca uwagę, że o dużej dzietności decydują m.in. stabilna gospodarka i bardzo wysoki poziom izraelskiej opieki medycznej. Duży wpływ na współczynnik dzietności ma także to, że 20 proc. izraelskiego społeczeństwa stanowią religijni Żydzi. – Pięcioro, ośmioro, a nawet dwanaścioro dzieci to w tych rodzinach nic nadzwyczajnego. Wcześnie zawierają małżeństwa, więc w wieku 25 lat mają już kilkoro dzieci – mówi.

DYKTATURA SINGLI

Polityków do debaty na temat polityki rodzinnej chcą sprowokować same rodziny. We wrześniu Fundacja Mamy i Taty rozpoczęła medialną kampanię – „Strategia odbudowy rodziny" (SOR). – Chociaż klimat wokół rodzin i tematu rodzicielstwa w ostatnim czasie się poprawił, to rodziny potrzebują wsparcia. Jeśli chcemy, by dzietność się zwiększała, to musimy zadbać o trwałość małżeństw. To w nich przychodzi na świat więcej dzieci niż w związkach nieformalnych – mówi Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty. Zaznacza, że w dużych miastach rozpada się aż 43 proc. małżeństw. W petycji do polityków, pod którą fundacja zbiera podpisy w Internecie, postuluje, by wprowadzać w Polsce „myślenie rodzinocentryczne" przy tworzeniu prawa – przyjmować ustawy służące wzmocnieniu rodziny.

W programie SOR fundacja daje także pod rozwagę pomysł ulg podatkowych dla trwałych małżeństw czy cedowanie na rodziców prawa wyborczego nieletnich dzieci, tak by mogli oni oddać więcej głosów w wyborach. – Takie pomysły pojawiają się na kongresach demograficznych za granicą – mówi Grabowski. – Może warto poddać go dyskusji, bo żyjemy w dyktaturze singli i rodzin z co najwyżej jednym dzieckiem – mówi. Dodaje, że żeby znacząco poprawił się u nas współczynnik dzietności, potrzebne jest także promowanie pozytywnego obrazu rodzicielstwa.

Czy Polacy dadzą się przekonać do modelu rodziny 2 + 3? Ministerstwo Rodziny zapowiada, że „500+" to niejedyny pomysł na poprawę wskaźników demograficznych. 1 stycznia ma wejść w życie program „Maluch+" mający na celu ułatwienie tworzenia punktów opieki nad dziećmi. Jak poinformował nas resort, więcej podmiotów będzie miało prawo do tworzenia instytucji opieki nad najmłodszymi, złagodzone zostały wymagania sanitarno-lokalowe dla żłobków, rozszerzono też krąg osób mogących pełnić funkcję opiekuna w żłobku lub klubie dziecięcym.

Ci, którzy prowadzą żłobki i klubiki, mają być zwolnieni z podatku od nieruchomości. Resort zapowiada także rozbudowanie programu Karty dużej rodziny. W 2018 r. ma się pojawić aplikacja na smartfony. Dzięki geolokalizacji będzie ona podpowiadała, jakie zniżki w pobliżu może otrzymać duża rodzina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 71a92482cc

Macki VAT-owskiej ośmiorniczki

Wojciech Wybranowski

Niewykluczone, że w najbliższym tygodniu zapadną ostateczne decyzje w sprawie powołania komisji śledczej do spraw wyłudzeń VAT – dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy"

Fikcyjne faktury wystawiano na sprzęt elektroniczny, w tym telefony komórkowe, bejce ognioodporne, towary eksportowane na Ukrainę, handel nieruchomościami i ubraniami. Skala pomysłowości aferzystów wyłudzających miliony złotych z tytułu nienależnego zwrotu podatku VAT była olbrzymia. W ręce służb wpadają kolejne osoby zamieszane w proceder. Według wciąż jeszcze niepełnych wyliczeń Skarb Państwa w wyniku działalności przestępczych grup w całej Polsce stracił setki milionów złotych.

– Jestem za powołaniem komisji śledczej ds. VAT i pierwszy byłem za tym pomysłem. Jest wiele spraw, które po prostu trzeba wyjaśnić – mówił pod koniec września wicepremier Mateusz Morawiecki. I wskazywał, że w okresie rządów PO-PSL skumulowany ubytek wpływów z tytułu VAT wynosił 262 mld zł, a przez osiem lat „właściwie bezkrytycznie patrzono na wpływy z podatku VAT".

Wcześniej, w połowie września, posłowie klubu Kukiz'15 złożyli do marszałka Sejmu projekt uchwały ws. powołania komisji śledczej, która miałaby zbadać prawidłowość i legalność działań organów oraz instytucji publicznych w latach 2007–2015, jakie te powinny podejmować, by zapobiec zaniżonym wpływom do budżetu państwa z podatku od towarów i usług oraz podatku akcyzowego. Decyzja polityczna – komisja ma powstać – już zapadła.

– Podnosiliśmy tę sprawę na konwencie i usłyszeliśmy od wicemarszałka Ryszarda Terleckiego (PiS), że czeka już tylko na opinię biura legislacyjnego. Możliwe jest, że sprawa zostanie podniesiona już na najbliższym posiedzeniu Sejmu – mówi „Do Rzeczy" wicemarszałek Sejmu Stanisław Tyszka (Kukiz'15).

CO REGION, TO GANG

Niedawno funkcjonariusze rzeszowskiego Centralnego Biura Śledczego Policji rozbili grupę, która dzięki fikcyjnemu obrotowi telefonami komórkowymi wyłudziła co najmniej kilka milionów złotych. Jak wynika z ustaleń śledztwa, w proceder zamieszanych było ponad 60 firm z województw: podkarpackiego, małopolskiego, śląskiego i mazowieckiego, a także przedsiębiorcy z Włoch i Niemiec. Jak działali?

– Mechanizm zbliżony był do tego, jakiego kilka grup przestępczych używało w połowie lat 90., krótko po wprowadzeniu w Polsce podatku VAT. Powinien być znany urzędnikom skarbowym, stąd ich bierność w tej sprawie zastanawia, czy nie było, gdzieś u góry, nieformalnej milczącej zgody na tego rodzaju działanie – mówi osoba z kręgów śledztwa.

Jak funkcjonowała grupa? Chodziło o wielokrotny obrót tym samym towarem, gównie telefonami komórkowymi, między firmami z Polski i krajów UE. Transakcje miały być, zdaniem śledczych, fikcyjne, ale na ich podstawie wystawiano faktury VAT, które później składano do urzędów skarbowych i domagano się zwrotu nienależnego podatku VAT. W sumie wyłudzono co najmniej 500 tys. zł, wartość narażenia Skarbu Państwa na nienależny zwrot podatku wyniosłaby zaś co najmniej 6 mln zł. W tej sprawie policjanci zatrzymali siedem osób, w tym Filipa R., syna Zbigniewa R. (byłego wiceministra infrastruktury i budownictwa w rządzie PO-PSL). Sam Zbigniew R., były szef podkarpackiej PO, też ma problemy z prawem w innej głośnej sprawie – w śledztwie w sprawie tzw. układu podkarpackiego jest oskarżony o powoływanie się na wpływy i przyjęcie korzyści majątkowej za załatwienie spraw na rzecz prezesa jednej ze spółek paliwowych z Leżajska.

Wcześniej rzeszowscy policjanci rozbili grupę przestępczą, która – jak ustalili – wyłudzała podatek VAT z tytułu eksportu na Ukrainę folii przemysłowej i blachy. Towar miał rzeczywiście opuszczać teren Polski i trafiać na Ukrainę oraz do Czech, ale zdaniem śledczych jego sprzedaż była fikcyjna. Aferzyści na swojej działalności mieli zarobić ok. 7 mln zł. Dziesięć osób zostało zatrzymanych, trzy usłyszały zarzuty kierowania zorganizowaną grupą przestępczą.

Te wyłudzenia to jednak drobnica przy skali, na jaką działała funkcjonująca na terenie całego kraju grupa oficjalnie handlująca bejcą ognioodporną i panelami

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ/AGENCJA GAZETA

fotowoltaicznymi. Trzon grupy stanowiły osoby opinii publicznej znane jako… zawodnicy sportów MMA (walki w klatce), a organom ścigania jako ludzie w przeszłości zatrzymywani za handel narkotykami, wymuszanie haraczy i stręczycielstwo. Przestępcza organizacja, którą latem tego roku rozbili policjanci z lubelskiego CBŚP, liczyła kilkadziesiąt osób i mogła wyłudzić z tytułu nienależnego zwrotu VAT co najmniej 124 mln zł.

WIELE GRUP, ALE NIE MAFIA

W całym kraju w prokuraturach prowadzonych jest łącznie kilkanaście śledztw w sprawie wyłudzeń podatku VAT, a w ręce funkcjonariuszy CBŚ bądź Centralnego Biura Antykorupcyjnego wpadają kolejne osoby zamieszane w nielegalny proceder. Jak mówią nasi informatorzy związani z organami ścigania, na razie nie ma podstaw, by łączyć działalność poszczególnych gangów w jedną wspólną zorganizowaną strukturę przestępczą.

– W niektórych mediach pojawiły się spekulacje, jakoby w Polsce działała mafia wyspecjalizowana w wyłudzaniu VAT. Na razie nic na to nie wskazuje. Wiemy, że było kilkanaście, może więcej takich grup działających w różnych branżach gospodarki, niektóre były mocno rozbudowane, liczyły kilkadziesiąt osób czy podmiotów gospodarczych, ale nie ma dowodów na to, by poszczególne grupy łączyły bliskie związki czy jakaś wspólna centrala – mówi nam osoba związana ze służbami specjalnymi.

Jedną z najbardziej nietypowych spraw prowadzi Centralne Biuro Antykorupcyjne. Dlaczego nietypowych? Ponieważ dzięki akcji CBA udało się, niemal w ostatniej chwili, uchronić Skarb Państwa przed stratą ok. 100 mln zł. Wreszcie, bo zatrzymani – trzy osoby – wymyślili sobie nietypowy „deal", który w założeniach miał ich ochronić przed zainteresowaniem służb skarbowych i organów ścigania. Podstawy mechanizmu były typowe – rzekomy handel telefonami komórkowymi. Pomysłodawcy całego przekrętu przygotowali opiewające łącznie na niemal pół miliarda złotych faktury dotyczące obrotu 300 tys. telefonów komórkowych. Skala sprzedaży zdaniem śledczych była sfingowana. Dzięki tym fakturom mogli liczyć na zwrot podatku VAT w wysokości ok. 100 mln zł.

– Chcieli jednak zrobić inaczej, niż to było w innych podobnych przypadkach. VAT został już naliczony, ale oni nie wystąpili o zwrot, trzymali zaś dokumenty i chcieli sprzedać je jednej z firm z dużymi obrotami, która mogłaby o zwrot występować powoli, kawałek po kawałeczku, nie budząc podejrzeń – opowiada nam Piotr Kaczorek z biura prasowego CBA.

Kombinatorzy zostali w maju zatrzymani przez funkcjonariuszy białostockiej delegatury CBA praktycznie tuż przed sprzedażą faktur.

Tylko w ostatnim miesiącu w ręce CBA wpadł też przedsiębiorca związany z zachodnią spółką z siedzibą w Warszawie, który – jak podejrzewają śledczy – „wyprał" 25 mln zł gotówki z lewych faktur VAT. Został zatrzymany w jednej z łódzkich restauracji na gorącym uczynku sprzedaży faktur VAT dotyczących transakcji, które w rzeczywistości nigdy nie zostały zrealizowane. To odprysk dużego śledztwa prowadzonego przez łódzkie CBA, w którym zatrzymano już 15 osób: pełnomocników, pośredników i przedstawicieli spółek handlowych. Także we wrześniu CBA zatrzymało troje biznesmanów, których spółki – jak wynika z ustaleń śledztwa prowadzonego przez prokuraturę w Piotrkowie Trybunalskim – kilkakrotnie sprzedawały sobie wzajemnie jedną i tę samą nieruchomość. Działka leżąca pod Bełchatowem warta ok. 1 mln zł sprzedawana przez nich „na papierze" kosztować miała w pierwszej transakcji ok. 24 mln zł, w kolejnych odpowiednio mniej – na 7 mln zł kończąc.

W służbach pół żartem, pół serio mówią, że łódzka delegatura CBA wyspecjalizowała się w „VAT-owcach". W postępowaniu dotyczącym obrotu fikcyjnymi fakturami VAT w sumie zatrzymano już ponad 40 osób, w tym Jana C., byłego posła Ruchu Palikota i SLD.

W sprawie powołania komisji śledczej ds. wyłudzeń VAT zgodni są zarówno pomysłodawcy utworzenia takiej komisji śledczej (posłowie Kukiz'15), jak i politycy PiS, bez których woli nie da się przegłosować w Sejmie stosownej uchwały. Nawet jeśli – jak liczy wicemarszałek Tyszka – na jednym z najbliższych posiedzeń Sejmu uda się sprawę ostatecznie „przyjąć", to wcale nie jest wykluczone, że procedury wyboru jej członków – przy ewentualnych sejmowych konfliktach o liczbę miejsc przypadających poszczególnym ugrupowaniom i obstrukcji sejmowej opozycji nienależącej do entuzjastów pomysłu – mogą spowodować, iż prace takiej komisji śledczej ruszyłyby dopiero w pierwszym kwartale przyszłego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

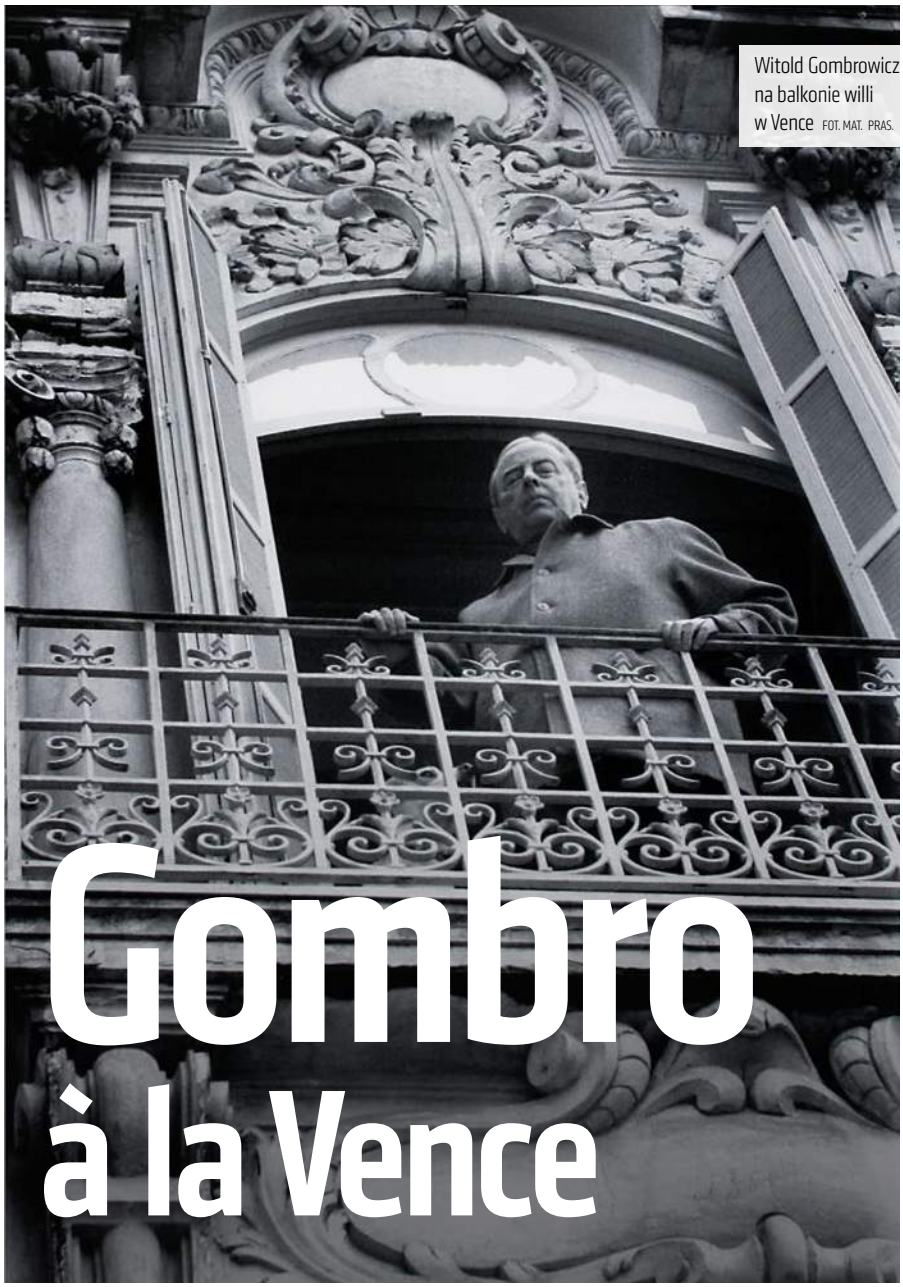

Witold Gombrowicz na balkonie willi w Vence FOT. MAT. PRAS.

Gombro à la Vence

Piotr Semka

Vence może szczycić się kolejną znaną osobą związaną z tym miejscem, a Polacy podróżujący do Francji zyskali następne miejsce do pielgrzymek – willę Gombrowicza

Szukaliśmy w okolicy umeblowanego mieszkania na zimę. Znalazłam je w Vence, na drugim piętrze dużej białej włoskiej willi w secesyjnym stylu [...]. Obejrzeliśmy mieszkanie, a potem usiedliśmy na ławce pod platanami na placu Grand Jardin. Słychać było szmer wód Foux w fontannach. Ludzie siedzieli w ogródkach kawiarni. Było spokojnie i miło. Vence i mieszkanie obojgu nam się spodobały. Bierzemy je, los tak chce! – powiedział Witold".

Ten fragment ze wspomnień Rity Gombrowicz odczytuję 23 września na placu Grand Jardin w Vence. Na zdjęciach z lat 60. był zastawiony samochodami. Dziś jest pusty, wysypany żółtym piaskiem, jakby czekał na jakąś korridę. Zabawne, nigdy nie doczytywałem dokładnie wzmianek o miasteczku, w którym rozegrał się ostatni etap życia Gombrowicza. Myślałem o Vence jako o spalonej słońcem miejscowości położonej na Lazurowym Wybrzeżu.

A teraz przekonuję się, że Vence leży wysoko w górach. To pradawne kamienne miasto na szczycie wzgórza w stylu znanym z Umbrii czy Toskanii. Na jego wąskich średniowiecznych uliczkach można by sfilmować „Lorenzaccia". W starożytności zwało się Civitas Vintiensium i między 439 r. n.e. a inwazją wojsk rewolucji francuskiej było siedzibą biskupstwa. Wydało dwójkę świętych – Werana i Lamberta – oraz Alessandra Farnese, czyli późniejszego papieża Pawła III. Aż do 1860 r. należało do Piemontu, by potem wejść w skład Francji.

Teraz stoję wraz z grupą gombrofilów z Polski na rynku w Vence i słucham przemówienia pani burmistrz Catherine Le Lan. Po paru latach konserwacji Villa Alexandrine, w której mieszkał twórca „Ferdydurke", zostaje otwarta jako muzeum pisarza pod nazwą Espace Gombrowicz, czyli przestrzeń Gombrowicza.

Willa ma w sobie elegancką ostentację początku XX w., gdy święciła triumfy włoska odmiana secesji, zwana stylem Liberty.

Gombrowicz mieszkał tu od października 1964 aż do marca 1969 r., czyli niemal do śmierci, która nastąpiła cztery miesiące później. Tutaj napisał„Operetkę" i tu powstała ostatnia kartka „Dziennika".

DUCH BABKI CZYNI CUDA

Na przyjęciu w merostwie wicemer Evelyne Temmam wyjaśniała, skąd się wzięła idea muzeum. – Kiedy objęłam urząd, sprawdziłam, kto znany przewinął się przez Vence, i odkryłam, że ponad cztery lata mieszkał tu Gombrowicz. A że jedna z moich babek była Polką, uznałam, że jeśli nie uczczę odpowiednio godnie tego pisarza, to babka będzie straszyć mnie po nocach – mówiła z uśmiechem Temmam.

Decyzja o stworzeniu muzeum istotnie wyszła od merostwa w Vence i znalazła sojusznika w osobie ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego. Pola-

eprasa.pl 71a92482cc

cy przysłali konserwatorów, którzy zawilgoconą i opuszczoną willę odrestaurowali. Justyna Pol stworzyła scenariusz ekspozycji, a jego stroną plastyczną zajęła się pracownia Nowy Motyw na czele z Adamem Orlewiczem. Po próbach usunięcia przez Romana Giertycha „Ferdydurke" z listy lektur – kult Gombrowicza stał się niemal platformerskim wyznaniem wiary (z Januszem Palikotem jako kapłanem). A gdy w 2015 r. do władzy doszedł PiS, Jarosław Sellin zadbał o to, by zadać kłam tym, którzy wieszczyli, że ciemnogród upupi ideę uczczenia Gombrowicza. I tak projekt muzeum w Vence został doprowadzony do szczęśliwego końca.

PiS w roli życzliwego patrona muzeum „Gombra" wydał się niektórym recenzentom tak niewiarygodny, że snuto podejrzenia, iż PiS-owcy chcą chytrze zawłaszczyć pamięć o pisarzu.

Jacek Cieślak z „Rzeczpospolitej" pisał: „Z udziałem władz państwowych i przedstawicieli PiS otwarto w Vence muzeum poświęcone pisarzowi, tak jakby po raz drugi stał się bohaterem swojego »Trans-Atlantyku« wykpiwającego patriotyczną pompę".

Na otwarciu muzeum żadnych „przedstawicieli PiS" nie było, minister Sellin sam subtelnie uśmiechał się, widząc pompę przygotowaną przez Francuzów na czele z Pierre'em Lévym, ambasadorem Republiki Francuskiej w Polsce, i krajowymi strażnikami pamięci o Mistrzu. A Rita Gombrowicz w tym wszystkim była fetowana jak żywy pomnik po wielkim mistrzu. Serdecznie współczułem wdowie, widząc, jak ustawiają się do niej kolejki dziennikarek z kraju, którym dziesiątki razy musiała opowiadać, jak żyło jej się z Gombrowiczem w tej alpejskiej samotni.

Samo muzeum jest jeszcze dość pustawe. Zaaranżowano jedynie pierwsze piętro i klatkę schodową, na której ścianach prezentowane są zdjęcia pisarza wraz z notą biograficzną. Większość eksponatów to zdjęcia Gombrowicza z epoki Vence, cytaty z jego „Dzienników" i nagrane dialogi mistrza z malarzem Jeanem Dubuffetem.

Piękne wrażenie robi gablota z książkami „Gombro", która obudowana lustrami pomnaża odbicia jego dzieł.

Same pamiątki po mistrzu można policzyć na palcach jednej ręki. Nawet wystawiony tu stary zegar tak wdzięcznie opisany przez Ritę Gombrowicz w jej wspomnieniach, to jedynie egzemplarz antykwaryczny podobny do tego, który kiedyś odmierzał czas w Villi Alexandrine. W sumie znacznie więcej pamiątek jest w podradomskim muzeum mistrza we Wsoli. Rita Gombrowicz tak hojnie obdarowała wcześniej krajowe muzea pamiątkami po mistrzu, że już na Vence niewiele zostało.

Festyn ku czci „Gombra" miał sporo wdzięku. Władze Vence zadbały, by całe miasto zostało udekorowane polskimi flagami i dużymi zdjęciami mistrza. A dzień otwarcia muzeum ubarwił koncert zespołu Tęgie Chłopy, który wniósł w pradawne kamienne mury Vence tężyznę wiejskiej muzyki z południowego Mazowsza, wciągając miejscowych do tańca.

To muzeum to dopiero ramy do wypełnienia. Choćby opowieścią dla francuskiego widza o losach Polski, które wypchnęły pisarza do Argentyny, i gorzkiej doli emigrantów. O fenomenie paryskiej „Kultury", która umiała wylansować pisarza w Europie, i o emocjach, które wywoływał w prasie PRL, ale i w polskim Londynie.

Równie ciekawa winna być opowieść o samym ponadczteroletnim bytowaniu

REKLAMA

Prestige MJM · Multimedia Organisation · Novotel Hotels & Resorts · Zet · wprost · Do Rzeczy · Gala · Gazeta Bankowa · Gitarzysta · Perkusista · Multikino · empik · Gold Hits · onet · cgm.pl · DlaWas.info · Demotywatory.pl · Vixon · ams

eprasa.pl 71a92482cc

w Vence, gdzie zakończony małżeństwem związek z Ritą skojarzył się ze spóźnionym uśmiechem sławy i zamożności, na które padł cień chorób i słabości.

TEATR JEDNEGO AKTORA

Chodzę po skrzypiących, drewnianych schodach Villi Alexandrine i próbuję na podstawie wspomnień bywalców tego domu wyobrazić sobie te dziwne gombrowiczowskie bytowanie. Tu, w Europie, odżył. Wyrzucał sobie, że zbyt dużo czasu zmarnował w Argentynie, w tym – jak pisał – „krowim kraju". Na Starym Kontynencie doczekał się statusu znanego pisarza i tu spływały na niego spóźnione strumienie literackiej chwały.

Solidna żeliwna balustrada w stylu fin de siècle'u zamyka balkon na pierwszym piętrze willi. Gombrowicz lubił tu stawać, patrząc na rynek miasteczka niczym jakiś Mussolini literatury. Obrzucał wzrokiem dwie kawiarnie na rynku: La Régence i Select, które na zmianę obdarzał przywilejem goszczenia swojej osoby, a niekiedy gry w szachy z lokalnymi mistrzami szachownicy.

Mistrz sam dbał drobiazgowo o wystrój mieszkania, pielgrzymując do nicejskich domów handlowych z tkaninami dekoracyjnymi. Rita Gombrowicz wspominała: „Widzę go jeszcze, jak przechadza się z kaszkietem w ręku między stoiskami, tłumacząc szczegółowo sprzedawczyniom, jakiego rodzaju materiał go interesuje, jakiej szerokości itp. W końcu wybrał sutą tkaninę w ogromne złote kwiaty na czarnym tle. Kiedy wróciliśmy do domu, stanął pod ścianą z materiałem rozłożonym w rękach, żebym zobaczyła, jaki to daje efekt. Potem ja zrobiłam to samo i usłyszałam jego strapione: »No nie, za bardzo egzotyczne«. Podarowaliśmy tę tkaninę przyjaciołom. Nazajutrz pojechaliśmy z powrotem do Nicei do specjalnego sklepu. [...] Wreszcie wybrał beżową tkaninę w cienkie prążki »przypominające deszcz«. A kiedy zawiesiliśmy zasłony, zaciągając je Witold, powtarzał za każdym razem jak w teatrze, akcentując sylaby: »Et-main-te-nant-il pleut-ber-gére!«, czyli »A te-raz pa-da pa-ste-reczko!«".

Przepraszam za ten przydługi fragment wspomnień pani Rity, ale pozwala on zrozumieć, na czym polega trudność ze stworzeniem z domu w Vence muzeum.

Po prostu nie można w łatwy sposób odtworzyć tego, co było jego największą urodą – chodzi o codzienny show kpiarza, estety, prowokatora i bufona, jakim był Gombrowicz. To było ciągłe udawanie kogoś lepszego. Nieustanna gra pozorów kogoś, kto zawsze ma ostatnie słowo. Z wyrozumiałym audytorium w postaci Rity i licznych gości, których przyciągała sława twórcy „Trans-Atlantyku".

Opisy tych monologów Mistrza to jedyny pomnik, jaki pozostał po tym codziennym barwnym ceremoniale narcyzmu, najlepiej ujętym w słynnym zapisie z „Dziennika": „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja".

Z codziennych gier słownych i miniwykładów Gombrowicz stworzył ulotne dzieło sztuki. Tak samo zachwycał współczesnych Franc Fiszer, ale ten nie pozostawił po sobie żadnych dzieł literackich. Gombrowicz owszem.

On, który blagował przybyszom z Maisons-Laffitte, że miejscowi chłopi przyjeżdżają na targ rolls-royce'ami, a rynek w Vence pełen jest jaguarów, sam jeździł citroënem 2CV – najtańszą blaszanką na kieszeń robotnika. Wszyscy byli przekonani, że to, co robi „Gombro", musi być niezwykłe, więc w tej „cytrynie-kaczce" doszukiwali się jakiejś demonstracji, która miała jeszcze bardziej podkreślać wyniosłość kogoś, kto powoływał się na pochodzenie od litewskich kniaziów z ponad 600-letnią genealogią.

Dopiero wtedy, gdy po otrzymaniu Międzynarodowej Nagrody Wydawców i 20 tys. dol. zamienił starego citroëna nie na jakiś amerykański krążownik szos, tylko na banalnego peugeota 203 – niezgrabną landarę przypominającą warszawę garbusa – czar prysł. Ten demonstracyjny arystokratyzm i ekscentryzm maskował często bezradność i kompleksy.

ODPOWIEDNIA SKALA

Kazimierz Głaz, młody malarz z Polski, który w latach 60. odwiedzał Gombrowicza w Vence, opisuje długie potyczki mistrza z magistratem w sprawie założenia telefonu. Z jakichś technicznych i finansowych powodów urzędnicy uchylali się od przeciągnięcia linii telefonicznej do Vilii Alexandrine. Dopiero gdy mistrz wyżalił się przyjaciołom z paryskiej „Kultury", ci uruchomili odpowiednie sprężyny u ówczesnego ministra kultury André Malraux. Ten miał zadzwonić do mera, zagrzmieć siłą autorytetu człowieka u boku samego generała de Gaulle'a i nakazać migiem założenie linii. Dopiero wtedy w miasteczku rozeszła się wieść, że dziwny Polak z domu na rogu place du Grand Jardin to naprawę ktoś znaczący.

Gdy niedługo potem słabnący mistrz zażyczył sobie ślubu w domu, a nie w merostwie, burmistrz z odpowiednimi urzędnikami posłusznie odwiedzili pisarza w jego willi i tu połączyli go oficjalnymi więzami małżeńskimi z Ritą. Był nawet komendant posterunku policji w pełnej gali.

Dlaczego Gombrowicz wybrał na swoją francuską siedzibę niewielkie Vence? Dlaczego nie Paryż? Może uznał, że tylko w skali alpejskiego miasteczka będzie odpowiednią wielkością? I jeśli to prawda, to miał rację. Tylko tu telefon od ministra kultury robił tak piorunujące wrażenie.

I tylko tu rewolta 1968 r. wydawać się mogła jakimś dziwnym, odległym wydarzeniem, z którego mistrz pokpiwał jak z kolejnej fanaberii ludzi, którzy nie zaznali nigdy prawdziwego komunizmu.

Dzisiaj Vence, które szczyci się, że mieszkali tu tacy twórcy jak D.H. Lawrence (ten od „Kochanka lady Chatterley"), Marc Chagall i Henri Matisse, może pochwalić się kolejnym wielkim człowiekiem – dziwnym Polakiem, który wychodził na balkon willi, by omiatać wzrokiem rynek i Alpy niczym jakiś książę swoje włości. A polscy turyści we Francji mają kolejne miejsce do pielgrzymek. Żeby jeszcze goście muzeum spoza Polski czegoś się w tym muzeum potrafili dowiedzieć o dziwnej odmianie polskości, którą wymyślił sobie jaśniepanicz z majątku Małoszyce.

„Stałem się śmiały, ponieważ nic absolutnie nie miałem do stracenia: ani honorów, ani zarobków, ani przyjaciół. Musiałem odszukać siebie i oprzeć się na sobie, ponieważ na nikim innym nie mogłem się oprzeć. Moja forma to moja samotność".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Muzeum Espace Gombrowicz, Ville Alexandrine, 36 place du Grand Jardin, Vence, czynne od poniedziałku do soboty w godz. 10–12, w poniedziałki, czwartki i piątki także od 14 do 16.

eprasa.pl 71a92482cc

Kazuo Ishiguro z literackim Noblem

Krzysztof Masłoń

W tym roku Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymał Kazuo Ishiguro, choć jeśli spodziewano się noblisty o japońskim nazwisku, to myślano raczej, że będzie nim Haruki Murakami

FOT. GETTY IMAGES

Można więc mówić o pewnego rodzaju niespodziance, choć oczywiście nie tego kalibru co zeszłoroczny Nobel dla Boba Dylana. Na pewno jednak cieszyć się należy z tego, że odsądzana od czci i wiary, ale wciąż bezkonkurencyjna nagroda przypadła pisarzowi z prawdziwego zdarzenia, autorowi przynajmniej kilku naprawdę wybitnych powieści z najbardziej znanymi „Okruchami dnia" na czele.

„Okruchy..." miały w Polsce dwa wydania, u Prószyńskiego i w Albatrosie, ale najlepiej znają je pewnie kinomani, pamiętający świetną ekranizację Jamesa Ivory'ego z Emmą Thompson i Anthonym Hopkinsem w roli kamerdynera Stevensa, kamerdynera – można by rzec – doskonałego, który ponad wszystko stawia wierność pracodawcy. I dopiero po jego śmierci oraz przeanalizowaniu postępowania – i lordowskiego, i własnego – Stevens dochodzi do wniosku, że zmarnował życie, że jego egzystencja karmiła się jedynie odbitym światłem, a on nie wykorzystał swojej szansy i nawet nie spróbował być szczęśliwym.

W październiku 2003 r. w warszawskim ośrodku British Council przeprowadziłem wywiad z Kazuo Ishiguro. Spytałem go wtedy, czy wnuk kamerdynera Stevensa z „Okruchów dnia" przyklasnąłby obecnie decyzji swego chlebodawcy, gdyby ten wyrzucił z pracy dwie dziewczyny ze względu na ich arabskie pochodzenie, tak jak to uczynił powieściowy lord Darlington z Żydówkami.

– Sporo się jednak od tamtego czasu zmieniło – odpowiedział Kazuo Ishiguro. – Chociaż takich ludzi jak mój kamerdyner wciąż nie brakuje. Przecież on nie był antysemitą, przypuszczalnie nie miał żadnych poglądów w tej materii, natomiast bez zastrzeżeń akceptował decyzję podjętą gdzieś przez kogoś „na górze". Nie miał wątpliwości moralnych, zarzut nieetycznego postępowania zdziwiłby go. Niewątpliwie dziś ludzie, przynajmniej na Zachodzie, w Japonii też – są zdecydowanie bardziej świadomi niż w latach 30. Nauczyli się myśleć za siebie, nie ufać bezgranicznie liderom.

Pisarz podkreślał w rozmowie, że pokolenie jego rodziców starzeje się oraz odchodzi, i dlatego – mówił – „to na nas spoczywa teraz obowiązek podtrzymania pamięci o tym, co się działo w wieku XX w Europie i w świecie".

Kazuo Ishiguro przyjechał wówczas do Warszawy ze swoją 13-letnią córką i był wyraźnie przejęty tym, że znalazł się w tym właśnie miejscu.

– Dotąd zabierałem córkę – opowiadał – wyłącznie na jakieś przyjemne wakacje, np. do Włoch. Nie twierdzę, że w Polsce będzie jej nieprzyjemnie, ale bardzo mi zależało, by zobaczyła, jak pięknym miastem jest dziś Warszawa, i żeby dowiedziała się, jaka była pół wieku temu, co przeżyło to miasto i jak udało mu się odżyć.

Kazuo Ishiguro zaczął swoją pisarską karierę od powieści dotyczących powojennej Japonii, lecz z czasem przeniósł obiekt swoich zainteresowań na Wielką Brytanię. Tak jak zamienił kraj, w którym żyje. Pisarz, urodzony w 1954 r. w Nagasaki, mieszka w Londynie, przesiąkł kulturą anglosaską, wzbogacając ją zarazem – obok innych autorów pozyskanych z takich krajów jak Indie i Pakistan (Salman Rushdie, Hanif Kureishi, Hari Kunzru), Chiny (Timothy Mo) czy Jamajka (Zadie Smith) – o to, co ważnego płynie z wielokulturowości. A po studiach w Anglii Ishiguro nie zawahał się, by w powieści „Pogrzebany olbrzym" podjąć karkołomną, zdawałoby się, próbę reinterpretacji brytyjskich legend o królu Arturze.

Z kolei w „Nie opuszczaj mnie" pisarz dał wyraz obawom związanym z biotechniką, konkretnie z klonowaniem. Przy czym raczej nie kontestował samego klonowania, ale relacje społeczne zachodzące wokół nauki; to, kto dysponuje wynikami badań, co z nimi robi i jakiej podlega kontroli.

Jest Kazuo Ishiguro laureatem prestiżowych nagród Whitbread i Booker, za swoje zasługi dla literatury brytyjskiej otrzymał w 1995 r. Order Imperium Brytyjskiego. Poza „Okruchami dnia" i również sfilmowaną powieścią „Nie opuszczaj mnie" godne zapamiętania tytuły to: „Kiedy byliśmy sierotami", „Niepocieszony" czy „Malarz świata ułudy", gdzie tytułowy bohater, emerytowany malarz Masuji Ono, w powojennej Japonii dokonuje obrachunku z własnym życiem, co w jego przypadku oznacza ułożenie sobie na nowo relacji z córkami, ale i – co może najtrudniejsze – przewartościowanie swojego stosunku do japońskiego imperializmu. Podobieństwa do „Okruchów dnia" są tu bardzo wyraźne.

Uzasadniając wybór, Akademia Szwedzka podkreśliła, że Kazuo Ishiguro w swoich powieściach, które są pełne wielkiej siły emocjonalnej, „obnaża otchłań kryjącą się pod naszym złudnym poczuciem łączności ze światem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

„Mefisto” – popłuczyny po „Klątwie”

Andrzej Horubała

Trauma związana z bluźnierczą „Klątwą” Frljicia jest głębsza, niż się początkowo wydawało. Po spektaklu bałkańskiego skandalisty nie może pozbierać się cały polski teatr krytyczny. Bo co jeszcze obalać? Na co z wściekłością się rzucać, skoro wszystko, co święte, zostało poniżone?

FOT. MAGDA HUECKEL

Wypalenie i pustkę widać także w najnowszej premierze Teatru Powszechnego – spektaklu „Mefisto” w reżyserii Agnieszki Błońskiej według tekstu współpracującej z Frljiciem Joanny Wichowskiej.

Przygasa światło. Słychać kobiecy głos z offu: „Panie Jezu, dzisiaj, kiedy odbywa się pierwsza premiera nowego sezonu, my zapraszamy Ciebie, bądź dzisiaj z nami. Zapraszamy zastępy duchów niebieskich i wszystkich świętych. Zapraszamy dusze wszystkich naszych przodków, którzy kochali Boga i ojczyznę, a zwłaszcza tych, którzy za nią umierali, uczestników wojen i powstań, ofiary nazizmu i komunizmu. Bądźcie dzisiaj z nami. Panie Jezu, we Krwi Twojej zanurzamy ten teatr, jego mury, scenę, miejsca dla publiczności, garderoby, biura i wszystkie przedmioty w nich znajdujące się, opasujemy cały budynek wstęgą Krwi Twojej przenajdroższej. Niech Twoja Krew zmyje z niego wszelki brud duchowy i oczyści go. Spójrz okiem miłosierdzia swego na tych, którzy zrealizowali i sfinansowali to przedstawienie, na tych, którzy biorą w nim udział, a więc grających w nim aktorów oraz widzów. Czynimy Ciebie Panem i Królem tego teatru. Niech od tej pory służy on Tobie i Narodowi Polskiemu. A zamiast szerzenia zła niech głosi wszelkie dobro. I służy dobrze miastu…”.

O czym myślę, co czuję, słuchając tej parodii modlitwy? Złość łączy się z głębokim współczuciem dla twórców, bo przecież takie przedrzeźnianie świętych słów może naprawdę utrudnić kiedyś, gdzieś wypowiedzenie formuły: „Jezu, ufam Tobie” na łożu śmierci. I nie chodzi tylko o jakieś wyszydzane mistyczne skutki uczestnictwa w takich bluźnierczych przedsięwzięciach, nie tylko o te nasze katolickie czary-mary, lecz także sprawy bardziej przyziemne. Że przyjaciołom twórców zwyczajnie zabraknie śmiałości, by wraz z nimi zwrócić się do Jezusa. Że ludzie ich otaczający mogą krępować się misji apostolskiej wobec tych komediantów.

I gdy rozwija się spektakl, nadal tkwi we mnie ta perspektywa zgreda, człowieka leciwego, który z pobłażaniem, ze smutkiem patrzy na te biedne dzieciaki, tych aktorów, twórców… Ilu z nich jest świadomych, w czym uczestniczy, ilu naiwnych, a ilu cynicznych?

OSOBISTY CYROGRAF

Tak, dominuje smutek, tak jak smutno mi było na „Klątwie”, gdy patrzyłem na młodych aktorów uczestniczących w spektaklu bałkańskiego manipulatora… Owszem, czułem, że trauma, o jaką przyprawia ich praktyka Kościoła, może być potężna, a jednocześnie widziałem, jakiego gwałtu dokonuje na nich Frljić, żądając, by swoimi imionami i nazwiskami legitymizowali jego antychrześcijańską wizję.

Biedni aktorzy angażujący się w „Klątwę” niczego nie zrozumieli z lekcji Krakowa, gdzie artyści Starego Teatru odmówili udziału w grze rozpętanej przy okazji „Nie-Boskiej komedii”. Odmówili wypowiadania formułek typu: „Nazywam się tak i tak i wstydzę się, że jestem Polakiem”. Odmówili takiego przekroczenia, osobistego potępiania Swinarskiego i Krasińskiego, personalnej aprobaty deklaracji, które w usta chciał im włożyć chorwacki prowokator.

A w Warszawie aktorzy na to poszli. Zasilili „Klątwę” cudzymi opowieściami o molestowaniu przez księży, uwiarygadniając je swymi personaliami. Uczynili ze spektaklu rodzaj osobistego, prywatnego manifestu. No i teraz dziwnie się czują.

W październikowy poniedziałek, po premierowym weekendzie, biedniutka Julia Wyszyńska, która w „Mefiście” akurat nie wzięła udziału, żali się w kuriozalnym wywiadzie „Gazecie Wyborczej”, opowiadając jakieś kocopały, że figura papieża, której robiła fellatio, jest mało podobna do Wojtyły i że ona to przecież jest aktorką i nie wiadomo, dlaczego ludzie mają do niej pretensje.

Najpierw ze sceny Teatru Powszechnego jako „aktorka Julia Wyszyńska” ogłasza zrzutkę na wynajem zawodowego zabójcy na Jarosława Kaczyńskiego, pod własnym nazwiskiem postponuje wszystko to, z czym identyfikują się poczciwi Polacy,

eprasa.pl 71a92482cc

a potem chciałaby jeszcze występować w przeznaczonych dla nich produkcjach. Własnym imieniem i nazwiskiem podpisuje cyrograf z bałkańskim zwodzicielem i domaga się świadectwa niewinności.

Podobnych certyfikatów cnoty żądają ze sceny aktorzy grający w „Mefiście". Pragną wolności, pragną posłuchu, a jednocześnie zrzekają się odpowiedzialności i sugerują, że to wszystko tylko teatr.

UCIECZKA W IRONIĘ

Czy to teatr? Raczej kabaret. Wykrzyczane kawałki, efekciarstwo, parę spraw zabawnie rozegranych, ale przecież ta szydera nie przebije Frljcia, taki to jego diabelnie mocny przekaz. Cały polski teatr krytyczny ledwie zipie po przekroczeniach, na jakie pozwolono Chorwatowi. Po spostponowaniu wszystkiego, co najdroższe, po zbezczeszczeniu świętości, powieszeniu papieża z winą wypisaną na tabliczce, po ścięciu krzyża elektryczną piłą, cóż pozostaje tym naiwniakom, nagle osamotnionym, zostającym w pustce?

Aktorzy występujący w „Mefiście", częściowo ci sami, którzy produkowali się w „Klątwie", ratują się coraz to na nowo nakładanymi pokładami ironii. Na kanwie powieści Klausa Manna o artyście, który poszedł na służbę do nazistów i zaprzedał swą duszę, „dramaturżka" Joanna Wichowska wraz z reżyserką Agnieszką Błońską budują prześmiewcze widowisko o roli aktora we współczesnym świecie. Ale przecież „Mefisto" – zarówno powieść, jak i film Istvána Szabó – tylko na moment interesują twórców. Dominują nasze lokalne sprawki.

Ataki na polską tradycję. Ileż tego już było? Kpina z flagi, z żołnierzy wyklętych, na poły kabotyńskie deklaracje o niezłomności, nudne to już, choć premierowa publiczność rży ze śmiechu i bije brawo.

Owszem, parę chwytów może i fajnych. Gdy zgodnie z zapowiedzią narratora widzimy „Karolinę Adamczyk w roli Krystyny Jandy grającej Barbarę w filmie Istvána Szabó", jak biega po scenie, świetnie naśladując przerysowaną ekspresyjną manierę aktorki miotającej się histerycznie przed kamerą, raz po raz wychodzącą z kadru, by po chwili powrócić niczym Charlie Chaplin w filmie „Wyścigi dziecinnych samochodów w Venice".

Może i rozbawić mogą te autokompromitacje aktorów, gdy wpośród buńczucznych deklaracji zespołu: „Nigdy nie będę się podlizywał warszawskiej publiczności.

Nigdy nie będę składała hołdu żołnierzom wyklętym.

Nigdy nie podam ręki Jackowi Kurskiemu", gdy wpośród tych wszystkich „nigdy" pada rzucone przez Klarę Bielawkę: „Nigdy nie wyjdę na scenę bez makijażu".

No tak, ale wszechobecna ironia nie przesłania przecież wymowy spektaklu: aktorom grożą prześladowania, kuszeni są przez totalitarną władzę, więc żądają pełnej autonomii i wolności dla swych działań. No a poza tym, wszyscy to wiemy, żyjemy w faszyzmie.

PATRIOTYZM TO FASZYZM

Oj, biedni aktorzy. W co oni dają się w ogóle wciągać? Nie wiedzą, że faszystami nazywano patriotów już kilkadziesiąt lat temu? Że dziadkowie i ojcowie salonowych profesorów tropili takich właśnie faszystów z AK? Że guru polskiej socjologii ścigał ich po lasach? Trudno mieć jakieś szczególne pretensje do resortowych dzieci, że rodzinne historie zasłyszane przy obiedzie sprzedają jako swą wizję historii Polski i prześnionej rewolucji. Ale dlaczego ludzie niezwiązani z bezpieczniacką tradycją powtarzają zarzuty o faszyzmie ze sceny? Gdy ktoś upomina się o szacunek dla narodowej tradycji, od razu ma być faszystą?

Naprawdę to przedziwne.

Dobra. Zmęczeni wrzaskami aktorów dostajemy przerwę na piosenkę. Agnieszka Błońska wraz z Joanną Wichowską wiedzą, że najbardziej lubimy utwory, które już słyszeliśmy, więc serwują przebój „Forever Young" Alphaville, robiąc sobie pośmiechujki z biało-czerwonej flagi i kpiąc z użycia scenicznej maszynki do robienia patetycznego wiatru. Kabaret trwa. Dostajemy potem jeszcze próbkę nacjonalistycznego kibolskiego rapu w wykonaniu Oskara Stoczyńskiego. Aktorzy po raz kolejny (niezdarnie dość) tańczą kankana. Ale dlaczego mają to czynić perfekcyjnie, skoro to wszystko ironiczne? Grzegorz Artman wygłasza górnolotne deklaracje.

Z bełkotu wyłania się obraz aktorów, którzy z jednej strony marzą o pryncypialności, z drugiej żądają dla siebie jakiejś taryfy ulgowej i zrzekają się odpowiedzialności za swoje występy.

„Zamknijcie mnie w psychiatryku… Pochowajcie za cmentarnym murem… Podziwiajcie mnie, ale nie traktujcie mnie poważnie! […] Ja mogę pierdolnąć monolożek, ale nie odpowiadam za moje słowa…

Mam immunitet, nie wolno mnie sądzić".

Pewnie, ironia sąsiaduje z cynizmem, cudze słowo ze słowem własnym: „To jest historia o tym, jak się dać wyruchać, by przeżyć. Albo historia o tym, jak się nie dać wyruchać, tylko wyruchać to, co nas chce wyruchać…". Ale po chwili: „Każdego dnia budzę się i czekam, aż spadnie tropikalny deszcz i zmyje cały ten endecki gnój do głębokiego kanału".

Klara Bielawka w białych szatkach niewinnego dziewczęcia cienkim głosikiem melodeklamuje: „Koniec wesela, wracajcie do Izraela, jedna Polska katolicka, śmierć, śmierć wrogom ojczyzny…".

Zjeżdża wielki napis „Polska", aktorzy szydzą, opowiadając o wzruszeniu, z jakim witają ten wyraz, ktoś pyta, czemu litera P jest na sankach (bo ma kotwicę Polski Walczącej). Śmiech i brawa.

Aha, jest jeszcze obowiązkowe umieranie na scenie za ojczyznę. Bielawka nie za bardzo sobie radzi, więc na koniec rzuca jakąś kurwą, żeby było weselej, Arkadiusz Brykalski robi miny, odgrywa pomieszanie, zdziwienie, lęk, śmierć wychodzi mu trochę lepiej. Są brawa.

Opada na chwilę kurtyna, aktorzy siadają przed nią i milkną, by przy chichocie publiczności wysłuchać fragmentów nagrań audio z prezydenckiej debaty o teatrze. Jakże nie śmiać się szyderczo, gdy Wawrzyniec Rymkiewicz mówi o powinności aktora, że od niego winniśmy uczyć się, jak płakać i jak się śmiać, jakie uczucia przeżywać… Jakże nie wybuchnąć śmiechem, gdy Dariusz Karłowicz mówi coś po grecku? Że chodząc do teatru, mamy co jakiś czas ochotę krzyczeć: „Ouden pros ton Dionyson" („To nie ma nic wspólnego z Dionizosem") – to nie jest teatr, to nie jest to, do czego teatr jest stworzony. A gdy ten filozof szuka mędrców wśród ludzi teatru – dyrektorów, reżyserów, dramaturgów? Gdy pyta o ich znajomość ludzkiej natury? Czyste jaja.

Czym innym, jak nie rechotem, powitać głos Wandy Zwinogrodzkiej czy Antoniego Libery opowiadającego o swej pogardzie dla nowomodnych teatrów. Publika więc szaleje.

Wreszcie kankan z podkładem z Jarosława Kaczyńskiego intonującego narodowy hymn. Jest zabawnie. Artyści strzelają jeszcze etiudkę pod tytułem: przepraszam za udział w „Klątwie", gdy przypisując sobie czasem nie swe przekroczenia, opowiadają, jak to dali się unieść atmosferze, autorytetowi i charyzmie reżysera, podlegli szantażowi emocjonalnemu. Jest prześmiesznie, jest prześmiewczo. Pusto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Skalpelem po oczach

Lud to kupił. W trzy dni „Botoks" obejrzało prawie 712 tys. ludzi. Wśród nich zapewne byli fani serialu „Na dobre i na złe" oraz „Bogów" Łukasza Palkowskiego. Reżyser wydał z tej okazji oświadczenie, w którym sponiewierał krytyków filmowych, choć od lat wiadomo, że nasza publiczność wcale się z ich zdaniem nie liczy. Łatwo jest pisać recenzję, wiedząc, iż jest się uczestnikiem medialnej nagonki. Lepiej jednak zapytać: dlaczego ludzie – na co dzień aż do przesady kibicujący polskiemu kinu – uparcie odmawiają nawrócenia się na „veganizm"? Wszak „Wesele" i „Policja" zbudowane są na podobnym schemacie, co „Pitbulle". Tymczasem Smarzowskiego krytycy wielbią, Vegę zaś wręcz przeciwnie.

No cóż, diabeł tkwi w szczegółach. Po pierwsze: twórca „Domu złego" jest reżyserem poukładanym i precyzyjnym. Dobrze wie, czego chce i jakich narzędzi używać, by osiągnąć pożądany efekt. Vega ma na koncie już osiem filmów (produkcji telewizyjnych nie licząc), lecz wciąż nie panuje nad formą i treścią. „Botoks" jest na tle jego poprzednich dokonań mniej chaotyczny. Fabuła nadal jednak rozłazi się na boki, a jej wiarygodność jest poświęcana dla doraźnego efektu.

Po drugie: Smarzowski jest szczery. Swoją prawdę wali prosto w oczy, nie bacząc na to, co ludzie powiedzą (chociaż w „Wołyniu" zaczął się już trochę asekurować). Motywy Vegi zdają się zaś czysto merkantylne. Widzom, od lat bombardowanym rewelacjami o patologiach, daje to, czego oczekują: obraz totalnej demoralizacji polskiej służby zdrowia. Lekarze to kanalie, a w najlepszym wypadku cynicy. Mylą im się nogi podczas amputacji, nie potrafią wydać poprawnej diagnozy, pacjentów traktują z buta. Są przy tym doskonale bezkarni, co najwyżej mogą się poślizgnąć na krwi, wartkim strumieniem płynącej po szpitalnych posadzkach.

Chirurgia plastyczna to domena szarlatanów. O korupcji nawet nie warto wspominać, bo wszyscy są do kupienia. „Czym się różni mafia od koncernu farmaceutycznego? Ma mniejszy budżet". W aptekach pracują troglodyci, w pogotowiu zaś zwyrodnialcy, dla których okraść lub zbezcześcić zwłoki to tyle, co splunąć. W warstwie – że się tak wyrażę – ideowej mamy pomieszanie z poplątaniem. Vega, jak Wałęsa, jest za (in vitro), a nawet przeciw (aborcji). Wyśmiewa obsesję zdrowego stylu życia, lecz popiera feminizm w jego najbardziej agresywnej formie. Faceci z „Botoksu" to świnie, z wyjątkiem jednego, który jeszcze niedawno był kobietą. Im bliżej końca, tym bardziej reżysera ściąga w stronę „Lejdis". Jest w tym jakiś sens. Wizja turboorgazmów przynajmniej paniom pomoże zapomnieć o medycznym horrorze. ©℗

★★☆☆☆☆

REŻ. PATRYK VEGA
„BOTOKS"
POLSKA 2017

wyst. Olga Bołądź, Agnieszka Dygant, Katarzyna Warnke

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PIERWSZY ŚNIEG"

Harry Hole, policjant z problemami, wkracza do kin. Dostał twarz Michaela Fassbendera. Bohater kilkunastu powieści kryminalnych Jo Nesbø pojawi się na ekranie w filmie, którego reżyserem miał być Martin Scorsese (ostatecznie był jednym z producentów). Przeciwnikiem Hole'a jest seryjny morderca wybierający na swoje ofiary zamężne kobiety. Jednak według jakiego klucza? ©℗ *Piotr Gociek*

- *„Pierwszy śnieg" („The Snowman"), reż. Tomas Alfredson, wyst. Michael Fassbender, Rebecca Ferguson, Chloë Sevigny, Wielka Brytania/Szwecja 2017*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Dwie korony", reż. Michał Kondrat, Polska 2017*
- *„Emotki. Film" („The Emoji Movie in 3D"), reż. Tony Leondis, USA 2017*
- *„Goodbye Berlin" („Tschick"), reż. Fatih Akin, Niemcy 2016*

eprasa.pl 71a92482cc

Życie po Ibsenie

Równouprawnienie płci doprowadziło do sytuacji, w której kobiety też dopada kryzys wieku średniego. „Czy robię to, co chciałam robić?" – zastanawia się Rosa z São Paulo. Odpowiedź jest, rzecz jasna, negatywna. Marzyła, by zostać dramatopisarką, tymczasem marnuje swój talent w firmie handlującej ceramiką łazienkową. Domem i córkami praktycznie zajmuje się sama. Mąż aktywista walczy o ocalenie amazońskiej dżungli przed spółkami węglowymi. Od połowicy oprócz moralnego wsparcia domaga się seksu. Rodzice Rosy to też niezłe ziółka. Podczas kolejnej rodzinnej kłótni matka informuje ją, że jest owocem pozamałżeńskiego romansu.

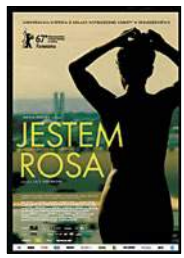

★★★☆☆☆

REŻ. LAÍZ BODANZKY
„JESTEM ROSA" („COMO NOSSOS PAIS")
BRAZYLIA 2017

wyst. Maria Ribeiro, Clarisse Abujamra, Paulo Vilhena

Dla człowieka, którego dotąd uważała za ojca, życie jest karnawałem. Ona jednak czuje się jak Nora z „Domu lalki". Postanawia dopisać do sztuki Ibsena ciąg dalszy.
Nie wiem, co podziwiać bardziej: psychiczną odporność bohaterki czy oczytanie Brazylijczyków. Oprócz nordyckiej klasyki filmowi patronuje Simone de Beauvoir. Czy Rosa „zaakceptuje transgresję", pozna smak zachwalanej przez przyrodnią siostrę „wolnej miłości"? To nieistotne. Ważne, że wiedzę, jaką zdobyła o bliskich i o sobie, przekuje w literaturę. Potwierdzając tym samym potoczną opinię, że porażki są najlepszym paliwem dla twórczości. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POTWORY MIĘDZY NAMI

★★★☆☆☆

REŻ. NACHO VIGALONDO
„MONSTRUM" („COLOSSAL")
HISZPANIA/USA 2016, MONOLITH

wyst. Anne Hathaway, Jason Sudeikis, Austin Stowell

Hiszpański reżyser Nacho Vigalondo lubi fantastykę, uznanie zdobył małym, ale precyzyjnie skonstruowanym filmem o podróżach w czasie („Timecrimes"), potem zrobił też romantyczną komedię o inwazji obcych („My, oni i obcy"). „Monstrum" to opowieść, w której kpi z filmów o potworach. Sympatyczna, ale zbyt często zaglądająca do kieliszka Gloria wraca do rodzinnego miasta, by doprowadzić się do porządku. Sprawy przybierają jednak kiepski obrót, gdy zaczyna podejrzewać, że jej życie jest w jakiś sposób połączone z wielkim stworem pojawiającym się wieczorami w Seulu i niszczącym miasto w stylu znanym z filmów o Godzilli. I już kiedy widz jest przekonany, że ten chwyt to tylko barwna i przesadna metafora alkoholika zmagającego się ze swoimi demonami, opowieść skręca w stronę psychothrillera. W rolach głównych dobrze wypadają Anne Hathaway i Jason Sudeikis – to dzięki nim mocno ekscentryczna opowieść wydaje się prawdopodobna (a przecież nie jest). ©℗

PIRACI NIE ZNAJĄ UMIARU

★★★☆☆☆

REŻ. JOACHIM RØNNING, ESPEN SANDBERG
„PIRACI Z KARAIBÓW: ZEMSTA SALAZARA"
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Brenton Thwaites, Kaya Scodelario, Johnny Depp, Geoffrey Rush, Javier Bardem

„Płynie okręt przez odmęty / Nie zwyczajny – lecz zaklęty" – pisał Jan Brzechwa. I wszystko się zgadza, tylko zamiast korsarza Palemona na pokładzie mamy kapitana Salazara (Javier Bardem), chlubę hiszpańskiej marynarki wojennej, przydomek El Matador del Mar (Rzeźnik Morza). W nowej części serii „Piraci z Karaibów" zaklętych okrętów jest zresztą więcej, bo powracają znane z poprzednich „Czarna Perła" oraz „Latający Holender". Główni bohaterowie to już nowe pokolenie: Henry, syn Willa Turnera (Brenton Thwaites, ostatnio w „Bogach Egiptu") i rezolutna Carina Smyth (znana z serii „Więzień labiryntu"). Cel? Sprawić, by skazany na wieczne potępienie Will powrócił do świata żywych. Plus tradycyjne wygłupy kapitana Jacka Sparrowa. Bezpretensjonalna, kolorowa zabawa, która nie kończy przygody, bo szósty film serii dopiero przed nami. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „TOTAL WAR: WARHAMMER II" ★★★★★☆

Przeniesienie klasycznego świata fantasy do realiów zakochanej w historii serii „Total War" było dużym ryzykiem. Pierwsza część „Warhammera" pokazała, że ten ruch się opłacił, a magia i elementy RPG odświeżyły nieco skostniały system bitew. Wyzwanie, przed którym stanęła druga część, polegało jednak na tym, jak utrzymać zainteresowanie graczy, pozostając w uniwersum „Warhammera"? Może po prostu poprawiając błędy poprzednika, dodając nowe kontynenty, cztery frakcje (mroczne elfy, elfy wysokiego rodu, jaszczuroludzi i skavenów) oraz nowy sposób prowadzenia kampanii, oparty na celu fabularnym? Znowu się udało. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Creative Assembly/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 71a92482cc

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mały pisarczyk z Florencji

Przez wiele lat był to ważny dla mnie pisarz. W 1996 r. miałem okazję przeprowadzić z nim krótki wywiad, z przejęciem wysłuchałem też jego wykładu na Uniwersytecie Warszawskim, podczas którego zachłystywał się możliwościami stwarzanymi przez Internet. O tym, że jego entuzjazm dla sieci, telefonii komórkowej, Twittera i innych cudów współczesnej technologii (bo już myśli – niekoniecznie) zdecydowanie osłabł, możemy przekonać się w trakcie lektury jego ostatniej książki, wydanej w zeszłym roku tuż po śmierci autora. Zatytułowanej „Pape Satàn Aleppe", co jest nieprzetłumaczalnym cytatem z pieśni VII „Piekła" Dantego.

Był Eco wziętym powieściopisarzem („Imię róży", ale i „Wyspa dnia poprzedniego", „Baudolino"), uznanym semiologiem, filozofem i mediewistą, profesorem uniwersytetów w Bolonii i we Florencji, wreszcie felietonistą, i to właśnie z felietonów regularnie publikowanych w „L'Espresso" składa się wydana obecnie w Polsce książka. Znajdziemy ich tutaj bez mała 180; najstarsze są z roku 2000, ostatnie z roku 2015 i opowiadają o ponowoczesnym świecie, o „płynnym" społeczeństwie, w którym przyszło żyć włoskiemu mędrcowi na początku XXI stulecia.

Pamiętając powszechny podziw towarzyszący wcześniejszym edycjom felietonistyki Eco, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że o uznanie to byłoby dziś bardzo trudno. Lektura tych, niekiedy wirtuozerskich, popisów pisarskich ze strony na stronę staje się coraz bardziej przygnębiająca. Dowodzi bowiem jedynie tego, że wprawdzie autor, usiłując zrozumieć współczesny świat, koniecznie chce zaznaczyć swoją odrębność, ale naprawdę wpisuje się w legion tych wszystkich pisarczyków, którzy nawet dziwiąc się bezmyślności naszych czasów, w istocie ją aprobują. Co najwyżej akcentując, że sami są ponad to, że śmieszy ich poprawność polityczna, że przerażają niski poziom edukacji i zachłanność mediów, że martwi globalne ocieplenie, ale przecież trzeba jakoś pogodzić się z tym wszystkim, co oznacza także wyrozumiałość dla „obcych", pochwałę liberalizmu, a przede wszystkim zadowolenie z tego, że mamy ciepłą wodę.

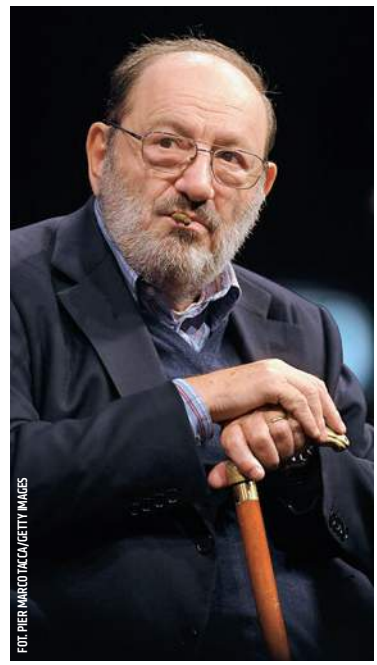

FOT. PIER MARCO TACCA/GETTY IMAGES

Gdyby nie włoskie akcenty, głównie dotyczące postaci Silvia Berlusconiego, którego Eco zwalczał z zaciętością godną lepszej sprawy, felietony te mogłyby być drukowane w „Gazecie Wyborczej", co swoją drogą podniosłoby znacznie poziom publikowanych tam tekstów. A red. Michnik nie posiadałby się ze szczęścia, gdyż autor „Pape Satàn Aleppe" jak tylko może dowartościowuje innego mędrca naszej epoki, Zygmunta Baumana, skądinąd twórcę pojęcia „płynnego społeczeństwa".

Jawi się tu Umberto Eco jako gorący zwolennik papieża Franciszka, podejrzewając, że jest on „ostatnią osobą, która jeszcze mówi i robi »lewicowe rzeczy«", a przemiany w postrzeganiu ponowoczesnej rzeczywistości przypisuje Janowi Pawłowi II, dzięki któremu – powiada – „mamy masę młodych wierzących ludzi, którzy […] są gotowi na wiele kompromisów w kwestii stosunków przedmałżeńskich, antykoncepcji, niektórzy nawet w kwestii narkotyków, a wszyscy zgodnie w kwestii dyskotek". Jednakże zauważa, że „świat laicki płacze nad zanieczyszczeniem, hałasem i nad duchem New Age, który zdaje się jednoczyć neoewolucjonistów, zwolenników wielebnego Milinga [urodzony w Zambii katolicki arcybiskup Milingo w 1997 r. wystąpił jako raper w San Remo, a cztery lata później w Nowym Jorku się ożenił – przyp. K.M.] i sybarytów lubujących się w masażach orientalnych".

Bardzo to zabawne, kiedy jednak dochodzi do spraw poważniejszych, okazuje się, że dla Eco jednym z najważniejszych utworów literackich na temat Holokaustu był komiks „Maus" jego przyjaciela Arta Spiegelmana, a terrorystyczny atak na redakcję „Charlie Hebdo" skwitował zdaniem Woltera, że należy bronić wolności myśli także tych, którzy myślą inaczej niż my. Najstraszniejsza zaś jest groźba odrodzenia faszyzmu.

Nowe czasy, zdaniem Umberto Eco, wymagają nowych narzędzi, żeby przezwyciężyć „płynność" ponowoczesnego społeczeństwa. Niestety, ubolewał, nie rozumieją tego ani politycy, ani duża część inteligencji i dlatego Bauman pozostawał „vox clamantis in deserto". Czyli wołającym na puszczy. Można wywnioskować, że w tych nieprzebytych kniejach współczesności obaj jajogłowi nawoływali się wzajemnie. Bez widocznych efektów. ©℗

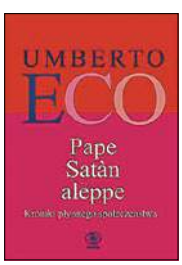

★★★☆☆☆
UMBERTO ECO „PAPE SATÀN ALEPPE. KRONIKI PŁYNNEGO SPOŁECZEŃSTWA" REBIS 2017

eprasa.pl 71a92482cc

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Atlantyda i Eldorado

Lubię takie książki, bo nic tak nie pobudza wyobraźni jak obserwowanie cudzych dokonań w tej dziedzinie, a przegląd przygotowany przez Edwarda Brooke'a-Hitchinga jest imponujący. To także dowód na to, że w maksymie: „Czego dziennikarz nie wie, to zmyśli" powinniśmy zamienić dziennikarza na kartografa, a może jeszcze szerzej – na podróżnika.

Cudownie ilustrowana książka wskrzesza na swoich kartach lądy i krainy nieistniejące. Nie chodzi o zmyślenia pisarzy, którzy wszak żyją z tworzenia rozmaitych nibylandii, ale o pomyłki (nadużycia? przesadę?) w dobrej wierze. Za mit o Atlantydzie odpowiada Platon, za opowieści o Eldorado – stugębna plotka rosnąca dzięki konkwistadorom, jednak większość miejsc, które opisuje brytyjski bibliofil, pojawiła się na mapach dzięki odkrywcom, którzy wykazywali się nadmiernym optymizmem i fantazją: ujście wielkiej rzeki brali za początek nowego morza, układające się na horyzoncie obłoki za górskie łańcuchy nieznanych wysp i kontynentów. Innym razem próbowali na siłę znaleźć dowody na istnienie miejsc, które wcześniej w swoich rzekomo naukowych traktatach opisywali autorzy, którzy nigdy nie wyściubili nosa poza rogatki rodzinnego miasta. Czasem – bardzo rzadko – padali ofiarą żartu czy celowego oszustwa.

Łatwo wykpiwać te pomyłki, dysponując dzisiejszymi mapami i satelitami, mnie historia tej fantastycznej geografii przede wszystkim niezmiernie rozczula, bo doskonale rozumiem to towarzyszące nam przez stulecia pragnienie, by za zamglonym przesmykiem, po drugiej stronie nowo odkrytego przylądka czy pośrodku dopiero co odkrytego morza istniało jeszcze coś. Coś niesamowicie pięknego, niezwykłego. A za tym czymś – kolejne coś.

Szczerze żałuję więc, że nie istniało wielkie morze wewnętrzne pośrodku Australii ani stały ląd w miejscu bieguna północnego, żal mi mitycznego Królestwa Księdza Jana. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby naprawdę istniało? Podobnie jak Hy Brasil, Wielka Irlandia czy Kasterydy, wedle Rzymian znajdujące się nieopodal Brytanii i obfitujące w złoża cyny. A tym, którzy myślą, że podobne marzenia zwodziły podróżników i polityków tylko w dawnych czasach, polecam opowieść o Bermei, o której zniszczenie lub ukrycie współcześni Meksykanie oskarżają Amerykanów. Gdyby bowiem istniała, dawałaby Meksykowi prawa do otaczających ją wód terytorialnych. Wtedy eksploatacja Zatoki Meksykańskiej wyglądałaby całkiem inaczej. ©℗

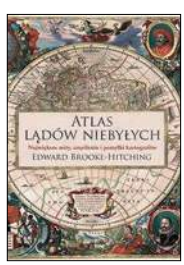

★★★★★★

EDWARD BROOKE-HITCHING
„ATLAS LĄDÓW NIEBYŁYCH"
REBIS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ciąg dalszy „Katedry w Barcelonie", jednego z bestsellerów ostatniej dekady wśród powieści historycznych. Polski przekład ukazuje się przed angielskim, bo polscy czytelnicy szczególnie cenią hiszpańskiego pisarza.

ILDEFONSO FALCONES
„DZIEDZICE ZIEMI"
ALBATROS

Pierwszy tom nowej serii autora książek o ludobójstwie Polaków dokonanym na polskich kresach. Podtytuł: „Zbrodnie ukraińskie w świetle relacji i dokumentów" – Koprowski sięgnął także po źródła ukraińskie i rosyjskie.

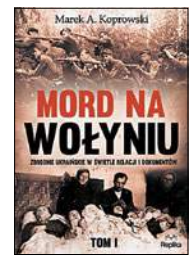

MAREK A. KOPROWSKI
„MORD NA WOŁYNIU"
REPLIKA

Wznowienie bestsellerowej powieści hinduskiej autorki. Dzieje chrześcijańskiej rodziny w Indiach i wspomnienia z dzieciństwa stworzyły okazję do napisania poruszającej opowieści o podzielonym społeczeństwie oraz znaczeniu miłości.

ARUNDHATI ROY
„BÓG RZECZY MAŁYCH"
ZYSK I S-KA

Po przerwie na powieść o mjr. „Hubalu" Jacek Komuda powraca do ulubionej serii swoich czytelników, czyli cyklu „Orły na Kremlu" opowiadającego o losach polskiej wyprawy na Moskwę. Dymitriady ciąg dalszy. ©℗

poleca Piotr Gociek

JACEK KOMUDA
„MOSKIEWSKA ŁADACZNICA"
FABRYKA SŁÓW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Oskarżenie" (Czwarta Strona) – szósty tom cyklu kryminalnego o prokurator Joannie Chyłce.***
2. ***Grzegorz Kubicki, Maciej Drzewicki „Ania. Biografia Anny Przybylskiej" (Agora) – opowieść o przedwcześnie zmarłej aktorce znanej m.in. z serialu „Złotopolscy".***
3. ***David Lagercrantz „Mężczyzna, który gonił swój cień" (Czarna Owca) – piąty tom cyklu „Millennium", a drugi, którego autorem nie jest Stieg Larsson.***
4. ***Małgorzata Gutowska-Adamczyk „Ciastko z wróżbą" (Prószyński) – pierwszy tom drugiej serii „Cukierni pod Amorem", popularnego cyklu powieści dla pań.***
5. ***Izabella Wentz „Hashimoto" (Wydawnictwo Otwarte) – podtytuł mówi wszystko: „Jak w 90 dni pozbyć się objawów i odzyskać zdrowie".***

(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni internetowej Bonito)

eprasa.pl 71a92482cc

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Na inauguracji wystąpi m.in. Kapela Maliszów

FOT. JMF/MATERIAŁY PRASOWE

Cały świat w Katowicach

Pamiętam uczucie ekscytacji, gdy docierały do nas pogłoski, że Katowice poważnie brane są pod uwagę jako miejsce kolejnych targów WOMEX 2017. Potem, latem ubiegłego roku, radosne BUM!, gdy potwierdzono wiadomość, a teraz liczymy już dni do inauguracji wielkiego muzycznego wydarzenia.

Używane w podobnych sytuacjach określenie „święto muzyki" nie oddaje istoty rzeczy. World Music Expo – targi muzyki świata – to obok MIDEM w Cannes jedna z najbardziej prestiżowych imprez środowiska branży muzycznej, na dodatek ukierunkowana na muzykę inspirowaną folklorem. Nie przypadkiem przywilej przypadł Katowicom i nie jest ślepym fartem, że od 25 do 29 października do stolicy Górnego Śląska ściągną setki artystów z całego świata, tysiące fanów world music, przedstawiciele muzycznego biznesu i pracownicy firm reprezentujących przemysł kreatywny. Katowice od lat, krok po kroku, z uporem tworzyły infrastrukturę, która będzie zdolna zorganizować właśnie taką imprezę.

Olśniewający urodą i imponujący funkcjonalnością obiekt Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, obok Centrum Kongresowe, gmach Muzeum Śląskiego, stary, wysłużony (nieco poprawiony) Spodek i ich wzajemne usytuowanie tworzą wymarzoną przestrzeń dla planowanych na WOMEX konferencji, pokazów, ekspozycji, no i oczywiście koncertów. A tych na targach nie zabraknie.

Bogactwo oferty jest tak oszałamiające, że bywalcy poprzednich edycji z trudnością mogli podjąć decyzję, na który koncert zdążyć, a co odpuścić. W 2015 r. w Budapeszcie trzeba było odwiedzić siedem głównych scen, dotrzeć do 1,5 tys. stoisk, gdzie eksponowane były firmy z branży muzycznej, i próbować wysłuchać 280 artystów. W Katowicach program jest równie bogaty. Polacy na inauguracyjny koncert wystawią silną reprezentację: Kapela Maliszów, zespół Lautari i opisywany ostatnio na tych łamach, świetny śląsko-góralski kwintet Vołosi. Jak na wielką scenę NOSPR przystało, naszym artystom towarzyszyć będzie Aukso – Orkiestra Kameralna Miasta Tychy pod batutą Marka Mosia. ©℗

Więcej na: www.womex.com

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Horror przyszłości w przeszłości

Na początku tego millennium pojawiła się fala brytyjskich zespołów czerpiących inspirację z postpunkowej przeszłości. Dla The Horrors rok 1979 jest rokiem „zero".

Kiedy trudno mówić o oryginalności, wielką rolę odgrywa producent nagrań. Grupa zaangażowała sprawdzonego Paula Epwortha (Rihanna, Adele, Coldplay, U2 oraz Paul McCartney). Wspólnie zrealizowali album o wręcz stadionowym brzmieniu, a zarazem najbardziej przekonujący w karierze grupy.

Epworth wzbogacił synthpopową psychodelię The Horrors o dodatkowe brzmienia z przełomu lat 80. i 90., takie jak baggy, rave i shoegaze. Ostatni z terminów (muzyk zapatrzony podczas koncertu na czubki butów) opisuje gitarową ścianę dźwięku połączoną z mamroczącym, melodyjnym wokalem. Ta formuła najlepiej sprawdziła się w industrialnej balladzie „Weighed Down". Jednakże album otwiera brawurowy „Hologram" wyraźnie inspirowany lodowatymi pulsacjami Tubeway Army, a kończy euforyczna „Something to Remember Me By" oparta na rytmach à la Giorgio Moroder.

Na szczęście dla The Horrors i słuchaczy inspiracje są tylko punktem wyjścia do poszukiwań. Ich celem jest bowiem okiełznanie pustoszącej serca melancholii. ©℗

★★★★☆☆

THE HORRORS
„V"
CAROLINE

★★★★☆☆

NATALIA KUKULSKA
„HALO, TU ZIEMIA"
AGORA

Kolejny zakręt w muzycznej karierze wokalistki. Tym razem odważnie wkracza w świat analogowego electropopu. Głównym tematem jest kobieta przyszłości (?), co podkreślają futurystyczne stroje z teledysków. Ciekawe, lecz nie nowatorskie. ©℗

★★★★☆☆

P.A.F.F.
„FALA"
UNIVERSAL

Debiut Pawła Kasperskiego, świetnego producenta elektronicznej muzyki tanecznej. Rapują gwiazdy hip-hopu (m.in. Tede), bas rozrywa głośniki, rytmy wariują, klawisze świrują, a wszystko razem nie odbiega od światowych standardów. ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

SUPER HISTORIA.pl

TYGODNIK LOSCKIEGO DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

10 PAŹDZIERNIKA

CZĘŚĆ VI Z CYKLU „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI"

„OSTATNI WYKLĘTY"

STANISŁAW MARCHEWKA "RYBA". OSTATNI OFICER PODZIEMIA, KTÓRY ZGINĄŁ Z BRONIĄ W RĘKACH. WALCZYŁ DO 1957 ROKU, WOJNA TRWAŁA DLA NIEGO 18 LAT.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 71a92482cc

Zabijanie humanistyki

Wojciech Polak

System punktowy dyskryminuje zajmujących się naukami humanistycznymi i społecznymi. Niestety, reforma ministra Gowina jeszcze to wzmocni

Podczas ostatniego kongresu PiS w Przysusze Jarosław Kaczyński powiedział, że konieczne jest odrodzenie polskiej inteligencji. Temu m.in. powinna służyć przeprowadzana obecnie reforma szkolnictwa wyższego. Inny jej cel to kształtowanie postaw patriotycznych wśród owej inteligencji. Twierdzeniom tym należy przyklasnąć. W zadaniach owych szczególną rolę, siłą rzeczy, odgrywać muszą naukowcy specjalizujący się w dyscyplinach z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. Niestety, od pewnego czasu realizowana jest w sposób wyraźny strategia traktowania tych nauk jako podrzędnych, nieprzynoszących odkryć ani wynalazków, które można przekuć na innowacyjne, dające dochody patenty i technologie.

Rzecz, o której piszę, dotyczy pewnego fragmentu funkcjonowania szkolnictwa wyższego, który został mocno zreformowany za rządów Platformy Obywatelskiej. Chodzi o tzw. parametryzację (system punktowy) osiągnięć naukowych pracowników i jednostek naukowych. System ten został podtrzymany w całej rozciągłości przez ministra Jarosława Gowina, a w niektórych fragmentach rozszerzono go znacząco.

PUNKTOZA

Nauki humanistyczne i społeczne mają swoją specyfikę oraz odrębność. Tymczasem system punktowania traktuje je identycznie jak nauki przyrodnicze, techniczne i ścisłe. W owych naukach – przyrodniczych, technicznych i ścisłych – osiągnięcia naukowe przekazywane są prawie wyłącznie w postaci artykułów publikowanych w czasopismach. Wymaga się więc od naukowców, żeby publikowali w pismach o największej wartości punktowej (najlepiej w tych powyżej 15 pkt). Takie pisma ukazują się często poza granicami Polski. W przypadku dużej części nauk ścisłych, przyrodniczych i technicznych sprawa jest prosta. Nie ma zjawisk fizycznych ani reakcji chemicznych polskich i zagranicznych. Jednakże większość przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych jest w sytuacji beznadziejnej. Historycy polscy zajmują się głównie historią Polski lub jej regionów. Nikt w wysoko punktowanym piśmie historycznym w Europie Zachodniej lub USA nie opublikuje artykułu o Armii Krajowej w powiecie sochaczewskim lub o powstaniu styczniowym na ziemi sie-

eprasa.pl 71a92482cc

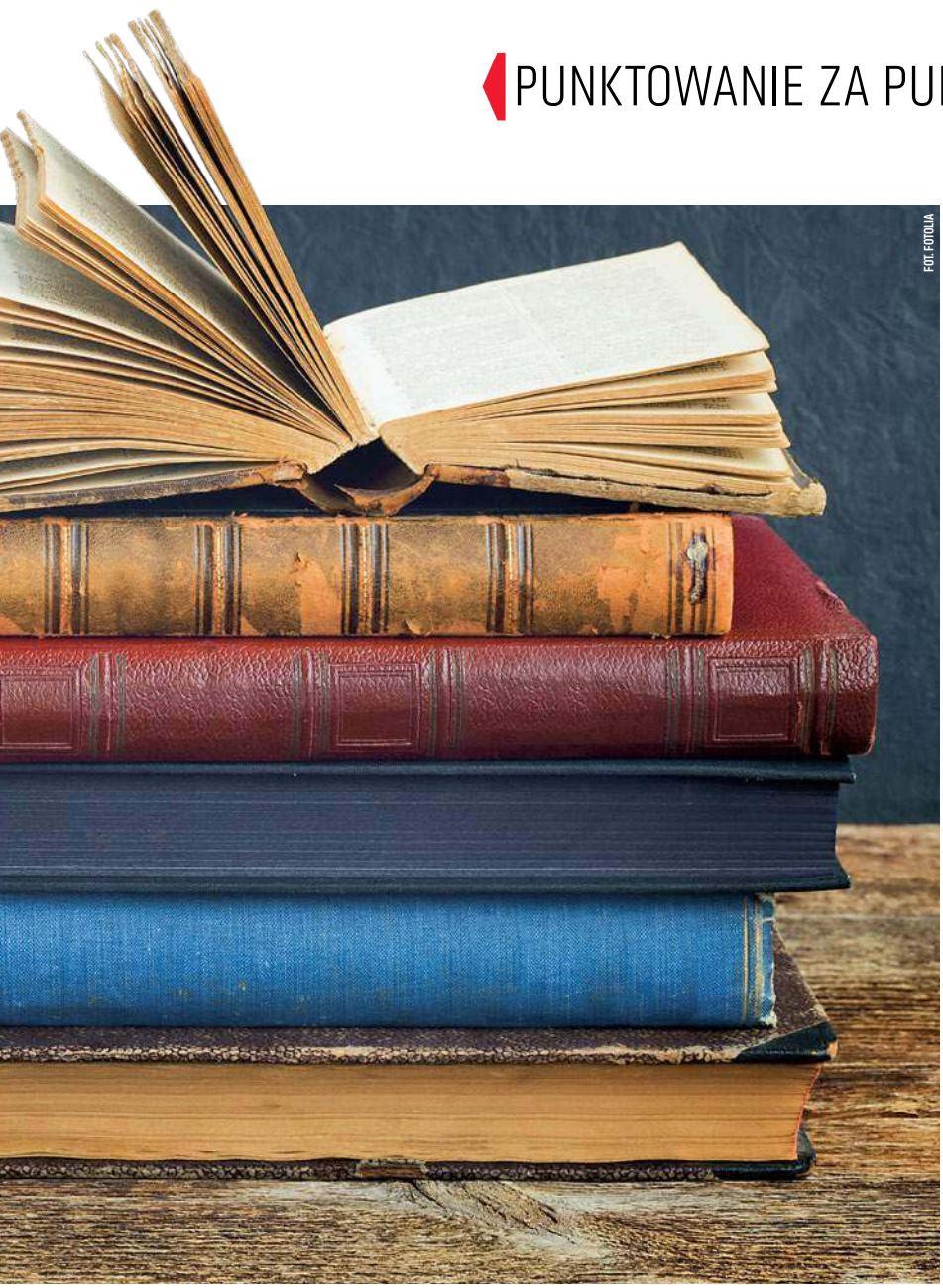
FOT. FOTOLIA

dleckiej. Tymczasem polskie historyczne pisma regionalne mają przyznane zazwyczaj po 2–3 pkt, a najwyżej punktowane dwa pisma historyczne w Polsce mają po 15 pkt. Oczywiście historyk polski może napisać od biedy artykuł o osadnictwie irlandzkim na wschodnich stokach Appalachów w I połowie XIX w. i wydać je w 30-punktowym piśmie amerykańskim. Czy ma to jednak sens? Chyba nie. W interesie naszego państwa i naszej polityki historycznej leży to, żeby owych artykułów o powiecie sochaczewskim lub ziemi siedleckiej postawało jak najwięcej. Tymczasem twórczość historyków czy politologów zajmujących się Polską traktuje się z lekceważeniem. Owe 2–3 pkt przyznawane pismom regionalnym są tego najlepszym przykładem. W jaki sposób mają zdobywać punkty (potrzebne np. do awansu naukowego) humaniści zajmujący się badaniami regionalnymi, niezmiernie ważnymi z punktu widzenia państwa i społeczeństwa – nie wiadomo.

KSIĄŻKI NA MAKULATURĘ

Owo lekceważenie ma jeszcze inny wymiar. Ministerstwo nie rozumie, że w naukach humanistycznych i społecznych podstawową formą przekazywania wyników badań jest publikowanie nie artykułów, ale monografii książkowych. Tymczasem w naukach ścisłych, przyrodniczych i technicznych książek prawie się nie pisze (z wyjątkiem podręczników). Dla ministerstwa jednak większość monografii książkowych nie ma większej wartości. Nikt nie rozumie, że humaniści i przedstawiciele nauk społecznych właśnie przede wszystkim w książkach przekazują wyniki swoich badań. Wprowadzono więc w systemie podliczania punktów przy ocenie jednostek naukowych (np. wydziałów) tzw. pułap odcięcia. Tylko 20 proc. pkt uzyskanych z książek w naukach społecznych, a 40 proc. w humanistycznych, przy ocenie indywidualnej pracownika może być wliczone do punktów całego wydziału. Ja w latach 1914–1916 (trzy lata) uzyskałem w sumie ok. 200 pkt, ale dla mojego Wydziału Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK do jego oceny z moich punktów liczy się tylko 75, gdyż większość punktów otrzymałem za książki, które uległy „odcięciu". Jest to istny horror, kompletne niezrozumienie specyfiki nauk humanistycznych przez przedstawicieli nauk ścisłych i doświadczalnych. No i chyba jednak przez ministerstwo, które takie przepisy toleruje.

Warto jeszcze dodać, że monografie książkowe są w ogóle punktowane niezwykle nisko. Do końca 2016 r. było to 20 pkt, obecnie jest 25. A taką monografię pisze się zazwyczaj kilka lat. No tak, jeżeli monografia uzyska nagrodę jakiejś instytucji centralnej i zostanie uznana za wybitną, to dostanie 50 pkt. Tutaj jednak pojawia się smutna konstatacja – nie wiedzieć czemu takie nagrody dostają najczęściej prace naukowców warszawskich.

W 2016 r. opublikowałem obszerną książkę „Swetry, sutanny i mundury", nad którą pracowałem dwa lata. Dostałem za nią 20 pkt. Profesor Andrzej Nowak za trzy tomy pomnikowych „Dziejów Polski" dostał 0 pkt, gdyż podobno nie spełniają one formalnych kryteriów pracy naukowej. W tym systemie Szymon Askenazy, Władysław Pociecha, Władysław Konopczyński, Aleksander Hirschberg, Antoni Prochaska, Oswald Balzer, Ludwik Kolankowski, Tadeusz Kutrzeba, Oskar Halecki i inni też mieliby 0 pkt.

PISMA NAUKOWE – INSTYTUCJE ZAROBKOWE

Można oczywiście nastawić się na publikowanie artykułów w pismach zachodnich, wysoko punktowanych. Nie jest to jednak proste. Koszt wydrukowania takiego artykułu może przekroczyć 10 tys. zł. Spora część zachodnich pism naukowych nastawiona jest na zysk i należy do wielkich koncernów prasowych. Często spotykane jest nabijanie przez

eprasa.pl 71a92482cc

owe pisma punktów poprzez ustawki (spółdzielnie) autorów w celu uzyskania wysokiego tzw. indeksu cytowań Hirscha (ja cytuję ciebie, ty cytujesz mnie). Kiedy polski autor wysyła do nich tekst, procedura jest następująca: 100 dol. za przyjęcie, potem żądają po 300 dol. dla każdego z dwóch recenzentów, potem zaś orzekają, że przekład na angielski jest marny, i żądają 1,1 tys. dol. na tzw. native speakera. W sumie łaskawie publikują za minimum 1,8 tys. dol. Czy nie jest to wyrzucanie polskich pieniędzy w błoto? No i skąd młodzi naukowcy mają wziąć pieniądze na takie ekscesy?

TRANSFORMATYWNA HERMENEUTYKA

Poruszę jeszcze jeden aspekt owych wysoko punktowanych naukowych pism zachodnich (zwłaszcza w dziedzinie filozofii i nauk społecznych) – przesiąknięcie postmodernizmem i pseudonaukowym bełkotem. Pojawiają się w nich rozliczne teksty, których aparat pojęciowy oparty jest na naukach ścisłych i przyrodniczych, a sens wywodów jest przez to wysoce wątpliwy. Wystarczy wspomnieć przypadek amerykańskiego pisma naukowego „Social Text", w którym amerykański fizyk Alan Sokal opublikował (na zasadzie prowokacji) zupełnie bzdurny i absurdalny tekst pt. „Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce grawitacji kwantowej". Przedstawił w nim, używając pseudonaukowego żargonu, jakąś absurdalną teorię łączącą koncepcje rozwoju społecznego, feminizmu, emancypacji i dekonstruktywizmu z grawitacją kwantową. Artykuł miał pozytywne recenzje, odniósł wielki sukces i zdobył rozgłos. Wszystko to trwało do czasu przyznania się przez Alana Sokala do tego, że napisał rzecz zupełnie pozbawioną sensu. Jego recenzenci przyznali, że z tekstu nic nie zrozumieli, ale napisali pozytywne recenzje, żeby nie wyjść na ignorantów. Można więc postawić pytanie: Czy naprawdę ma sens publikowanie przez polskich naukowców (za grube pieniądze) artykułów w czasopismach naukowych zamieszczających takie rzeczy?

Cała owa „punktoza", przynajmniej w odniesieniu do nauk humanistycznych i społecznych, jest czymś zupełnie żałosnym. Jej celem jest zapewne ulokowanie naszych uczelni wysoko w rankingach międzynarodowych poprzez m.in. nadanie dorobkowi naszych naukowców „światowego sznytu". Ma to być może sens w naukach technicznych, doświadczalnych, ścisłych. W humanistyce i naukach społecznych sensu to nie ma. Służy to wyłącznie poniżaniu ludzi nauki i deprecjonowaniu ich dorobku. Mówimy tyle (i słusznie) o polityce historycznej, a wprowadzony system zupełnie lekceważy historyków i w ogóle humanistów. Pracują oni ciężko nad rozwikłaniem zagadek naszych dziejów, a okazuje się, że dla ministerstwa byłoby bardziej wartościowe, gdyby zajęli się osadnictwem irlandzkim w Appalachach.

Można zapytać. Jakie znaczenie ma owo upośledzenie nauk humanistycznych i społecznych w zakresie parametryzacji punktowej? Otóż ma zasadnicze znaczenie. Młodym naukowcom dramatycznie hamuje awans. Ich dorobek obliczany jest bowiem poprzez punkty, naliczane tymi specyficznymi, opisanymi wyżej metodami. Z kolei uczelnie i wydziały na podstawie parametryzacji punktowej zdobywają (lub w przypadku uczelni zdobywać będą według zapisów proponowanej ustawy) odpowiednie kategorie, za którymi kryją się dotacje finansowe. Uczelnie o silnych wydziałach humanistycznych i społecznych zostaną po prostu skrzywdzone, wydziały te zaś będą chronicznie niedofinansowane. Przedstawiony przez ministra Jarosława Gowina projekt ustawy o szkolnictwie wyższym nie tylko podtrzymuje ten system punktowy w naukach humanistycznych, lecz także rozszerza jego znaczenie. Przykładowo do awansu naukowego pracownika wymagane będą publikacje w pismach z kategorii A, czyli w praktyce (w odniesieniu do nauk humanistycznych i społecznych) wydawane za granicą. Będzie można wprawdzie napisać książkę, ale – uwaga! – punkty otrzyma tylko książka wydana przez wydawnictwo, które zdobędzie odpowiednią naukową koncesję od ministerstwa. Fama głosi, że warszawskie wydawnictwa już zacierają ręce…

Bunt humanistów narasta, traktowanie ich jako naukowców drugiej kategorii będzie miało z czasem nieobliczalne skutki

Bunt humanistów narasta, traktowanie ich jako naukowców drugiej kategorii będzie miało z czasem nieobliczalne skutki. Jako członek Senatu UMK w Toruniu widzę głęboką gorycz kolegów-profesorów z innych kierunków. Być może reforma systemu szkolnictwa wyższego proponowana przez pana ministra Jarosława Gowina zawiera także słuszne uregulowania. Wiele z nich jednak budzi sprzeciw. Pozostawienie bez zmian owej absurdalnej „punktozy" w naukach humanistycznych i społecznych przekreśli w dużym stopniu skutki podjętych działań.

OBOWIĄZKI SPOŁECZNE HUMANISTY

Pragnę wspomnieć jeszcze o jednym. Naukowiec-humanista ma obowiązki społeczne. I wielu z nich te obowiązki wypełnia. Pracują społecznie w rozlicznych komitetach, kapitułach konkursów, współorganizują regularnie uroczystości patriotyczne, imprezy patriotyczne dla szkół itp. Są też autorami publikacji popularnych mających na celu np. szerzenie wiedzy historycznej. Starają się więc realizować politykę historyczną także w sposób czysto praktyczny. W ocenie pracy naukowca-humanisty nikt tego nie bierze pod uwagę. Liczą się tylko punkty. Co do publikacji popularnych… W 2015 r. Adam Borowski opublikował, ładnie ilustrowany, album „Solidarność. Od komunizmu do Unii Europejskiej" ze wstępami prezydenta RP Andrzeja Dudy i przewodniczącego Solidarności Piotra Dudy. Został on rozprowadzony po szkołach. Byłem jego jednym z czterech współautorów, razem z dr Sylwią Galij-Skarbińską napisałem obszerny rozdział, bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Ile punktów dostałem za tę pracę? Zero!

Lekceważenie humanistyki i nauk społecznych prędzej czy później przyniesie fatalne skutki. Nauki te funkcjonują na styku z kulturą, a nawet wprost są jej częścią. Z historii wiemy zaś, że to m.in. kultura pozwalała przetrwać naszemu narodowi najgorsze okresy w dziejach. Szanujmy ją! Pamiętajmy, że humanistyka i nauki społeczne to nie tylko punkty, publikacje, indeksy Hirscha i rankingi. To także mądry namysł nad światem, Europą, Polską, kondycją naszego społeczeństwa, naszą historią i tożsamością narodową. Ten mądry namysł może być prowadzony tylko w atmosferze spokoju. A punkty pozostawmy sportowcom.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, nauczycielem akademickim, wykładowcą UMK w Toruniu i członkiem Kolegium IPN.

eprasa.pl 71a92482cc

Już 16 października w **DO RZECZY** dodatek

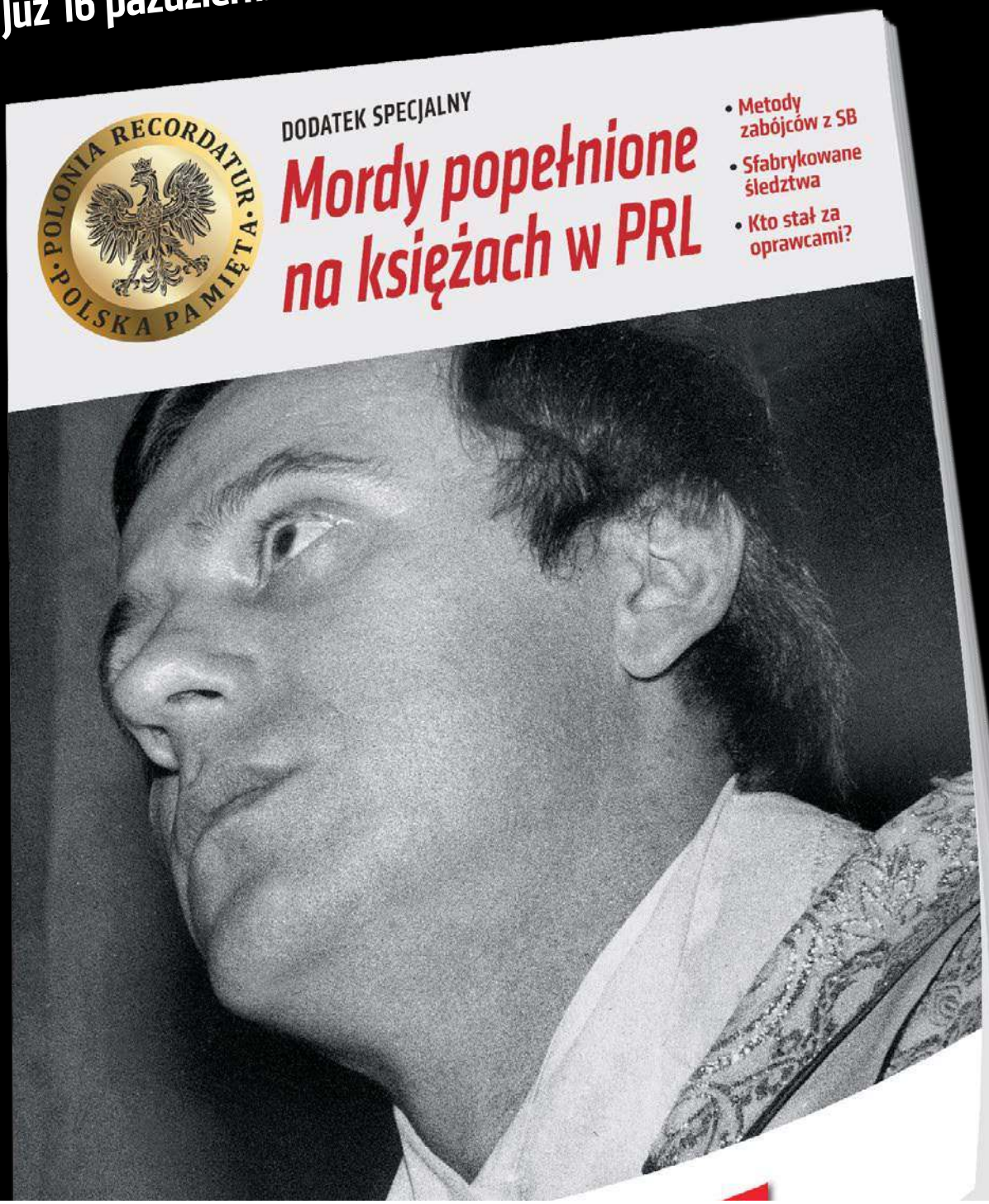

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

REDUTA PWPW
FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Na jałowej ziemi

Łukasz Warzecha

Symetryści są dziś w najgorszej sytuacji, rozproszeni na marginesie obu walczących obozów politycznych. Nie trzeba ich kochać, ale warto słuchać

Prawdziwej odwagi intelektualnej, a czasami po prostu życiowej, wymaga dzisiaj nie śpiewanie w jednym z dwóch najgłośniejszych chórów, ale próba wskazania obu dyrygentom, w których miejscach kierowane przez nich zespoły fałszują. Fałsz to fałsz i fałszem pozostanie, niezależnie od tego, czy fałszuje szkolny chór z Pipidówka, czy chór Opery Narodowej.

Tej niewdzięcznej roli podejmują się ci uczestnicy medialno-politycznej gry, którzy bywają nazywani symetrystami, a czasem – złośliwie, głównie przez zwolenników PiS – rozkraczonymi. Oni swego własnego chóru nie tworzą, bo większość z nich to z zasady indywidualiści. Poglądy mają różne i nie one są tu częścią wspólną. Grają rolę don kichotów, bo wiedzą, że żadna ze stron coraz bardziej szaleńczej i bezwzględnej wojny nigdy nie uzna ich za swoich. Tym bardziej należy im się szacunek, ale zamiast niego są dziś najchętniej atakowani.

SZLACHECKI ZAPAŁ

Warto sięgać po klasyków. W Księdze VII „Pana Tadeusza" – „Rada" – nasz narodowy wieszcz pięknie portretuje spór radykałów z – rzec można – protosymetrystami czy umiarkowanymi. Oto Klucznik podjudza do jak najszybszego działania szlachtę, która już wyciąga szable z pochew i czym prędzej chce zaczynać powstanie, a zacząć je przecież najlepiej od zajazdu na dwór skonfliktowanego z Horeszkami Sędziego Soplicy. To załatwi zarówno sprawę publiczną, jak i prywatną: pro domo sua i pro publico bono jednocześnie.

Obiekcje ma kilka osób, które nie są przecież zdrajcami narodowej sprawy, ale odmawiają działania pod wpływem impulsu, a przede wszystkim rozpoczynania powstania od zajęcia dóbr Soplicy – czyli od prywaty.

Oto Bartek Prusak (zwany tak, bo „często na strugach do Królewca chadzał") rzecze, odpowiadając na zachęty Klucznika:

Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!
Co znowu? Panie Klucznik, czy waść opętany?
Czy o tym była mowa? Że ktoś miał wariata
Banitę bratem: to co, karać go za brata?
To mi po chrześcijańsku! Są tu w tym konszachty
Hrabiego; żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,
Nieprawda! dalibógże! To wy tylko sami
Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,
Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.
Ma proces z Hrabią: cóż stąd? obadwa bogaci;
Niechaj pan drze się z panem: cóż to do nas, braci?
[...] Dalbóg Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego
Nie pozwolę pokrzywdzić; nie będzie nic z tego.
Nie tak, panowie bracia, w Wielkopolszcze było:
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać".
„To nie fraszka — zawołał Klucznik — łotrów wieszać!".

Jak się ten szlachecki bezrozumny zapał kończy – wszyscy wiemy: w dybach zamykanych na kłódki przez jegrów ma-

eprasa.pl 71a92482cc

jora Płuta. Bartek Prusak błędnie założył, że w sytuacji rewolucyjnego wzmożenia można do ludzi docierać racjonalnymi argumentami.

NIE KAŻDY JEST ŻOŁNIERZEM

Termin „symetryzm" – choć używam go tu z braku lepszego określenia – jest jednak mylący, zakłada bowiem, iż przedstawiciele tej grupy poszukują jakiejś mitycznej symetrii, kierując się z gruntu fałszywym przekonaniem, że „prawda zawsze leży pośrodku" – co, nawiasem mówiąc, jest jednym z najgłupszych, bezmyślnie powielanych powiedzeń. Tymczasem prawda jest obiektywna, a więc leży tam, gdzie leży.

Tyle że w czasach całkowitego pojęciowego zamętu wiele osób myli prawdę z poglądami i uważa, że jedno z drugim jest tożsame. Że dany pakiet poglądów – bo przecież poglądy trzeba kupować dziś w pakietach – jest absolutnie słuszny, a zatem także prawdziwy. Tymczasem samo pojęcie prawdy odnosi się jedynie do faktów, ale już nie do tego, jak je interpretujemy, a tym bardziej jakie remedia proponujemy na konkretne problemy.

Symetryści zatem żadnej z góry założonej symetrii ani też prawdy leżącej zawsze pośrodku nie poszukują. A tym bardziej nie są „rozkraczeni". Ten termin zrobił zawrotną karierę wśród niezmiernie pobudzonej części najtwardszego elektoratu partii rządzącej. Szczególnie tej, która – niczym tłum podczas którejkolwiek z rewolucji – nieustannie zagrzewa liderów do szybszego i śmielszego marszu, a każdego, kto przystanie i zaapeluje o chwilę namysłu, nazywa zdrajcą. „Rozkraczenie" sugeruje brak zdecydowania, którą opcję wybrać, co oznacza przyjęcie założenia, że określenie się jako żołnierz którejś ze stron jest niezbędne. Posługujący się tym terminem przyjmują to jako oczywistość, co z kolei jest konsekwencją ich sposobu widzenia obecnej rzeczywistości jako wojennej. Postawa krytyczna wobec różnych działań obu stron konfliktu politycznego jest zatem oczywiście odbierana jako nielojalność i sprzyjanie „wrogowi" (bo przecież po „tamtej stronie" jest wróg, nie oponent).

Dla wiernych żołnierzy postawa symetrystów jest bardziej obmierzła niż postawa wrogów w przeciwnym okopie. Wrogowie to jasno zdefiniowana grupa. Istnieje tu nawet pewne porozumienie: my walczymy w jednej armii, oni w drugiej. A ci? Nie wiadomo. Niby nasi, a jednak nie do końca. Pewnikiem agenci jacyś, szpiedzy czy coś podobnego.

Najbardziej absurdalne jest przy tym przypisywanie symetrystom pobudek koniunkturalnych. Wbrew takim sugestiom to właśnie oni są dziś w najgorszej sytuacji, rozproszeni na marginesie obu obozów, obdarzani nieufnością przez jednych i drugich, tropieni pilnie przez komisarzy politycznych, pilnie notujących oraz donoszących gdzie trzeba o każdym odruchu niesubordynacji, odstępstwie i krytyce. Z zasady najlepsze konfitury ukrywa obóz władzy. Niegdysiejsi „niepokorni" mają się dzisiaj nieźle i coraz lepiej. Mniejsze, ale wciąż pokaźne zasoby są po stronie tych, którzy rządzili Polską (również w przenośni) przez dwie kadencje. Pośrodku jest ziemia coraz bardziej jałowa. Decyzja o tym, żeby kroczyć tą drogą, jest w wielu przypadkach wyborem coraz bardziej heroicznym, także w czysto życiowym, bytowym sensie.

NIE MUSISZ KOCHAĆ

Na czym więc polega ów symetryzm? Nie na tym, żeby mieć a priori równy dystans do obu stron. To byłoby głupie i nielogiczne. Jedyne, co jest symetryczne, to przyjęte miary. Oceniając śpiew chórów, nie przyjmujemy dla każdego z nich innych reguł muzycznych tonacji. Stosowanie identycznych miar w ocenach wynika z założenia, że istnieją pewne uniwersalne kryteria i że w takim samym stopniu dotyczą one wszystkich.

To także odmowa kupowania poglądów w pakiecie. Symetrysta pakietów światopoglądowych nie potrzebuje, bo poglądy ma własne i według nich ocenia to, co się dzieje. To one – nie wojenne deklaracje walczących stron – są dla niego wytyczną.

Jeśli zatem potępiamy u polityków niedotrzymywanie obietnic, to tak samo powinniśmy je potępić zarówno u Donalda Tuska, jak i u Beaty Szydło. Rzecz jasna, rzetelnie umieszczając te niespełnione w kontekście spełnionych. A jeżeli tego nie potępiamy – wychodząc z założenia, że to po prostu część polityki, a w chwili składania obietnic polityk nie zawsze ma pełną świadomość realiów, z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć – to konsekwentnie stosujmy tę zasadę do wszystkich.

Jeśli potępialiśmy kumoterstwo i nepotyzm za czasów PO, to identycznie powinniśmy je potępiać teraz. Jeżeli nie odpowiadało nam lekceważenie głosu wyborców w czasach Platformy, to tak samo powinno nas wzburzać – jeżeli się zdarza – za PiS. Jest zatem symetryzm niczym innym niż zwykłą konsekwencją. Jest odmową przyjęcia, że kogokolwiek należy traktować inaczej – czyli ulgowo – ze względu na jego partyjną przynależność, życiorys czy – to szczególnie popularne uzasadnienie wśród zwolenników obecnej władzy – moralną rację. Nie ma taryfy ulgowej dla nikogo. Nie ma zgody na kalizm, będący dziś najpowszechniejszą doktryną polityczną.

Takie podejście nie wynika z jakiejś obsesji, lecz z przeświadczenia, że na robieniu wyjątków, rozmywaniu podstawowych kryteriów, zwalnianiu z odpowiedzialności jednej strony, a głośnym potępianiu drugiej – jednym słowem na elastyczności i względności – nie zbuduje się dobrego państwa. Jest to również odrzucenie częstego wśród żołnierzy przekonania, że można przyjąć luźniejsze kryteria na czas wojny, a gdy już osiągnie się założone cele i gdy wyrówna się dawne niesprawiedliwości – dopiero wtedy można wrócić do symetrycznego stosowania kryteriów oceny. Tyle że – twierdzą symetryści – to zjawisko uciekającego horyzontu. Horyzontem są deklarowane cele, więc mimo coraz szybszego marszu nie da się do nich zbliżyć. Nigdy nie nadejdzie moment normalizacji, uspokojenia i powrotu do konsekwencji w ocenach.

Nie nadejdzie zresztą i dlatego, że jeśli system kryteriów oceny ulega ciągłemu rozregulowaniu, a – powiedzmy szczerze, nigdy w III RP nie był idealnie wyregulowany, zacierają się punkty odniesienia, według których można go w końcu nastawić i nastroić. Wbrew temu, co twierdzą zwolennicy rewolucyjnego marszu, to nie jest pięknoduchostwo, ale ostrzeżenie płynące z przekonania, że to, co robi się w krótkim okresie, ma przełożenie na to, co się dzieje w strategicznej perspektywie.

Symetrystów nie trzeba kochać. Można się z nimi nie zgadzać, można ich nawet uznawać za pięknoduchów, ale naprawdę warto posłuchać ich zastrzeżeń. Gdyby kompania, zebrana pod wzniesionym przez Klucznika Scyzorykiem, wzięła za dobrą monetę napomnienia Bartka Prusaka czy polskiego patrioty, Żyda Jankiela, być może uniknęłaby niewesołego epizodu w postaci bitwy z Moskalami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pluton jest planetą!

Już dałem się tutaj poznać jako wielbiciel amerykańskich seriali animowanych. Takich zdecydowanie nie dla dzieci. Wulgarnych, ale za to niepoprawnych politycznie, przenikliwych i diabelnie zabawnych.

I niedawno oglądałem taką jedną kreskówkę, w której pewien tata budował z synem model Układu Słonecznego. Niestety, nie zauważył, że Pluton przestał być planetą. Jednak jak to tata poszedł w zaparte. Najpierw dowodził, że Pluton jak najbardziej jest planetą, a następnie bronił tej tezy jako dowodu na swą intelektualną niezależność.

O tym niepokornym Ziemianinie dowiedzieli się mieszkańcy Plutona i porwali go na swoją… No, nie planetę. Na swoje ciało niebieskie. Tatuś stał się tam bywalcem programów telewizyjnych, wieców ludowych oraz gabinetów wpływowych polityków. Wszędzie miał do powiedzenia tylko jedną kwestię. Mówił: „Pluton jest planetą!". I nic więcej mówić nie musiał, zaraz następowała bowiem eksplozja entuzjastycznych oklasków.

Ta historyjka zawsze mi się przypomina, kiedy odwiedza nas George Friedman, szef Stratforu, prywatnej agencji wywiadu, a zarazem po trosze politolog, futurolog i analitolog (bo analityk to za mało poważnie brzmi). Ładnych parę lat temu Friedman w swej świetnej książce „Następne 100 lat" zawarł tezę, że Polskę czeka epoka niesamowitego rozwoju, tak wspaniałego, że staniemy się regionalną potęgą, dystansując zarówno Niemcy, jak i Rosję.

Od tego czasu raporty Stratforu są często cytowane w polskich mediach, a Friedman regularnie wpada nad Wisłę z wizytą. Za każdym razem jest ona okazją do przypomnienia łaskoczących nasze ego wizji o nadchodzącym okresie polskiej potęgi. Nie ma w tym oczywiście niczego dziwnego, wszak miło się dać tak pomasować facetowi mającemu opinię tęgiej głowy. Problem w tym, że za każdym razem Friedman mówi to samo, czyli dokładnie to, co chcemy usłyszeć. Sądząc po książkach Amerykanina, można by się dowiedzieć od niego czegoś więcej niż tego, co wbiliśmy sobie już całkiem dobrze do głów (że będziemy potęgą, że już za 30 lat, że Rosja wymiera itd.). Facet bardzo ciekawie potrafi pisać o tym, dlaczego Ameryka nie powinna się fiksować na wrogości wobec Iranu i że to Rosja, a nie islamski terroryzm jest głównym zagrożeniem dla światowego pokoju. Można by go też docisnąć w naszych sprawach, bo trudno będzie nam być tą potęgą z katastrofą demograficzną czającą się za rogiem i może by w tej kwestii coś doradził.

Niestety, zachowujemy się dokładnie jak mieszkańcy Plutona z amerykańskiej kreskówki. Wystarczy nam zapewnienie, że Pluton jest planetą, i już ręce składają się same do oklasków. Nic dziwnego, że Friedman lubi do nas przyjeżdżać. Też bym lubił. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Europa regionów

Przy okazji wydarzeń w Katalonii odezwało się mnóstwo głosów, dlaczego europejska centrala, tak ochoczo zajmująca się rzekomymi zagrożeniami demokracji w Polsce, z ociąganiem bierze się za łamanie praw na ulicach Barcelony, a także niespecjalnie przejmuje się wizją rozpadu Hiszpanii?

Moim zdaniem głównie dlatego, że wszystko rozgrywa się według założonego scenariusza, w który jest wpisany rozpad historycznych państw narodowych na mrowie regionów. Europa rozdrobniona – jak Niemcy po pokoju westfalskim – jest marzeniem eurokratów, którzy chcieliby z nich ulepić europaństwo, nie zdając sobie sprawy (szczególnie Francuzi) z tego, że w końcu taki zlepek musiałby się stać Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego lub – mówiąc mniej elegancko – Czwartą Rzeszą. Duże państwa narodowe stanowią poważną przeszkodę dla nieukrywanych planów, które nieustannie stara się przyspieszyć, tworząc wspólne ministerstwo finansów lub spraw zagranicznych. A czemu innemu miałby służyć pomysł głosowania nie na partie w ramach państw, ale na ponadnarodowych chadeków, socjalistów, liberałów? Ciekawe, czy wskutek tego musiałaby powstać również Europejska Partia Nacjonalistyczna, żeby w ogóle móc kandydować?

Mazowszu, Kujawom, Pomorzu itp. też należy się suwerenność

W każdym razie nietrudno sobie wyobrazić mapę Europy za lat parę, wzbogaconą kilkunastoma dodatkowymi państwami – Katalonią, krajem Basków (być może w unii z francuskim skrajem Nawarry), Bretanią, Szkocją, Walią, Alzacją i Lotaryngią, Korsyką, Flandrią i Walonią, Lombardią, Sycylią i Neapolem, Siedmiogrodem, Morawami, Tyrolem... Z Polski na razie można będzie spróbować wykroić Wolny Śląsk, ale biorąc pod uwagę ambicje polityków (za secesjami stoją głównie politycy, a dopiero później „słuszne dążenia lokalnego społeczeństwa"), być może powrócimy do podziału z okresu rozbicia dzielnicowego. Mazowszu, Kujawom, Pomorzu itp. też należy się suwerenność.

Mapa winna uwzględnić także muzułmańskie emiraty, które niewątpliwie powstaną. Regiony wobec islamskiej nawały będą przecież jeszcze bardziej bezbronne – na początek mogę sobie wyobrazić emirat Grenady, sułtanat Prowansji czy Sardynii, nie mówiąc o centralnej Île-de-France (kalifat Galii) z Paryżem zamienionym w nowy Bagdad. Nierealne? Pożyjemy, zobaczymy. W każdym razie wszystko idzie w tym kierunku. ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

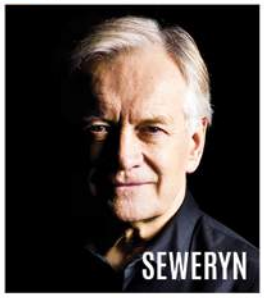

11 GRUDNIA
GODZINA 20.00
TEATR POLSKI
W WARSZAWIE

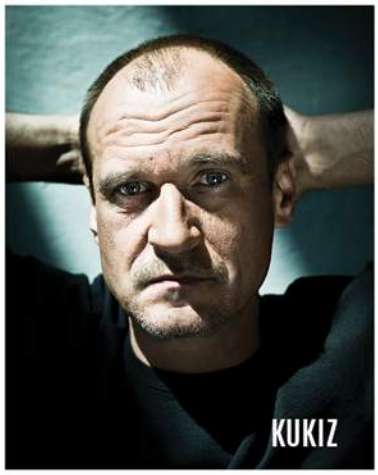

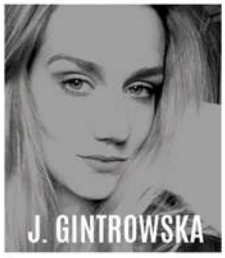

WYJĄTKOWY KONCERT
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

ORAZ 30 - OSOBOWA ORKIERSTRA
POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00
SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

BILETY DO NABYCIA:
KASA GŁÓWNA TEATRU
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

WSPÓŁORGANIZATOR: FINA

MECENAT KONCERTU: PGNiG, LOTOS

PARTNERZY WYDARZENIA: LOTTO, Fundacja XX. Czartoryskich

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: Classic

eprasa.pl 71a92482cc

Z Piotrem Doerre'em, publicystą katolickim *rozmawia Piotr Włoczyk*

„Błędy Rosji" wciąż niszczą świat

Pontyfikat Jana Pawła II przyniósł zwrot w podejściu oficjalnych władz Kościoła do Fatimy FOT. EAST NEWS

eprasa.pl

PIOTR WŁOCZYK: Czy Fatima to już historia?

PIOTR DOERRE: Niestety, bardzo wielu ludzi Kościoła uznało, że orędzie Matki Bożej już dawno się wypełniło, że to już historia. Tymczasem wierzący katolik nie ma żadnych przesłanek, aby uznać, że faktycznie do tego doszło.

Wojny światowe są już daleko za nami, a komunizm przestał być po 1989 r. problemem ogólnoświatowym. Dlaczego więc to orędzie sprzed stu lat miałoby być wciąż aktualne?

Nawet interpretując to przesłanie powierzchownie, zauważymy, że jest ono wciąż bardzo aktualne. Matka Boża powiedziała przecież w Fatimie, że świat pogrążony jest w grzechu, w który ludzie brną coraz bardziej, i jeżeli nie zostanie to powstrzymane, to świat zostanie dotknięty bardzo poważnymi karami.

Cała historia XX w. pokazała nam, że faktycznie był to wiek kar. To wszystko było zapowiedziane w orędziu: rewolucja bolszewicka, II wojna światowa, która wybuchła dokładnie w momencie zapowiedzianym przez Matkę Bożą jeszcze w 1917 r., a także rozprzestrzenianie się „błędów Rosji".

Związek Sowiecki rozpadł się ponad ćwierć wieku temu. Dlaczego więc „błędy Rosji" miałyby być wciąż aktualnym tematem?

Matka Boża mówi o konkretnych grzechach, o bezbożności i o zepsuciu, a one coraz bardziej rozprzestrzeniają się w świecie. Trudno uznać za „błędy Rosji" sam komunizm, który przecież nie narodził się w Rosji. Wszechobecna ateizacja, ideologia lewicowej poprawności politycznej i rewolucja seksualna to bez wątpienia owoce „błędów Rosji".

Wynikałoby z tego, że rewoltę 1968 r. na Zachodzie również zalicza pan do „błędów Rosji". Zachód nie ma w tym swojej winy?

Ależ oczywiście, że ma! Marksizm narodził się przecież na Zachodzie, ale to dopiero rewolucja bolszewicka w Rosji sprawiła, że powstało pierwsze komunistyczne państwo. Dopiero stamtąd idee komunizmu rozprzestrzeniły się na cały świat. Tak samo było z rewolucją seksualną, która nie została przecież zainicjowana w 1968 r. na Zachodzie. Idee Wilhelma Reicha, wiążące wyzwolenie seksualne z rewolucją, po raz pierwszy zostały wprowadzone w życie w pierwszych latach Rosji sowieckiej. W kolejnych latach to zgubne „wyzwolenie" rozprzestrzeniło się na cały świat.

„Błędy Rosji" to całokształt zjawisk, które tworzą współczesną cywilizację śmierci. Dzisiaj całe ludzkie generacje zabijane są w łonach matek, wprowadzane są prawa redukujące wolność, stymulujące za to laicyzację i niszczące rodzinę. Dekonstrukcji ulega kultura niespełniająca wymagań egalitarnej ideologii. Przecież cała poprawność polityczna oparta jest na pomyśle, że wszyscy mają być równi we wszystkim. To zaś – w innej formie – było obecne już w sowieckiej Rosji.

Ci, którzy uważają orędzie z Fatimy za nieaktualne, wskazują: „W dzisiejszej Rosji nikt już przecież nie zwalcza wiary".

Faktycznie, niektórzy tak to właśnie pojmują – skoro upadł komunizm, a Putin zawarł sojusz z Cerkwią, to wszystko jest w porządku. Tylko że w Rosji doszło przecież do totalnego zinstrumentalizowania Cerkwi. To wciąż „błąd Rosji". Prawosławie oznacza tam tak naprawdę identyfikację narodowo-polityczną, a nie prawdziwą wiarę. Wystarczy wspomnieć, że spośród całej rzeszy Rosjan przyznających się do prawosławia tylko 5–8 proc. ludności uczestniczy w praktykach religijnych. To obraz gorszy od najbardziej postępowych zachodnich społeczeństw.

Chce pan przez to powiedzieć, że nie da się postawić wraz z Rosją muru przeciwko „zepsuciu Zachodu", jak chciałoby tego wielu zachodnich prawicowców?

Nie da się, ponieważ sama Rosja jest zepsuta od wewnątrz. Wciąż jej statystyki dotyczące aborcji, rozwodów, samobójstw, narkomanii i alkoholizmu należą do najwyższych na świecie. Jak można z tak chorym krajem walczyć o normalność? Cerkiew zaczęła wprawdzie ostatnio zwalczać aborcję, ale wynika to przede wszystkim z bardzo złej sytuacji demograficznej i było inspirowane przez Kreml. Motywacja jest tu więc nie religijna, lecz polityczna.

Jakie było to sto lat historii objawień fatimskich?

Przez całe to stulecie starano się je zepchnąć do kategorii wydarzeń stricte religijnych.

Robili to publicyści i intelektualiści głównego nurtu, a także ludzie Kościoła.

Tylko jak przekona pan niewierzących, że nie było to wydarzenie stricte religijne?

Fatima wpływała przecież na całą historię XX w., choć wielu ludzi próbowało ją ukryć, powstrzymać rozprzestrzenianie się jej przesłania. Co ważne, Fatima wpływała zarówno na katolików, jak i na niekatolików. Mało kto bowiem wie, że orędziem fatimskim osobiście interesowali się nawet sowieccy dygnitarze. Wywoływało ono ogromne reperkusje w ZSRS. Osobiście słyszałem od księży katolickich, którzy pracowali w Rosji, że zainteresowanie orędziem fatimskim było tam bardzo duże.

Dowodził tego zresztą odbiór Fatimy już po upadku żelaznej kurtyny, kiedy figura Matki Bożej Fatimskiej odbyła peregrynację po Rosji i spotykała się tam z wielkim zainteresowaniem nie tylko katolików, lecz także prawosławnych. Uderzające było dla nich przesłanie orędzia wygłoszonego w 1917 r. gdzieś na zachodnich obrzeżach Europy, w którym tyle uwagi Matka Boża poświęciła Rosji.

Oczywiście władze sowieckie odbierały propagowanie Fatimy jako próbę uderzenia w komunizm. Próbowały więc wywierać wpływ na Kościół, aby jak najmniej eksponować to orędzie. Ta operacja nie zakończyła się sukcesem, choć faktycznie niektórzy papieże nie przywiązywali zbyt dużej wagi do życzenia Matki Bożej związanego z propagowaniem treści orędzia. Jak pokazała jednak historia, Matka Boża upomniała się w końcu o swoje prawa.

W jakim sensie?

Myślę o zamachu na Jana Pawła II – doszło do niego właśnie 13 maja, w dniu poświęconym Fatimie. Był to moment zwrotny w podejściu oficjalnych władz Kościoła do Fatimy.

Jan Paweł II do 13 maja 1981 r. nie podchodził do Fatimy z należytą uwagą?

Widać, że wcześniej orędzie z Fatimy niespecjalnie trafiało do papieża Polaka, lecz był to szerszy problem: generalnie było ono mało znane w ówczesnym Kościele, pomimo poświęcenia świata Niepokalanemu Sercu Maryi już przez Piusa XII. Ten stan rzeczy diametralnie się zmienił tuż po zamachu, kiedy Jan Paweł II stwierdził: „Za przyczyną Matki Bożej życie zostało mi na nowo darowane". Jeszcze w poliklinice Gemelli zapoznał się z dokumentami związanymi z objawieniami z 1917 r. Rok później odbył pielgrzymkę do Fatimy i rozpoczął przygotowania do ponownego zawierzenia świata Matce Bożej.

eprasa.pl 71a92482cc

W ten sposób wprowadził Fatimę do kościelnego „mainstreamu".

Dzisiaj, gdy figura Matki Bożej Fatimskiej jest obecna w niemal każdym kościele, trudno sobie wyobrazić czasy, gdy Fatima nie była w „mainstreamie".

Tymczasem większość 100-letniej historii objawień fatimskich to przede wszystkim kult lokalny, bardzo powoli rozprzestrzeniający się po świecie. W samej Portugalii objawienia wywołały jednak olbrzymie wrażenie. Doszło tam do bardzo wielu spektakularnych nawróceń. Stało się tak przede wszystkim za sprawą Cudu Słońca, kończącego cykl objawień.

13 października tego roku Kościół obchodzić będzie 100. rocznicę tego wydarzenia.

Portugalska lewica wysłała wtedy do Fatimy swoich dziennikarzy i intelektualistów, którzy mieli to wszystko zdyskredytować. Przede wszystkim trzeba tu wspomnieć o Avelino de Almeidzie, redaktorze antykościelnej gazety „O Século". Gdy słońce „zatańczyło" na oczach dziesiątków tysięcy ludzi, również na nim zrobiło to ogromne wrażenie i się nawrócił. Oczywiście natychmiast został usunięty z redakcji. Nie dało się już jednak cofnąć jego relacji, bardzo afirmatywnej, która ukazała się na łamach dziennika.

Za sprawą Fatimy laicki rząd postępowych radykałów wkrótce upadł. Portugalia nie powróciła już nigdy do monarchii, ale powstrzymano tam pochód antykatolickiego socjalizmu.

W Portugalii kult Fatimy się szerzył, ale w Kościele powszechnym przez długie lata był on raczej marginalizowany. Od pontyfikatu Jana Pawła II obserwujemy niewiarygodny postęp propagowania tego orędzia, choć można odnieść wrażenie, że wciąż dla wielu hierarchów oraz wiernych jest ono niewygodne.

Ponieważ widzą w tym objaw niezdrowej dewocji?

Myślę, że również to odgrywa tu rolę. Wiązałbym to jednak przede wszystkim z dwiema sprawami. Po pierwsze, z wiarą w to, że Bóg uczestniczy w historii świata. Nie jest to zbyt modne w dzisiejszym świecie. Po drugie, orędzie stawia wymagania, co nie jest łatwe ani przyjemne. W XXI w. już samo przypominanie, że każdy katolik jest zobowiązany do ewangelizacji, nie jest łatwą sprawą. Obecnie panuje przecież w Kościele ideologia: „Nie przyszedłem pana nawracać". A co dopiero powiedzieć o konieczności pokuty czy codziennej modlitwie różańcowej?

Czyli Kościół generalnie nie udźwignął Fatimy?

Ująłbym to nieco inaczej: znaczna część hierarchii kościelnej nie udźwignęła Fatimy. Skoro uznano prawdziwość tych objawień, to powinno to zostać przyjęte ze wszystkimi tego konsekwencjami. Bez wybierania sobie rzeczy łatwiejszych i pomijania tych trudnych, niewygodnych.

Na pewno zamknięcie trzeciej tajemnicy fatimskiej w biurku w Watykanie było wielkim błędem, a nawet czymś więcej – sprzeciwieniem się woli samej Matki Bożej, przekazanej przez siostrę Łucję, która życzyła sobie, by ujawnić ją 50 lat po objawieniach.

To był właśnie ten moment, gdy Kościół powinien odpowiedzieć na komunizm, na „błędy Rosji". Zamiast tego Kościół prowadził wówczas osławioną Ostpolitik kard. Agostino Casarolego, która polegała na dogadywaniu się z Moskwą. Życie za Chrystusa oddały w ZSRS i innych krajach zniewolonych przez komunizm miliony ludzi, a w tym czasie Kościół prowadził rozmowy z Sowietami!

To wszystko skończyło się jednak wraz z początkiem pontyfikatu Jana Pawła II. Tylko pewnie tu wskaże pan, że błędem było nie do końca jasne poświęcenie Rosji.

Bez wątpienia było to niefortunne. Ostatecznie siostra Łucja dokonała ambiwalentnej oceny tego wydarzenia: najpierw powiedziała, że poświęcenie Rosji, na którym tak zależało Matce Bożej, nie było ważne, ponieważ papież wprost nie powiedział, o jaki kraj chodzi, jednak później stwierdziła, że akt ten „podobał się Niebu". To jednak nie znaczy, że życzenie Matki Bożej zostało w całości spełnione.

Janowi Pawłowi II zabrakło w 1984 r. odwagi?

Myślę, że Ojciec Święty chciał dokonać pełnego poświęcenia Rosji, ale wiele osób przekonywało go, że dosłowne poświęcenie Rosji mogłoby źle wpłynąć na sytuację katolików żyjących w ZSRS oraz mogłoby zagrozić rozmowom Zachodu z Sowietami. Poświęcenie Rosji było częściowe, więc tylko częściowo dokonało się nawrócenie tego kraju. Jednakże to, że proces rozpadu Związku Sowieckiego nie był bardzo krwawy, jest z pewnością owocem Fatimy.

Łączy pan to z Matką Bożą, a nie z pragmatyzmem sowieckiego przywództwa?

Tak, to był pragmatyzm, ale w tym, że zwyciężył pragmatyzm, a nie komunistyczny beton, można dopatrzyć się działania Opatrzności. Fatima to tylko jeden z wielu dowodów na to, że Bóg wpływa na losy świata. Wiara w to nie jest niczym niezwykłym, to raczej deizm powinien wywoływać zdziwienie u ludzi, którzy znają historię.

Jaka powinna być odpowiedź Kościoła i wiernych po stu latach od objawień?

W Fatimie Matka Boża dała nam prostą receptę: pokuta i modlitwa wynagradzająca. Kościół niestety zrobił bardzo niewiele – mówię to z bólem – aby rozpowszechnić nabożeństwo pierwszych sobót. Matka Boża przekazała to w Fatimie, więc spełnienie jej życzenia powinno być traktowane jako obowiązek. Tymczasem katolicy w znacznej mierze nie respektują woli Matki Bożej.

Albo ludzkość się nawróci, albo czekają ją straszne kary. Tertium non datur. Niestety, bardzo wielu ludziom, także członkom Kościoła, ta oczywista prawda bardzo się nie podoba: Kościół ma konkretną misję i chodzi w niej o nawracanie ludzi. Wciąż czekamy też na moment, gdy Ojciec Święty oficjalnie poświęci Rosję Matce Bożej.

Matka Boża powiedziała w Fatimie wyraźnie: „Na koniec moje Niepokalane Serce zatriumfuje". Spójrzmy na otaczający nas świat i odpowiedzmy sobie na pytanie: Czy tak wygląda triumf Niepokalanego Serca Maryi? Czy ludzkość jest w mniejszym stopniu pogrążona w grzechach, o których mówiła Matka Boża przed stu laty? Czy ludzka pycha, która w XX w. ogłosiła, że Bóg umarł, to już historia?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Doerre
jest publicystą katolickim, redaktorem naczelnym portalu PoloniaChristiana.pl, współautorem filmu dokumentalnego „Fatima, orędzie wciąż aktualne", który został nagrodzony w zeszłym tygodniu na festiwalu w Niepokalanowie.

eprasa.pl 71a92482cc

Mechanizm zbrodni

Ewa K. Czaczkowska

Tomasz Wiścicki

Ksiądz Popiełuszko był dla komunistycznej władzy groźny. Czy kiedykolwiek dowiemy się, kto zdecydował, że charyzmatyczny kapłan musi zginąć?

FOT. ERAZM CIOŁEK/PAP

W sprawie zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki znamy tylko pewną część prawdy. Trudno ustalić jak wielką. Możemy określić przebieg wypadków od chwili, gdy samochód morderców, jadąc z włączonymi długimi światłami za autem księdza, zaczął oślepiać kierowcę i pasażera, zwracając ich uwagę, do momentu desperackiego skoku Waldemara Chrostowskiego. Pewność możemy mieć także co do obrażeń księdza, które ujawniono podczas oględzin zwłok i sekcji. Przy tych czynnościach obecne były dwie godne pełnego zaufania osoby: wybitny specjalista medycyny sądowej prof. Edmund Chróścielewski oraz mec. Jan Olszewski. Jeśli chodzi o ostatnie godziny życia ks. Popiełuszki, to mamy pewność co do narzędzi zbrodni, które zostały odnalezione. Za element niepodważalny należy uznać również przyznanie się sprawców; nikt dotychczas nie podał przekonującego uzasadnienia, dlaczego mieliby wziąć na siebie cudzą zbrodnię. Jeśli już władze zdecydowały się na przyznanie, że to funkcjonariusze SB zamordowali księdza, to jaki sens miałoby przypisywanie zbrodni tym, którzy jej nie popełnili? Nawiasem mówiąc, zorganizowanie takiej mistyfikacji w sposób przekonujący zdaje się nadto przekraczać możliwości organizacyjne resortu – ogromne, ale jednak ograniczone.

SPRAWCY NIE DZIAŁALI SAMI

Dlatego możemy powiedzieć, że ksiądz został zamordowany w sposób przynajmniej zbliżony do opisanego w Toruniu, w ustalonym czasie, przez trzech skazanych tam oficerów SB. Obrażenia i przyczyna śmierci podane na procesie także odpowiadają prawdzie. Reszta opiera się na słowach funkcjonariuszy MSW – resortu, do którego zadań należała dezinformacja. Dlatego wizję wyłaniającą się z tych sformułowań można uznać za zaledwie najbardziej prawdopodobną, oczywiście w tych częściach, które nie zawierają wewnętrznych sprzeczności ani nie kłócą się z tym, co wiadomo, oraz ze zdrowym rozsądkiem. – Tylko bardzo szczegółowe śledztwo, przeprowadzone niedługo po wypadkach, pozwoliłoby wykryć ewentualne rozbieżności między scenariuszem a rzeczywistością – mówił Jan Olszewski. – Dzisiaj jest na to za późno.

Bezpośrednie okoliczności popełnienia zbrodni można zatem uznać za w zasadzie znane – z powyższymi zastrzeżeniami. Zresztą nawet gdyby okazało się, że mordercy pastwili się nad księdzem w nieco inny sposób i w innych miejscach, niewiele to zmienia. Inaczej jest z całym mechanizmem, który doprowadził do zbrodni i który działał także po jej popełnieniu. Bezpośredni sprawcy byli przecież funkcjonariuszami państwowymi i zabójstwa dokonali w ramach „obowiązków służbowych". Fundamentalne znaczenie miałoby poznanie tego mechanizmu. Niestety, w tej części skazani jesteśmy na hipotezy i możemy jedynie rozważać ich prawdopodobieństwo, nie mając pewności, jaka była prawda.

Zestawienia tych hipotez dokonał Filip Musiał, historyk z krakowskiego IPN. Jego systematyzacja wyznacza zasadnicze ramy poniższych rozważań, z takim wszakże zastrzeżeniem, że hipotezy owe mają charakter modelowy i przynajmniej niektóre z nich się nie wykluczają. Jako zupełnie absurdalną odrzucić można hipotezę pierwszą: samodzielnego działania czterech oskarżonych. Ta wersja była jednym z elementów propagandowej oprawy procesu toruńskiego. Jednak twierdzenie o działaniu niezależnej grupy w takiej strukturze jak komunistyczne MSW można włożyć między bajki. Wszyscy niewątpliwi mordercy byli doświadczonymi i sprawdzonymi – oraz sprawdzanymi wciąż od nowa – funkcjonariuszami SB. Przed swym działaniem, po nim i w jego trakcie utrzymywali kontakty z kolegami z resortu oraz ze zwierzchnikami. O kontaktach tych niewiele wiadomo poza tym, że niewątpliwie były. Wersja samodzielnego działania także dlatego nie nadaje się do poważnego rozważania, że nie mają większego sensu możliwe uzasadnienia rzekomej autonomii czterech esbeków. Odrzucić należy wszelkie opowieści, których nie szczędzą nam sprawcy, jakoby nie chcieli zabić księdza ani w ogóle nikogo. Przeczą temu staranne przygotowania, imponująca kolekcja zgromadzonych przez nich narzędzi zbrodni, sam sposób ich działania, wreszcie wspomniane parokrotnie worki z kamieniami, których jedynym racjonalnym uzasadnieniem jest topienie ofiar, jeszcze żywych lub już martwych.

Równie niedorzecznie brzmią tłumaczenia, jakoby esbecy załatwiali osobiste porachunki (patrz: kontrolowany wybuch nienawiści Piotrowskiego na procesie toruńskim) albo chcieli zasłużyć się zwierzchnikom bez ich wiedzy. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie było miejscem działania „samotnych jeźdźców" – terror komunistyczny nigdy nie był ślepy ani chaotyczny, ale starannie organizowany, przemyślany i kierowany. Prywatne zemsty mogły się zdarzać na samym początku, w latach 40., ale nie w uporządkowanych latach 80. Podobnie wersja samodzielnej zasługi nie mieści się zupełnie w logice działania resortu – tam awansowano za akcje uzgodnione ze zwierzchnikami.

CHCIELI ZABIĆ

Nie da się obronić także hipotezy drugiej: zabójstwa dla ukrycia nieudanej próby zwerbowania księdza jako agenta w Watykanie. Wokół niej zbudował już dwie książki ceniony reporter Krzysztof Kąkolewski. Traktował ją zresztą właściwie jako pewnik, w ostrych słowach odrzucając wszystkie inne. Zasadniczą słabością tej wersji jest jednak to, że – jak już była o tym mowa – w ostatnich dniach przed zamordowaniem ks. Popiełuszki jego wyjazd do Rzymu stał się definitywnie nieaktualny. Co więcej, jak wynika z zeznań Adama Pietruszki na powtórzonym procesie jego zwierzchników, SB o tym wiedziała z podsłuchu w rezydencji prymasa. Nie widać powodów, dla których były wicedyrektor Departamentu IV MSW miałby w tej akurat sprawie kłamać. Ten jeden argument zamyka rozważania nad hipotezą werbunku.

Dla porządku warto wymienić jeszcze inne. Otóż sam pomysł werbunku agenta za pomocą tortur – a tak twierdzi Kąkolewski – wydaje się dość osobliwy, zwłaszcza jeśli agent miałby potem przebywać w Watykanie, miejscu, w którym komunistyczne tajne służby miałyby wyjątkowe trudności z utrzymaniem nad nim kontroli. Poza tym ks. Popiełuszko nieraz dawał wyraz wyjątkowej siły charakteru. Czyżby przedstawiciele służb nie zdawali sobie z tego sprawy? Owszem, w swoim zadufaniu mogliby sądzić, że uda im się go złamać. Jednak czy naprawdę wierzyli, że nikt nie zauważyłby żadnej zmiany w zachowaniu księdza i nie skojarzył tego z jego porwaniem? Werbunku dokonywano zresztą w wyniku całego procesu, opisanego w stosownych instrukcjach. Dlaczego zatem w tym przypadku miano by się posłużyć metodą „wszystko albo nic": zwerbujemy, a jeśli się nie uda, to zabijemy? I wreszcie – pożytek z takiego agenta byłby niewielki, dużo mniejszy niż z dowolnego prałata w rzymskiej kurii. Owszem, papież bardzo cenił ks. Jerzego jako duszpasterza, ale trudno sobie wyobrazić, by w Rzymie ten mógł odgrywać inną rolę niż studenta któregoś z tamtejszych uniwersytetów. Wszystko to

eprasa.pl 71a92482cc

Jako zupełnie absurdalną odrzucić można hipotezę o samodzielnym działaniu czterech oskarżonych. Ta wersja była jednym z elementów propagandowej oprawy procesu toruńskiego FOT. DAMAZY KWIATKOWSKI/PAP

sprawia, że hipotezę o morderstwie w wyniku nieudanego werbunku uznać można za zupełnie fantastyczną.

Jej odmianą jest wersja prof. Wojciecha Polaka, historyka z UMK w Toruniu, który jest zdania, że porwanie księdza miało na celu skłonienie go do wyjazdu do Rzymu, mimo jego wcześniejszej decyzji, iż nie może pozostawić ludzi, którzy mu zaufali. W tej wersji porwanie miałoby być konsekwencją stanowczości kapłana w tej kwestii. Zdaniem toruńskiego historyka SB miała nadzieję, że ksiądz, znękany torturami, ale ostatecznie uwolniony, uległby namowom przyjaciół, które z pewnością by się pojawiły po jego wypuszczeniu. W ten sposób władza pozbyłaby się księdza, nie zabijając go. Śmierć byłaby niezamierzoną konsekwencją tortur. Wersja ta – mimo jej większej spójności od pozostałych – ma kilka słabych punktów. Jak już była mowa, ciało księdza nie nosi śladów tortur, a zadanie ich bez pozostawienia śladów jest niemożliwe. Obrażenia zwłok świadczą o wielokrotnych silnych ciosach w głowę. Czy można uwierzyć, by profesjonalni oprawcy nie wiedzieli, że w ten sposób mogą zabić ofiarę? Świadczy to zdecydowanie o tym, że działano z zamiarem pozbawienia życia. Worki z kamieniami, i to akurat w takiej liczbie jak liczba osób w samochodzie ofiar (plus jeden na narzędzia zbrodni), także świadczą o tym, że zakładano zabicie porwanych. No i wreszcie argument chyba najmocniejszy: kompletnie nie wiadomo nie tylko, dlaczego o mord księdza oskarżono niewłaściwe osoby, lecz także dlaczego przypisano im (w tej wersji – bezsensownie) zamiar jego zabicia. Samooskarżenie się resortu o niepopełnioną zbrodnię byłoby kompletnym absurdem.

Hipoteza trzecia zakłada, że ks. Popiełuszko został zamordowany na polecenie władz nadrzędnych, czyli kierownictwa MSW. Oznaczałoby to bezpośrednią odpowiedzialność za zbrodnię najwyższych władz PRL. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było elementem struktury władzy, więc tak ważna decyzja, jaką było polecenie zabicia niezwykle popularnego kapłana, musiałaby zapaść na szczeblu wyższym niż policyjny – w kierownictwie politycznym. Ta hipoteza ma jednak pewną istotną słabość. Morderstwami politycznymi w PRL zajmowali się najskuteczniej „nieznani sprawcy". Ta forma zabijania jest najwygodniejsza z punktu widzenia tych, którzy wydają takie rozkazy: ofiara ginie, nikogo za rękę się nie łapie, bo i nikt złapać nie próbuje, a wszyscy i tak wiedzą, kto zabił, i się boją. Gdyby zatem chciano po prostu pozbyć się niewygodnego kapłana, nie widać powodu, dla którego nie mieliby tego zrobić właśnie „nieznani sprawcy". W takim przypadku ciało nie musiałoby się znaleźć; nie można by wtedy nawet przeprowadzić procesu beatyfikacyjnego. Z punktu widzenia władz – same zyski.

WROGOWIE SYSTEMU

Jak już była wielokrotnie mowa, traktowanie ks. Jerzego jako działacza opozycji byłoby z gruntu fałszywe. Dla przedstawicieli władzy, którzy podejmowali decyzje mające wpływ na jego życie i śmierć, był on jednak przede wszystkim groźnym przeciwnikiem systemu. Tak samo Kościół był dla nich tylko opozycyjną strukturą, choć groźną, bo mającą szerokie społeczne poparcie. Dlatego decyzja o zamordowaniu księdza tym, którzy ją podjęli – kimkolwiek byli – służyła do rozwiązania problemu politycznego. Oczywiście ks. Popiełuszko był groźny, bo nieustraszenie mówił prawdę, cieszył się niespotykaną popularnością, skupiał wokół siebie ludzi z różnych środowisk. – Dlaczego on? Miał w sobie magnetyzm – odpowiada Krzysztof Piesiewicz. To jednak kwalifikowało go do nękania na różne sposoby, więc nękanie to wobec księdza stosowano. Mimo to „kamulki do nóg" nie były w latach 80. typowym sposobem traktowania nawet bardzo groźnych opozycjonistów. Księdza jednak zabito.

Można się obawiać, że nigdy się nie dowiemy, jakie kryteria obowiązywały przy doborze ofiar. Nawet przy „łagodniejszych" metodach dbano o niepozostawianie śladów na piśmie. Trudno też liczyć na to, by ktokolwiek zaangażowany w podejmowanie decyzji o zabiciu miał ochotę o tym opowiadać. Sprawa zamordowania ks. Popiełuszki wiązała się z ogromnymi kosztami dla władz. Nie darmo esbecy oburzali się, że ujawnia się metody działań operacyjnych. Nawet starannie wyreżyserowany proces toruński dostarczył każdemu, kto ma oczy i uszy, niesłychanej zupełnie wiedzy o tej strukturze bezprawia, jaką było komunistyczne MSW. Musiał istnieć powód, dla którego zdecydowano się tę cenę zapłacić – włącznie z tym, że funkcjonariuszom bezkarnym z definicji, nawet w przypadku przestępstw pospolitych, wydano tym razem tak nietypowe polecenie jak „dać się chwilowo zamknąć".

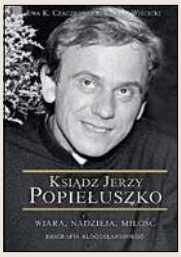

EWA K. CZACZKOWSKA, TOMASZ WIŚCICKI „KSIĄDZ JERZY POPIEŁUSZKO. WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ. BIOGRAFIA BŁOGOSŁAWIONEGO" EDIPRESSE 2017

Takiego uzasadnienia poniesionego ryzyka dostarcza hipoteza czwarta – prowokacji politycznej przeciw opozycji. W tej wersji zamordowanie księdza ma być sygnałem dla przeciwników systemu, że żarty się skończyły. Skoro ginie ktoś taki jak ks. Popiełuszko, to nikt nie może czuć się bezpiecznie. Dalszy ewentualny scenariusz według tej hipotezy nie jest jasny. Sprowokowanie opozycji do użycia przemocy, by uzasadnić dalszy terror? A może jeszcze inaczej? W każdym razie w tym wariancie nie tylko nie należy ukrywać, że morduje MSW. Wręcz przeciwnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Na straży granic II RP

Korpus Ochrony Pogranicza to formacja, która wzbudza dyskusje. Jej żołnierze 17 września 1939 r. mężnie stawili czoła bolszewikom. Wcześniej zaś skutecznie walczyli z sowiecką infiltracją. Wyłapywali szpiegów, z determinacją rozbijali czerwone bandy dywersyjne, które przenikały na teren II RP ze Związku Sowieckiego. Na odcinku antykomunistycznym KOP wykonywał więc świetną robotę.

Należy również pamiętać o straszliwym losie, jaki bolszewicy zgotowali członkom rodzin żołnierzy KOP podczas czerwonej okupacji ziem wschodnich w latach 1939–1941. Wielu Polaków służących w tej formacji zostało zgładzonych w ramach zbrodni katyńskiej.

Część badaczy podkreśla jednak, że KOP przyczynił się do zadrażniania stosunków narodowościowych na ziemiach wschodnich. Szczególnie w drugiej połowie lat 30., gdy część żołnierzy tej formacji brała udział w realizacji nacjonalistycznej polityki polonizacji i szykan wymierzonych w przedstawicieli tzw. mniejszości narodowych.

O tym, że coś jest na rzeczy, przekonałem się podczas swojej pierwszej delegacji służbowej – było to dobre kilkanaście lat temu – gdy pojechałem do Puńska. Miasteczka, którego większość mieszkańców to Litwini. Rozmawiałem tam z kilkoma starszymi panami, którzy opowiadali mi, jak im się żyło w II RP.

– Widzi pan tę bliznę? – jeden z nich wskazał na czoło.

– Pewnie pamiątka z czasu wojny?

– Skądże. Jeszcze przed wojną zorganizowaliśmy sobie w Puńsku litewską potańcówkę. W samym środku zabawy na salę wpadli żołnierze KOP z prętami… To pamiątka po tamtej imprezie.

Historia ta przypomniała mi się, gdy zacząłem czytać ciekawą książkę Artura Ochała „Na litewskiej rubieży". To monografia Brygady KOP „Grodno", która właśnie strzegła granicy z republiką kowieńską. Autor przedstawia dzieje tej jednostki od jej powstania aż do kampanii 1939 r. Kampanii, w której brygada zapisała piękną kartę.

„Stosunkowo słabo wyposażone oddziały – pisze autor – niemal całkowicie pozbawione artylerii i broni wsparcia uczestniczyły w walkach aż do 27 września". Walczyli zarówno z Niemcami, jak i z bolszewikami. To ostatnie tłumaczy, dlaczego w PRL formacja ta została skazana na zapomnienie. ©℗

★★★★★★

ARTUR OCHAŁ
„NA LITEWSKIEJ RUBIEŻY. BRYGADA KOP »GRODNO« (1929–1939)"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Król Kazimierz i Litwinka

Nie zachowały się informacje o inicjacji seksualnej Kazimierza (w przyszłości nazywanego Wielkim). Wiadomo jednak, że 16 października 1325 r. z woli ojca poślubił księżniczkę litewską, Aldonę.

Królewicz miał wówczas 15 lat, był to typowy związek polityczny cementujący przymierze przeciwko Krzyżakom.

Litwinka nie miała złudzeń co do miłości i wierności męża

Wprawdzie Litwini nieraz pustoszyli ziemie polskie, ale – jak wiadomo – „wróg mojego wroga może zostać moim przyjacielem". Panna młoda jako posag otrzymała zwrot wolności dla 24 tys. polskich jeńców porwanych podczas najazdów w ostatnich latach.

Litewska księżniczka (na chrzcie otrzymała imię Anna) miała wesołe usposobienie: lubiła taniec, śpiew i muzykę, a gdy wyruszała w podróż, „jechały przodem bębny, harfy, skrzypce oraz inne instrumenty". Gorszyło to królową Jadwigę Bolesławównę. Stara władczyni nie miała w życiu specjalnie powodów do radości i barbarzyńska Litwinka (nieważne, że ochrzczona) wyjątkowo irytowała królową.

W marcu 1333 r. zmarł Władysław Łokietek i Kazimierz rozpoczął przygotowania do swojej koronacji. Razem z nim ukoronowana miała zostać również Aldona, co spotkało się z oporem starej władczyni. Jadwiga uważała, że w kraju może być tylko jedna królowa, zatem dopóki ona żyje, dopóty Aldona nie może nosić korony. Powstał poważny problem proceduralny, Polska dopiero niedawno odzyskała godność królewską i nie wypracowano jeszcze obowiązujących form życia dworskiego. Ostatecznie Kazimierzowi udało się przekonać matkę do ustępstw, Jadwiga wstąpiła do klasztoru w Starym Sączu i nic nie zakłóciło uroczystości.

Litwinka urodziła Kazimierzowi dwie córki: Elżbietę i Kunegundę, nie miała jednak złudzeń co do miłości i wierności męża – o jego aferach erotycznych plotkowano już w całej Europie. Długo zresztą nie nacieszyła się polską koroną, zmarła w maju 1339 r., nie mając jeszcze 30 lat. Zanotowano, że jej śmierć była niespodziewana i „straszna", brakuje jednak na ten temat bliższych informacji. Niektórzy podejrzewali, że Kazimierz Wielki polecił zamordować żonę, co raczej jest pozbawione logiki. Aldona nie była bezpłodna (ze względu na interes dynastii miało to kluczowe znaczenie), a król stosował inne metody pozbywania się kłopotliwych żon. Litwinka była bowiem ostatnią jego małżonką, która miała bezdyskusyjną pozycję na Wawelu. Z jej następczyniami już różnie bywało. Zdarzyło się, że król miał jednocześnie trzy legalne żony. Ślubów udzielali mu wysocy dostojnicy kościelni, nie przejmując się specjalnie bigamią władcy. ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Szokujący wywiad z więźniem niemieckich obozów

Tomasz Stańczyk – **Pogrom polskiego ziemiaństwa**
Mikołaj Iwanow – **Kto zrobił rewolucję bolszewicką?**
Sławomir Cenckiewicz – **Jak uratowano polskie złoto**
Laura Johnston Kohl – **Gujana: szalona sekta samobójców**
Dariusz Szymanowski – **Na tropie grobu „Hubala"**
Piotr Semka – **Lewaccy terroryści mordują**
Piotr Zychowicz – **Kaźń profesorów lwowskich**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 71a92482cc

Piotr Gociek

Pomysły prezydenta Francji na reformę Unii Europejskiej to nie Europa dwóch prędkości, tylko Europa dwóch standardów

Macron na pustyni

Macron zaczyna niczym Donald Trump. Jest jedynie lepiej od niego ubrany" – pisał w czerwcu hiszpański dziennik „El Mundo", oceniając zapowiedzi nowego francuskiego prezydenta. Kilka miesięcy później możemy już powiedzieć, że z Trumpem Macrona łączy jeszcze jedno: jeśli ktoś liczył, że jego kontrowersyjne wypowiedzi z kampanii wyborczej były tylko pustymi słowami, to się przeliczył.

EUROPA DWULICOWA

W kwietniu Macron zapowiadał, że nie pozwoli na to, by we Francji likwidowano miejsca pracy, i groził tym, których o to obwiniał. Kogo? Polskę, bo to do niej koncern Whirlpool wolał przenieść swoją produkcję. „Nie można tolerować kraju, który w UE rozgrywa różnice kosztów społecznych" – grzmiał wtedy Macron. W ostatnich dniach poznaliśmy pomysł nowego prezydenta Francji już nie tylko na relacje polsko-francuskie, lecz także na przyszłość całej Unii Europejskiej. I okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż się spodziewano. Na tyle kiepsko, że nawet widzący w Macronie przyszłego odnowiciela i zbawcę Unii Europejskiej Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej" zaczął się niepokoić na łamach „Wyborczej". „O co chodzi Macronowi, gdy krytykuje Polskę? O jakie wartości? O polską demokrację czy o francuską gospodarkę?" – pytał. I przestrzegł jednocześnie: „Jeśli naprawdę zależy mu [Macronowi – przyp. P.G.] na europejskiej solidarności, na przestrzeganiu prawa, na demokracji, to musi pamiętać, że dwulicowa krytyka łamania praworządności i solidarności tylko wzmacnia populistów".

Słowo „dwulicowa" jest tu kluczowe, bo też i pomysł Macrona na UE to nie Europa dwóch prędkości, tylko Europa dwóch standardów. Inne mają obowiązywać we Francji, w Hiszpanii czy Niemczech, a inne w Polsce, Czechach czy na Węgrzech.

Zacznijmy od dwulicowości w sprawie Polski – Sierakowski zastanawia się, czy Macron rzeczywiście troszczy się o stan polskiej demokracji (zagrożonej zdaniem Sierakowskiego), czy też ma ją w nosie, wykorzystując jedynie okazję, żeby zagrać o narodowe interesy swojego kraju. Pytanie jest zasadne, bo tak to w tej chwili wygląda. Macron wzywa do obłożenia Polski sankcjami – oficjalnie za to, że Warszawa nie respektuje europejskich wartości i zasad, ale chce ją karać (podob-

FOT. HAMILTON/ POOL/ MAXPPP/FORUM

eprasa.pl 71as24

nie jak inne kraje naszej części Europy), wyrzucając te zasady do kosza. Nie chodzi już tylko o jedną dyrektywę dotyczącą wynagrodzenia pracowników delegowanych w Unii, chodzi o ujednolicenie podatków dla firm i walkę z „dumpingiem socjalnym", czyli zmuszaniem firm w nowych, biedniejszych krajach Unii do ponoszenia takich samych kosztów pracy i produkcji jak w firmach „starej Unii". Bo jeśli ktoś ośmiela się w Europie swojemu spawaczowi, kierowcy czy inżynierowi w fabryce pralek płacić mniej, to dopuszcza się aktu nieuczciwej konkurencji. Następny w kolejce jest „dumping fiskalny" – czyli sytuacja, gdy jakaś firma prowadząca działalność w Polsce płaci niższe podatki niż na przykład w Belgii czy we Francji. Co oczywiście może zachęcać biznes do przenoszenia się do krajów, w których zarobią więcej, inwestując mniej, i co naturalnie bardzo się Macronowi nie podoba. Co jednak ma to wspólnego z europejskimi wartościami i zasadami? Ano zupełnie nic.

Unia Europejska, a na początku Europejska Wspólnota Węgla i Stali (potem EWG), powstała, by ułatwić handel, zamienić izolujące się lokalne rynki w jeden wspólny rynek, by mieszkańcy Unii mieli swobodę podróżowania, zamieszkania, prowadzenia działalności gospodarczej. Wizja Macrona nie ma z tym nic wspólnego, marzy mu się raczej Europa, w której – jak u zarania działalności Forda – nabywca mógł wybrać samochód w dowolnym kolorze, o ile jest to kolor czarny.

DOBRY, BO FRANCUSKI

Sytuacja, w której kraje nowej Europy mają być karane za to, że są bardziej konkurencyjne od starych, oznacza nie nowy etap integracji europejskiej, ale utrwalenie dzisiejszych nierówności, które w Unii Europejskiej wciąż są bardzo duże. A mamy być wedle Macrona karani, bo francuski prezydent proponuje powiązanie rozdzielania funduszy unijnych z postępami w integracji wysokości podatków i płac. Przewidując, że może się to obywatelom biedniejszych krajów niezbyt podobać, francuski reformator proponuje, by… zmniejszyć ich wpływ na europejską politykę, wybierać europosłów z list ponadnarodowych i oddawać kolejne kompetencje rządów instytucjom unijnym – wspólnemu ministrowi finansów na początek.

Cisną mi się tu na usta słowa: „A nie mówiłem?!", bo wsłuchując się w ostatnie wypowiedzi Macrona, przypominam sobie, jak dwa miesiące temu na łamach „Do Rzeczy" postulowałem: nie straszcie polexitem. To nie Polska czy Węgry chcą wyjść z Unii Europejskiej. To stare kraje Unii nas opuszczają, budując sojusz silnych z silnymi, bogatych z bogatymi, „dawnych z dawnymi". Powiedzmy wprost – wedle Macrona solidarność europejska ma obowiązywać tylko w jedną stronę. Kiedy francuskie firmy chcą sprzedawać swoje produkty w Polsce, mają to robić bez ograniczeń, bo Europa to przecież wspólny rynek. Kiedy polskie firmy chcą wykorzystać to, że mogą konkurować na rynku francuskim czy niemieckim dzięki niższym kosztom płacy, to już jest to naruszenie zasad europejskich. Jak powiada Macron: „Nie można tolerować kraju, który w UE rozgrywa różnice kosztów społecznych".

I to mówi polityk uznawany za ekonomicznego liberała! „Wywodzący się z liberalnych środowisk polityk, mający doświadczenie w ekonomii, nie powinien zapominać, że biznes idzie tam, gdzie chce, szukając zawsze najkorzystniejszych dla siebie rachunków" – mówił latem tego roku Polskiej Agencji Prasowej portugalski ekonomista Miguel Monteiro, zdaniem którego Macron bazuje na tanich chwytach. Tanich i populistycznych.

Populizm Macrona jest jednak dobry, bo francuski, czyli europejski. Populizm środkowoeuropejski to już dla Unii niebezpieczeństwo i oznaka odradzającego się faszyzmu. Protekcjonizm polski czy czeski jest łamaniem zasad działania Unii, a protekcjonizm francuski – pogłębianiem współpracy. Współpracy, która w takiej wersji oznacza po prostu podział Europy na kraje wyzyskujące i wyzyskiwane. Francuzi mogą bronić rynku francuskiego przed Polakami, dla Francuzów rynkiem francuskim ma być cała Europa. Polacy nie mogą bronić swojego rynku przed Francuzami, bo to wyrzeczenie się wartości europejskich.

Unia Europejska przez długie dekady działała dobrze, ale nigdy nie był to raj, w którym na łące w zgodzie i harmonii leżą obok siebie lew oraz baranek. Za kulisami europejskich instytucji trwała i trwa ostra walka o narodowe interesy: o rozmaite wyjątki, odmienne reguły, wyjątki od wyjątków itd. Zgadzano się na nie, szanując odmienność poszczególnych krajów i ich narodową wrażliwość, ale jednocześnie trudno nie zauważyć, że duży zawsze mógł więcej, więc inne zasady traktowania wywalczyli sobie opuszczający właśnie UE Brytyjczycy, a inne narzucono Polakom czy Węgrom. Działanie na tych dwóch płaszczyznach dawało się pogodzić i przynosiło dobre efekty: działania w interesach narodowych i we wspólnym, europejskim interesie.

Propozycje Macrona zwiastują wielki powrót protekcjonizmu oraz czasy przemocy ekonomicznej wobec państw Europy Środkowej i Wschodniej, wszystko to pod pozorem pogłębiania współpracy międzynarodowej, której wyrazem ma być rosnące znaczenie ponadnarodowych ciał, na których działanie Warszawa, Praga czy Budapeszt nie będą miały wpływu.

PROBLEM Z POLSKĄ

Dlaczego w dziele, które marzy się Macronowi, tak ważnym – i dyżurnym – wrogiem staje się Polska? Powiedziałbym, że skala i intensywność ataków jest skalą naszych sukcesów. Polska jest zbyt dużym krajem, by ją ignorować, tak jak mimo rytualnego potępienia Orbána ignorowano Węgry. Poza tym mocno zaangażowała się w aktywizację współpracy krajów Trójmorza i jest traktowana przez USA jako kluczowy europejski partner w ramach NATO.

Od dwóch lat nowy polski rząd pokazuje, że Polska szybko uczy się od zachodniej konkurencji ostrej walki o swoje narodowe (także gospodarcze) interesy. Rosnąca nad Wisłą koniunktura, spadające bezrobocie, bezbolesne wchłonięcie setek tysięcy imigrantów ekonomicznych z Ukrainy przy jednoczesnym ostrym sprzeciwie wobec agresywnej polityki multi-kulti prowadzącej do islamskiej inwazji – wszystko to pokazuje, że można działać inaczej, niż to się marzy Brukseli czy Paryżowi, i że nie jest to działanie skazane na porażkę. Macron i jemu podobni mogą się z tym pogodzić – co będzie oznaczać, że utracili patent na europejską nieomylność – albo mogą w imię forsowania jedynie słusznej drogi próbować karać i izolować Warszawę.

Europejska lewica upatruje dziś w prezydencie Francji Mojżesza, który poprowadzi europejski lud ku ziemi obiecanej. „Ważne, żeby w drodze przez pustynię uniknąć miraży" – skomentowała na Twitterze pomysły Macrona prezydent Litwy Dalia Grybauskaitė. Warto by także wiedzieć, co czeka nas na końcu drogi. Jeśli traktować francuskiego przywódcę serio – to nic dobrego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

Synowskie upomnienie o herezje

Tomasz P. Terlikowski

Już ponad dwustu – świeckich i duchownych – teologów oraz działaczy katolickich stawia Franciszkowi zarzut herezji

Strategia na przeczekanie, którą w kwestii wątpliwości wobec „Amoris laetitia" przyjęli Stolica Apostolska i sam Franciszek, nie przynosi rezultatów. Kolejni hierarchowie, a także teolodzy i wierni stanowczo domagają się odpowiedzi na wątpliwości, które najmocniej sformułowało czterech kardynałów w słynnych „Dubiach". Najnowszym przykładem takich wątpliwości jest publicystycznie bardzo mocne „synowskie upomnienie", jakie grupa początkowo 62 (a obecnie już ponad dwustu) teologów i filozofów skierowała do Franciszka.

Dokument jest niezwykle ostry. Po raz pierwszy chyba w oficjalnej korespondencji do papieża i Stolicy Apostolskiej oficjalnie pada zarzut herezji. I choć sygnatariusze nie precyzują, czy jest ona świadoma, czy wynika z nieświadomości papieża, to nie ulega wątpliwości, że jest to zarzut niezmiernie poważny, dotyka bowiem istoty urzędu papieskiego. Istotnym elementem tekstu jest jednak nie tylko analiza wątpliwości, jakie rodzi „Amoris laetitia", a także uznanie, że istotnym elementem problemów z teologią Franciszka jest to, iż ulega ona procesowi swoistej luteranizacji.

W tej sprawie także teologowie wzywają papieża do zmiany nauczania lub przynajmniej doprecyzowania niejasnych elementów „Amoris laetitia". Wszystko opatrzone jest, rzecz jasna, zapewnieniami o lojalności i miłości do Ojca Świętego, ale napisane jest w duchu ostrej polemiki, która niezmiernie utrudnia rzeczową odpowiedź, a do tego rodzi pytania, na które albo trzeba dać odpowiedzi, albo których nie należy stawiać. Przykładem jest pytanie: Co jeśli papież jest – co z dokumentu może wynikać – świadomym heretykiem? Jakie kroki powinno się podjąć? I co, jeśli papież na dokument nie odpowie?

Odpowiedź na to drugie pytanie jest tym istotniejsza, że nic nie wskazuje na to, by Stolica Apostolska zamierzała na ten dokument odpowiadać. Kardynał Pietro Parolin zapewnił wprawdzie dziennikarzy, że „synowskie upomnienie" powinno być poddane uważnemu dialogowi, ale słowa te należy niestety potraktować jako uprzejmie sformułowaną prośbę do dziennikarzy, by ci odczepili się od papieża i przestali dopytywać o wątpliwości, jakie wśród części hierarchów oraz teologów wywołały sformułowania Franciszka zawarte w „Amoris laetitia". Innych prób odpowiedzi zaś nie było i nie ma, a dokładniej jest udawanie, że zawarta w adhortacji o małżeństwie i rodzinie nauka jest całkowicie jednoznaczna, a do tego wypływająca z „Familiaris consortio" św. Jana Pawła II i zgodna z całą tradycją Kościoła.

> **Dokument jest niezwykle ostry. Po raz pierwszy chyba w formalnej korespondencji do papieża oficjalnie pada zarzut herezji**

Tak krytykom „AL" odpowiadał w czasie spotkania z kolumbijskimi jezuitami papież Franciszek, który zapewniał, że antropologia i teologia moralna dokumentu są tomistyczne, a jeśli ktoś ma co do tego wątpliwości, to powinien zapytać o zdanie… kard. Christopha Schönborna. Wypowiedź ta, niestety, pokazuje, że dyskusja z samym papieżem będzie niezmiernie trudna, chętnie stosuje on bowiem argumenty z autorytetu (w tym przypadku metropolity Wiednia), a te w debacie teologicznej czy filozoficznej mają bardzo marne znaczenie. Filozoficznego znaczenia nie ma także, co trzeba powiedzieć zupełnie jasno, zapewnienie, że etyka dokumentu ma charakter tomistyczny. Powód jest zaś niezmiernie prosty: wielu teologów wprost zarzuca, że argumentacja zaczerpnięta w dokumencie od św. Tomasza w istocie fałszuje jego idee i styl myślenia oraz nie ma z nim nic wspólnego.

Ucieczka od jasnych odpowiedzi na dobitne pytania (teologicznie mocniej zadane w „Dubiach", a publicystycznie w „synowskim upomnieniu") nie oznacza jednak, że w sprawie „Amoris laetitia" nic się nie dzieje. Krąg najbliższych współpracowników papieża już zreformował założony przez św. Jana Pawła II Instytut Studiów nad Małżeństwem i Rodziną, tak by badania przebiegały w duchu „Amoris laetitia", a prywatny list Franciszka do biskupów regionu Buenos Aires, w którym papież potwierdza, że intencją dokumentu jest to, by w pewnych sytuacjach, po rozeznaniu, rozwodnicy w ponownych związkach mogli przystępować do komunii świętej, trafił na listę oficjalnych dokumentów. Oczywiście wpisanie na listę niczego nie zmienia w charakterze samego dokumentu, ale jest istotnym sygnałem, w jakim kierunku zmierza Watykan.

W takiej sytuacji konieczne są oczywiście obrona tradycyjnego nauczania Kościoła, przypominanie go i umacnianie. Pytanie tylko: Czy rzeczywiście zarzucenie papieżowi herezji jest najlepszą do tego drogą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

TERMIN REALIZACJI **LIPIEC 2018**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 71a92482cc

Adios, Katalonio

Małgorzata Wołczyk

Kłopot z Hiszpanią polega na tym, że leży wystarczająco blisko, aby Polacy mogli wyskoczyć do niej na weekend, i jednocześnie zbyt daleko, aby móc pojąć, co się w niej właściwie wydarzyło

Z początkiem września El Clásico przeniosło się ze stadionu na salę parlamentu, do siedziby władz regionu Katalonii, do mediów, wyległo na place i skłóciło domy. Zwarcie między Królewskimi a Barceloną nastąpiło w niedzielnym nielegalnym referendum. I tu skończyła się gra towarzyska, bo w atmosferze małej wojny domowej (przywodzącej najgorsze skojarzenia) rozegrały się sceny, jakich nie pamięta już Europa.

Bohaterem był uniesiony patriotycznym zrywem lud Katalonii, który wobec uzbrojonych gwardzistów hiszpańskich odmieniał przez wszystkie przypadki hasła o wolności i niepodległości. Jakże nie pokochać tych, którzy nie zważając na świst gumowych kul (893 rannych w starciach ulicznych), gardłują za demokratycznym prawem do głosowania? Zaraz, ale czy aby na pewno ktoś im tę wolność odebrał, a męczeństwo nie jest świadomie prowokowane?

MORALNE ZNAKI ZAPYTANIA

Żeby zrozumieć przyczyny tych wydarzeń, potrzeba minimum wiedzy, o którą wcale nie tak łatwo u komentatorów występujących w przebraniu ekspertów. Należy przecież pamiętać, że nie ma żadnej symetrii między zwaśnionymi stronami. Wszak Katalonia od zawsze należała do Hiszpanii, nawet gdy ta jako Hispania Romana stanowiła prowincję Rzymu.

eprasa.pl 71a92482cc

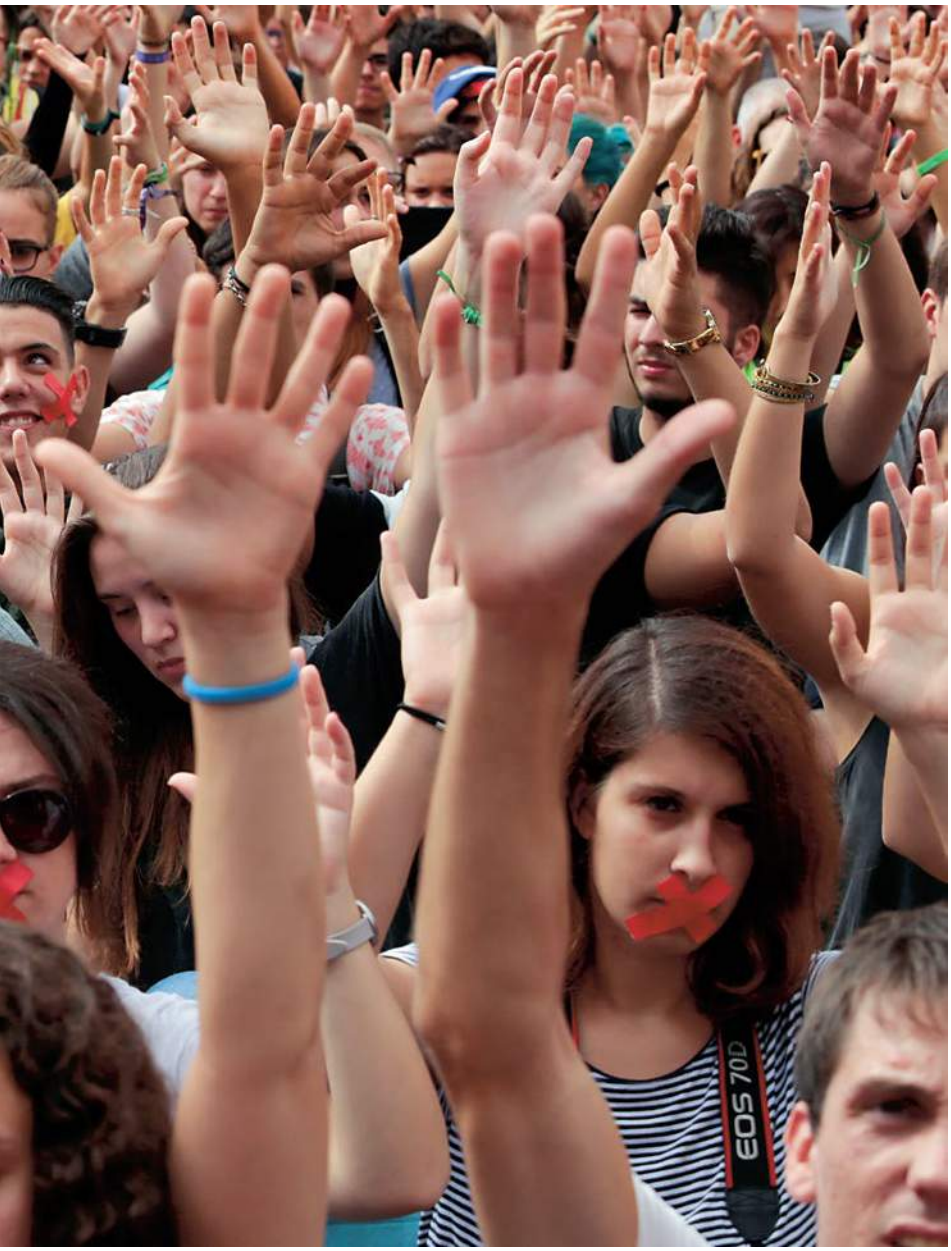

FOT. ENRIQUE CALVO/REUTERS/FORUM

Cóż z tego, że językowo czy kulturowo inna od rdzennej Kastylii? Hiszpania to przecież jeden naród, choć jednocześnie zbitka odmienności 17 wspólnot autonomicznych, z których każda może pochwalić się odrębnością i nierzadko swoim językiem (galisyjskim, baskijskim, walenckim). Katalonia nie jest więc jedynym obszarem będącym „pod panowaniem" monarchii parlamentarnej, który od czterech dekad godził się na dominację Madrytu. Mimo to separatyści nakręcili spiralę nienawiści z taką wprawą, że nawet dawni członkowie baskijskiej ETA popatrują z zazdrością na niepodległościowy impet władz Barcelony.

Arnaldo Otegi, członek zbrojnego komanda ETA współodpowiedzialny za śmierć – w samej tylko Katalonii – aż 54 osób (przy 224 rannych), jest dziś publicznie fetowany wśród przywódców niepodległościowych Katalonii. Nigdy nie przeprosił za masakrę w barcelońskim supermarkecie Hipercor (1987 r.), a mimo to udziela wywiadów katalońskiej telewizji i zachęca do ostatecznego oderwania się od Hiszpanii.

Jak się jednak okazuje, CUP – katalońska, radykalnie lewicowa partia „jedności ludowej" – jest bardzo bliska ideowo dawnej ETA. O twarzach ruchu niepodległościowego trudno niestety usłyszeć w doniesieniach medialnych. Któż pamięta, że ojciec niepodległości i pierwszy prezydent Katalonii Jordi Pujol jest prawomocnie skazany za udział w gigantycznych aferach korupcyjnych? Podobnie jego następca – Artur Mas – który wspólnie z burżuazją katalońską brał udział w oszustwach na ogromną skalę (znanych jako caso Millet, caso Palau). Orędownik niepodległości pozostaje jednym z najbogatszych ludzi na półwyspie i symbolem skorumpowania. Kwestią czasu będą zapewne zarzuty wobec Carlesa Puigdemonta – obecnego prezydenta Generalitat.

ISLAMSKI ZAKĄTEK EUROPY

Pewien kataloński polityk i deputowany Parlamentu Europejskiego przez trzy kadencje – Alejo Vidal-Quadras Roca (nagrodzony w 2012 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej) – nazwał Katalonię najbardziej skorumpowanym zakątkiem Zachodu. Przez wiele lat walczył z agresywnym nacjonalizmem ziomków, nie ukrywając, że to nowotwór, który toczy jego naród. Zgłaszał nawet na forum PE wniosek o zbadanie dyskryminacji ludności hiszpańskojęzycznej w Katalonii. Tak, ci biedni Catalans znani są jednocześnie z represjonowania firm za brak użycia na etykietach języka katalońskiego. O wysokich grzywnach (multas lingüísticas), sięgających do 1 tys. euro za anons po hiszpańsku, rozpisywał się nawet „The Economist".

Należy też wspomnieć o nowym zjawisku – patriotycznym donosicielstwie. Pewien bibliotekarz kataloński Roger Seuba z dumą prezentował swoje donosy na 5 tys. małych firm. Niedająca się wytłumaczyć w kategoriach racjonalnych nienawiść do castellano jest też motorem demograficznych przemian w tym regionie. Zakazem używania hiszpańskiego skutecznie zniechęcono do osiedlania się imigrantów z krajów hispanoamericanos. Niemożność znalezienia pracy uniemożliwiała osiedlenie się w kraju tak „odrębnym" językowo. Tymczasem masowy napływ imigrantów z Afryki Północnej, pobudzany przez władze autonomicznego rządu, sprawił, że w ciągu paru lat Katalonia stała się najbardziej zislamizowanym zakątkiem Europy. Marokańczycy, określani tu przychylnie jako Nous Catalans, w krótkim czasie opanowali region do tego stopnia, że CIA zdecydowała się umieścić w Barcelonie swoją agendę do śledzenia poczynań dżihadystów. Jak wiadomo, ostrzegali władze o szykowanym zamachu na La Rambla, ale te były zbyt zajęte planowaniem referendum.

KONFLIKT NARASTA

Nie wiadomo, co stanie się w najbliższych dniach. Pewny jest jedynie kryzys,

eprasa.pl 71a92482cc

który dotknie obie strony w planie ekonomicznym i każdym innym. Narasta konflikt i wzajemna nienawiść po 40 latach mozolnego budowania jedności w narodzie. Podobno żyjemy w czasach baniek medialnych, a każda ze stron ma własną wersję wydarzeń. Jednak zdecydowaną rację ma hiszpański rząd, który broni samej istoty demokracji, nakazującej szanować prawo i konstytucję. Argumenty pozostają nie do zbicia, nawet jeśli Gerard Piqué znów rozbeczy się w obronie uciśnionej Katalonii:

1 Przeprowadzono zamach stanu (za pieniądze tegoż państwa!) w parodii plebiscytu z pogwałceniem prawa i konstytucji. Referendum byłoby ważne tylko w sytuacji, gdy o przyszłości Hiszpanii decydowałby cały naród, nie zaś tylko Katalończycy.

2 W referendum z 1978 r. (po latach dyktatury Franco) Katalończycy przygniatającą większością 90,46 proc. głosów opowiedzieli się za nową konstytucją dla Hiszpanii, obowiązującą do dziś. Nazywa się ją katalońską, jako że była inspirowana statutami Katalonii z lat 30. I choć dziś krzyczą, że już nie identyfikują się z ustanowionym wtedy porządkiem prawnym, to jednak siła i liczebność ich poparcia nie zostały pobite w żadnym z kolejnych referendów przez następne 40 lat. Spuśćmy zasłonę milczenia na parodię niedzielnego plebiscytu, gdy karty do głosowania można było drukować w domu, a co sprytniejsi głosowali co najmniej dwa razy. Frekwencja, przy tak licznych możliwościach nadużyć, pozostaje zadziwiająco mała (42 proc. uprawnionych).

3 Pomimo impetu niepodległościowych dążeń prawdą jest, że jeszcze w sierpniu większość Katalończyków była przeciwko odrywaniu się od Hiszpanii. Dwie główne partie separatystyczne: Junts pel Sí i CUP miały za sobą ledwie 47 proc. poparcia. Tak zwana milcząca większość przez ostatnie lata siedziała cicho pod butem dominującej narracji separatystów sprzymierzonych z lewicą i skorumpowaną burżuazją katalońską.

4 Nie istnieją historyczne powody uznania prawa Katalonii do samostanowienia, gdyż nigdy nie była ona samodzielnym królestwem i zawsze znajdowała się pod obcą jurysdykcją.

5 Katalonia jako najbardziej zapalny, roszczeniowy region była przez lata faworyzowana. To ona jako pierwsza otrzymała statut autonomii razem z prowincją Basków (w grudniu 1979 r.). Co więcej, gdy inne regiony rozpoczęły podobną drogę dwa lata później, separatyści podnieśli protest, bo przywilej autonomii rozumieli jako elitarne prawo. Silne przekonanie o własnej wyjątkowości każe im się sytuować ponad prawem obowiązującym resztę obywateli państwa. Jak inaczej interpretować jednostronne wypowiedzenie postanowień konstytucji z 1978 r., która wyraźnie mówi o niepodzielności terytorium państwa?

6 Podnoszony w nieskończoność argument Katalończyków, jakoby „Madryt ich okradał", jest klasycznym potwierdzeniem Goebbelsowego: „Kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą". Progresywny system podatkowy Hiszpanii zakłada, że najbogatszy region proporcjonalnie płaci największe podatki. To nie kradzież, to arytmetyka. Przeczulony na punkcie oskarżeń rząd hiszpański stworzył w 2012 r. Fundusz ds. Płynności Finansowej Autonomii (FLA) i – o dziwo – największym jego beneficjentem pozostaje Katalonia. Jeśli tak zależy jej na finansach, dlaczego zabiega o niepodległość, której nieuchronną konsekwencją będzie ogromny kryzys ekonomiczny regionu, wyjście z UE, prognozowana redukcja PKB o 30 proc.?

7 Za sprawą szerokich przywilejów nadanych Katalonii zarówno system edukacji, służba zdrowia, policja, jak i media przez 40 lat były w rękach separatystów. Sączenie nienawiści, zakłamywanie historii w podręcznikach szkolnych oraz akty agresji wobec „okupantów" (policji hiszpańskiej) sprzyjały nastrojom rebelianckim. Rewizjonizm historyczny sięgnął już wyżyn groteski i nikogo nie dziwi, że barceloński uczony Jordi Bilbeny prowadzi sympozja, na których „udowadnia", że zarówno Kolumb, Cervantes, jak i Święta Teresa byli Katalończykami.

8 Konferencja Episkopatu Hiszpanii stwierdziła jasno: „Jedność (nienaruszalność) Ojczyzny jest dobrem moralnym, które należy chronić". Niestety, istniejący już od dawna rozłam skutkował wsparciem kleru katalońskiego dla dokonującego się zamachu stanu. Znany dziennikarz, ks. Santiago Martin (niestrudzony czciciel Świętego Jana Pawła II), opisał tę gorączkę nacjonalizmu następująco: „Najpierw istniała niepodległa Katalonia, a potem na świecie pojawił się Pan Bóg!".

9 Racja Madrytu jest racją stanu, obroną przed rozpadem całej Hiszpanii. Wszystkim pozostaje wiadome, że po oderwaniu się Katalonii niepodległości zażąda Kraj Basków, przywłaszczając sobie Nawarrę, La Rioję, część Kantabrii i Burgos. Następne w kolejce są Walencja i Baleary. Galicja po cichu marzy o odbudowaniu Królestwa Swebów.

Niepokój milionów Hiszpanów i ich gremialne żądanie, aby rząd zastosował środki nadzwyczajne, są uzasadnione. Od dekady bezradnie obserwują nasilający się nacjonalizm, który manipuluje dziećmi od najmłodszych lat. Wersja historii, jaką otrzymują w podręcznikach szkolnych, nijak się ma do prawdy. Tożsamość katalońska budowana jest w kontrze do „okupanta hiszpańskiego", którego symbolem jest funkcjonariusz Guardia Civil. Katalonia ufundowała swój akt założycielski nie na faktach historycznych, ale na legendach i relekturze romantyków katalońskich.

To właśnie ideologia ruchu Renaixença z drugiej połowy XIX w. za sprawą mitów i legend o obronie miasta przed złym Hiszpanem zbudowała poczucie wspólnoty. Oprócz lansowania mocno lewicowych intelektualnych mód kolejne niepodległościowe rządy pracowały nad zantagonizowaniem obu stron. W czasach pamiętnego kryzysu (2008–2012) Artur Mas przekonywał, że niepodległa, bogata Katalonia nigdy nie odczułaby jego skutków, gdyby nie ciężar wspólnoty.

Pogarda wobec biedniejszych regionów Hiszpanii jest zresztą stałą cechą Katalończyków. Oliwy do ognia dolewa hiszpańska lewica, która gotowa jest zgodzić się na każdy rodzaj kryzysu państwa, byle tylko pośliznął się i odszedł prawicowy rząd Rajoya. Marzenie o powrocie do epoki zapateryzmu sprawia, że w sposób bardziej (PSOE) lub mniej (Podemos) zawoalowany sprzyjają separatyzmowi katalońskiemu.

Telewizyjne niedzielne obrazki pałującej policji powinny być zrównoważone prowokacjami ze strony agresywnych działaczy, także tych zasiadających w katalońskim parlamencie i rządzie. Kolejny raz rewolucja poczyna się w wybuchowej Barcelonie, która żądając niepodległości, oczekuje jednocześnie, że Hiszpania pokryje jej długi i opłaci świadczenia dla emerytów. Najbardziej zlaicyzowany i zislamizowany region Hiszpanii popadł w nacjonalistyczny amok. Stare przysłowie katalońskie to potwierdza: el qui no té fe, no té fre (kto nie ma wiary, ten nie ma hamulca).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

SZEWACH WEISS

Powrót do normalności

Od niemal 20 lat podróżuję regularnie między Polską a Izraelem. Prawdopodobnie mam najdłuższy kilometraż na tej trasie, bo dość ostrożnie licząc, wyjdzie jakieś 1,5 mln km. W zasadzie powinienem chyba zostać nagrodzony darmowym dożywotnim biletem. Mam już tak duże w tym doświadczenie, że niemal mógłbym napisać pracę naukową poruszającą aspekty psychologiczne, socjologiczne i historyczne tej niezwykłej trasy lotniczej. W czasie mojej ambasadorskiej służby w Polsce były dwa–trzy loty do Izraela w tygodniu. Jeśli komuś nie pasowały terminy, to musiał szukać połączeń z przesiadkami np. w Wiedniu, Pradze czy Budapeszcie. Od kilku lat to się zmienia, dziś jest kilka połączeń między Polską a Izraelem dziennie.

Dla obywateli Izraela Warszawa stała się bardzo popularnym kierunkiem. Kiedyś lot do Polski zawsze związany był z tragedią Holokaustu. Żydzi przyjeżdżali do kraju, który za sprawą Niemców był dla nich cmentarzem ich narodu. Odwiedzali miejsca związane z Holokaustem, uczestniczyli w uroczystościach, spotykali się ze Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Oglądali Polskę smutnymi oczami, ze złamanym sercem i przez łzy. Później zaczęły się wizyty do miasteczek i miejscowości żydowskich, powroty do korzeni. I te podróże były związane z tragedią, bo Żydzi „żegnali" się z Polską w sposób niezwyczajny.

Kiedy bardzo rozwinęły się stosunki gospodarcze z Polską, stworzył się pewien klub inwestorów. To osoby, które zaczęły w Polsce inwestycje budowlane, nawiązały współpracę w branży rozwiniętych technologii czy farmaceutyki. Większość z nich to ludzie, którzy w marcu 1968 r. zostali z Polski wypędzeni. Wtedy wyjechali jako młodzieńcy, później jako inżynierowie, lekarze, farmaceuci, biznesmeni powrócili do swoich kolegów z dawnych lat. Także te stosunki oparte były nie tylko na wspólnym biznesie, lecz także na głębokiej, odnawiającej się przyjaźni.

Kolejną grupą Żydów przyjeżdżających do Polski byli uratowani lub ich potomkowie, którzy przylatywali odwiedzić swoich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Również rodziny Sprawiedliwych, a także sami Sprawiedliwi, jeśli jeszcze zdążyli, bo ze względu na wiek dzisiaj ich już prawie nie ma, odwiedzali Izrael.

Ostatnie lata to pojawienie się nowego zjawiska. Setki tysięcy Izraelczyków przylatuje do Polski w celach czysto turystycznych. Nie są to jedynie Żydzi, którzy mieli tu rodziny, ale wszystkie grupy mieszkańców Izraela. W samolotach widuję całe rodziny, młodych i starszych z Jemenu, Etiopii, Rosji, Syrii, Maroka, Afganistanu itp. Kiedyś podróżowali do Pragi, bo wiedzieli, że jest piękna. Dzisiaj coraz więcej Żydów z Izraela wie, jak piękna jest Warszawa. Czasami przyjeżdżają na dłużej, odwiedzają też Kraków czy Zakopane. Wracają z Polski zachwyceni. Mówią o pięknych krajobrazach, nowoczesnej i zabytkowej architekturze. Wracają z pełnymi walizkami. Polska stała się atrakcyjnym miejscem zakupów np. cenionych kosmetyków, nie wspominając już o kiełbasce i smalczyku. To jest jak twierdząca odpowiedź na pytanie, czy Żydzi i Polacy mogą zacząć od nowa. To jest możliwe, to się realizuje, to powrót do normalności.

Ciekawe zjawisko związane jest z przelotami ortodoksyjnych Żydów. Czasem połowa pasażerów podczas lotu wstaje i zaczyna się modlić. No i pewnie, są przecież bliżej Boga niż ci, którzy zostali na dole. Tacy podróżni są wyzwaniem dla obsługi samolotu, bo religijny Żyd nigdy nie usiądzie obok obcej kobiety niezależnie od jej pochodzenia i narodowości. Stewardesy i stewardzi czasem muszą się natrudzić, by odpowiednio wszystkich usadzić. No i musi być koszerne jedzenie. Wielu niereligijnych Żydów pierwszy raz próbuje koszernego jedzenia na pokładzie samolotu w drodze do Polski.

Polacy również wracają z Izraela zachwyceni. Nie tylko z powodu odwiedzenia świętych miejsc, co jest bardzo zrozumiałe. Wrażenie robi na nich także rozwój, dynamika życia w Izraelu. Czasami nawet mówią: „Aj, co nasi Żydzi zrobili w tym Izraelu, jakie stworzyli państwo".

Nie ma drugiej takiej rzeczy, która na nowo łączyłaby nasze narody tak jak turystyka Polaków do Izraela i Żydów do Polski. Prawdopodobnie wielu z nas ma podwójną tożsamość. Polacy z powodów religijnych i historycznych związanych z naszymi wspólnymi tragediami, a Żydzi z powodu tego, że korzenie niemal co trzeciego Żyda sięgają Polski. Więc polecam – lećcie. Nie można jednak przyjeżdżać do Polski wyłącznie turystycznie. Trzeba dołożyć do tego odrobinę historii i ideologii. I niemal każdy Żyd znajduje te dwie–trzy godziny, by odwiedzić Muzeum Żydów Polskich, które też łączy nasze narody. ©℗

oprac. raw

„Do Rzeczy" poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

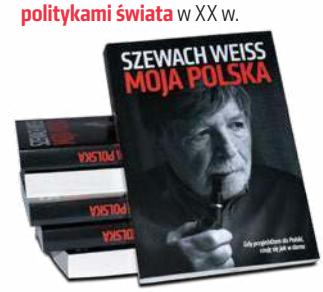

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. FOTOLIA

PANIKA Z POWODU BIBLII

W ostatnim czasie zamachów w Europie nie ubywa, więc nie ma się co dziwić, że ludzie stali się nerwowi i szczególnie ostrożni. Z informacji świadków i komunikatów policji wynika jednak, że jeśli już zamachowcy odwołują się do religii, to krzyczą zwykle: „Allahu Akbar!", co dosłownie oznacza: „Bóg jest wielki", a formalnie to zadeklarowanie wiary w Allaha. Dlatego niedawna reakcja pasażerów pociągu stojącego na stacji w Londynie może wydawać się dość zaskakująca. Otóż gdy w pociągu zmierzającym rankiem ze Shepperton do Waterloo pewien mężczyzna zaczął czytać na głos Biblię, wśród pasażerów wybuchła panika. Człowiek, który podróżował z plecakiem, oprócz cytowania Pisma Świętego miał mówić o grzechu, którym jest uprawianie seksu przed zawarciem małżeństwa, oraz wspominać o dniu Sądu Ostatecznego. To tak wystraszyło współpasażerów, że oprócz naciśnięcia przycisku alarmowego grupa ludzi siłą otworzyła drzwi wagonu i zaczęła wyskakiwać na tory. Doszło nawet do tego, że zarządca linii kolejowej wyłączył zasilanie trakcji. Mężczyzna został przesłuchany przez policję. Nie postawiono mu żadnego zarzutu.

ŚWIAT JEST PŁASKI

Pieniądze zbierać można na różne cele. W Polsce najłatwiej na jakieś szkolenia finansowane przez UE, których efektów nie sposób zmierzyć. W Stanach Zjednoczonych nowe szlaki przeciera właśnie raper B.o.B., który w serwisie crowdfundingowym ogłosił zbiórkę na zakup i wysłanie w kosmos kilku satelitów – dzięki temu pragnie ostatecznie udowodnić, jaki kształt ma Ziemia. Osobiście raper podejrzewa bowiem, że jest ona płaska. Do zmiany planów próbowali przekonać go amerykańscy astronauci, którzy latali wokół naszego globu m.in. Buzz Aldrin, który brał udział w pierwszym lądowaniu na Księżycu. Na razie bez skutku.

O PORNO DLA DZIECI

W Norwegii rozgorzała dyskusja na temat książki, jaką opublikowała znana autorka dla dzieci – Gro Dahle. Pani psycholog, która na koncie ma ponad 30 książek, postanowiła napisać pozycję, która „zgłębi dziecięcą wiedzę na temat pornografii". Książeczkę „Sezamie, sezamie" ilustracjami ubogaciła córka pisarki. Narysowała m.in. sceny seksu, nagie postacie. Chociaż autorka przekonuje, że chciała pomóc dzieciom, które w cyfrowym świecie dość szybko mogą zetknąć się z pornografią, to wiele osób uważa, że jej publikacja zwyczajnie może maluchom zaszkodzić. Psychologowie wskazują, że książka zbyt wcześnie poruszy taką tematykę. Inni twierdzą, że publikacja to wręcz szerzenie pornografii. Gro Dahle wywołała już kontrowersje wcześniejszą publikacją, która poruszała problem przemocy w rodzinie. Chociaż norweskie ministerstwo kultury przyznało jej za nią nagrodę, to niektórzy księgarze ukrywali tę pozycję przed dziećmi.

OBRABOWALI ZOO Z GŁODU

Władze Wenezueli prowadzą śledztwo w sprawie kradzieży zwierząt z ogrodu zoologicznego w Maracaibo niedaleko granicy z Kolumbią. Zniknęły z niego dwa pekariowate – czyli ssaki podobne do naszych dzików. Policja podejrzewa, że złodzieje podprowadzili świniowate, by po prostu je zjeść. To chyba najlepszy dowód na to, jak bardzo rządy socjalistycznego prezydenta zniszczyły ten kraj. Te zwierzęta, których Wenezuelczycy jeszcze z zoo nie ukradli, też nie mają lekko. Występujące w kraju „niedobory żywności", o które Nicolás Maduro oskarża protestującą opozycję, dotknęły też karmy dla zwierząt. Tylko w ubiegłym roku z głodu padło ok. 50 zwierząt w zoo w Caracas.

ŁAPÓWKOWY REKORD

Rosyjskie media zauważyły niedawno, że w Rosji urzędnik przyjął najwyższą łapówkę w historii. Szef wydziału zabezpieczenia technicznego zajmujący się sprawami aprowizacji wojska miał przyjąć w przeliczeniu ponad 22 mln zł za to, że do armii trafił sprzęt gorszej jakości niż ten, który zamawiano. Pułkownika zamknięto w areszcie. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 71a92482cc

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

NA ZGŁOSZENIA CZEKAMY TYLKO DO 15 PAŹDZIERNIKA

PATRONAT HONOROWY: MINISTERSTWO ROZWOJU, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, PARP, FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, ALIOR BANK, asseco, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

PATRONI MEDIALNI: DO RZECZY, TVP POLONIA

eprasa.pl 71a92482cc

FOT. JEAN-PAUL PELISSIER/REUTERS/FORUM

Podcięte skrzydła skandalisty

Jacek Przybylski

Ryanair odwołał ostatnio tysiące lotów, w tym wiele z i do Polski. Czy kłopoty irlandzkiej linii lotniczej doprowadzą do upadku ekscentrycznego miliardera, który dotąd ostro kpił z konkurentów?

Charyzmatyczny, zuchwały, bezczelny, ambitny i prowokacyjny. Prezes największej europejskiej taniej linii lotniczej, ubrany w dżinsy oraz koszulę bez krawata, wielokrotnie nazywał swoich klientów „głupkami", „kłamiącymi idiotami" i kazał „spierd…" tym, którym nie podoba się to, że muszą płacić, jeżeli nie odprawią się w Internecie. Zagorzały przeciwnik poprawności politycznej wielokrotnie obrażał również konkurentów. Gdy British Airways i Iberia ogłosiły fuzję, O'Leary stwierdził, że przypomina mu to dwóch pijaczków, którzy próbują się wzajemnie podtrzymywać.

Komisję Europejską określał mianem „imperium zła", a komisarzy bez ogródek nazwał „kretynami".

Publicznie mówił również, że ekologów najlepiej byłoby pozabijać. Proponował wprowadzenie wyższych cen biletów dla „grubasów", a także miejsc stojących oraz pobieranie dodatkowych

eprasa.pl 71a92482cc

opłat m.in. za korzystanie z toalety. – Opłata powinna wynosić jednego funta. Gdyby ktoś chciał zapłacić pięć funtów, osobiście mógłbym zanieść go do toalety i podetrzeć mu tyłek – przekonywał Michael O'Leary w 2009 r., zapowiadając jednocześnie zlikwidowanie dwóch z trzech toalet na pokładzie boeingów 737-800, aby znaleźć miejsce dla dodatkowych sześciu siedzeń.

Podpadł nawet własnej matce – pobożnej katoliczce – przebierając się za papieża podczas inauguracji lotów z Dublina do Rzymu. Prezes lubi się zresztą przebierać: występował więc zarówno przebrany za telefon komórkowy, jak i za przyjaciela Batmana, Robina.

Dokonując ekspansji na kolejne europejskie rynki, był spokojny o popyt na swoje usługi. – Niemcy mogą przeczołgać się nago po rozbitym szkle, byle tylko tanio kupić bilet na samolot – oznajmił, gdy w 1997 r. Ryanair zaczął latać do Frankfurtu. – W Ryanairze mamy politykę, która nakazuje kradzież długopisów hotelowych. Mamy taką obsesję na punkcie ograniczania kosztów, że nie będziemy płacić za długopisy – tłumaczył biznesmen, który aby zmniejszyć wagę samolotów i obniżyć koszty sprzątania, pozbył się kieszeni za fotelami.

Prezes najważniejszej taniej linii lotniczej w Europie od lat słynie z ciętego języka, przekonania, że nieważne, jak mówią, byleby mówili, oraz kontrowersyjnych pomysłów na zwiększanie zysków. – Jeśli sprzedaż drinków na pokładzie zacznie spadać, każemy pilotom zmajstrować nieco turbulencji. To przeważnie znacząco zwiększa sprzedaż – zapowiadał biznesmen, który aby nie tracić codziennie czasu na korki, zamontował w swoim prywatnym mercedesie taksometr i kupił licencję taksówkarską, dzięki czemu może legalnie śmigać po buspasach w Dublinie.

To właśnie kreatywność była podstawą jego sukcesu. Zanim w 2016 r. nakazał obsłudze, aby była milsza dla pasażerów – co przełożyło się na gwałtowny wzrost zysków – O'Leary tłumaczył w mediach, że wcześniej musiał używać bardzo ostrych sformułowań, ponieważ budżet na marketing był niewielki, a szokujące słowa sprawiały, że czytelnicy czy widzowie chętnie wpisywali w wyszukiwarki nazwę Ryanair i na własne oczy przekonywali się, że można polecieć na słoneczne wakacje za cenę obiadu w restauracji.

WYZWANIE DLA KSIĘGOWEGO

Najstarszy z sześciorga dzieci wpływowej rolniczej rodziny ukończył elitarną jezuicką szkołę z internatem, a następnie studiował ekonomię na prestiżowej uczelni wyższej Trinity College w Dublinie. Zanim trafił do branży lotniczej, młody Irlandczyk pracował w KPMG, renomowanej sieci firm audytorsko-doradczych, jako doradca podatkowy. To tam poznał irlandzkiego miliardera Tony'ego Ryana. Jako 26-latek rzucił korporację i zaczął doradzać wyłącznie Ryanowi.

Gdy na początku lat 90. O'Leary jako 30-latek przejął stery firmy regionalnego przewoźnika, niewielkiej linii lotniczej groziło rychłe bankructwo. W 1991 r. na pokładzie sześciu samolotów przewoziła ona 650 tys. pasażerów rocznie i generowała ogromne straty. Młody biznesmen najpierw poradził swemu mocodawcy, aby ją zamknąć. Za radą Tony'ego Ryana udał się jednak do Stanów Zjednoczonych, aby zobaczyć, jak działają linie Southwest Airlines – praprzodek rodu tanich linii.

8931 euro

TYLE DZIENNIE ZARABIA MICHAEL O'LEARY

O'Leary nie tylko umiejętnie podpatrzył model działania amerykańskiego przewoźnika, lecz także pobił mistrza, zminimalizować wszelkie koszty, stworzyć największą europejską tanią linię lotniczą, która działa w 33 krajach, której samoloty startują z ponad 200 lotnisk i która przewozi ponad 100 mln pasażerów rocznie.

Recepta na sukces była prosta: przewoźnik zaoferował bilety za bardzo niewielkie pieniądze, tnąc koszty, eliminując pośredników (O'Leary przekonywał, że agentów turystycznych należałoby wystrzelać) i żądając od pasażerów dodatkowych pieniędzy za wydawanie kart pokładowych na lotnisku, przewóz bagażu, podawane na pokładzie posiłki, możliwość wyboru miejsca etc.

W sumie Ryanair pobiera ponad 20 różnego rodzaju dodatkowych opłat, z których uzyskuje przychody w wysokości 1,98 mld dol. rocznie. A mają być jeszcze większe. Obecnie stanowią one bowiem 27 proc. przychodów, a prezes Ryanairu chce, aby do końca tej dekady wzrosły one do 30 proc. (dla porównania: w przypadku węgierskiej linii Wizz Air dodatkowe opłaty stanowią 39,4 proc. przychodów, a amerykański przewoźnik Spirit z opłat ekstra czerpie aż 46,4 proc. wpływów).

Michael O'Leary zaczął też zarabiać, udostępniając reklamodawcom możliwość przemalowania kadłubów swoich samolotów, w praktyce zamieniając je w olbrzymie billboardy. I wciąż ciął ceny biletów.

– Przez lata podróże samolotami były zarezerwowane dla bogatych pierdzieli. Teraz każdego stać na to, aby latać – podkreśla z charakterystyczną dla siebie gracją. Prezes irlandzkiego przewoźnika stał się jednak ulubieńcem nie tylko globtroterów dusigroszy, lecz także światowych inwestorów.

Kontrowersyjny biznesmen zmienił bowiem Ryanair w prawdziwą maszynkę do zarabiania pieniędzy. W 2001 r. irlandzki przewoźnik pierwszy raz przewiózł w ciągu miesiąca ponad milion pasażerów. W 2004 r. stał się – według firmy Google – najczęściej wyszukiwaną w Internecie siecią lotniczą. A w sierpniu 2005 r. przewiózł w Europie więcej pasażerów niż British Airways na całym świecie.

W zeszłym roku operacyjnym, od kwietnia 2016 do marca 2017 r., irlandzki przewoźnik miał 6,65 mld euro przychodów i 1,53 mld euro zysku operacyjnego. To świetny wynik. Dla porównania Lufthansa, czyli sztandarowy przedstawiciel tradycyjnych przewoźników, wypracowała w 2016 r. 1,78 mld euro zysku netto, ale aby móc pochwalić się akcjonariuszom takim wynikiem, niemiecka linia musiała wygenerować aż 31,66 mld euro przychodów. Jednocześnie Ryanair odebrał w zeszłym roku ponad 50 nowych samolotów, otworzył 10 baz i uruchomił ponad 200 nowych tras.

Sam O'Leary na kierowanej przez siebie linii dorobił się fortuny. Jego majątek szacuje się od 750 mln do 1 mld euro, dzięki czemu prezes Ryanairu należy do grona najzamożniejszych Irlandczyków. Lecz choć pieniędzy wystarczy mu, aby do końca życia nie musieć już pracować, to wciąż jest bardzo zajęty. Biznesmen skandalista bardzo dba o prywatność, niewiele opowiada o swoim życiu

eprasa.pl 71a92482cc

Prezes Ryanairu lubi się przebierać. Występował przebrany za papieża, telefon komórkowy czy za przyjaciela Batmana, Robina FOT. SUZANNE PLUNKETT/REUTERS/FORUM

osobistym, żonie czy dzieciach. Wiadomo jednak, że w olbrzymiej rezydencji mieszka wraz z żoną Anitą Farrell, finansistką. Szef linii lotniczej poznał ją dopiero tuż przed czterdziestką, bo wcześniej – jak sam podkreślał – po prostu zbyt wiele pracował, aby angażować się w jakieś dłuższe romantyczne związki. Para pobrała się w 2004 r. i ma już trzech chłopców i córeczkę. Prezes Ryanairu przyznaje jednak, że nigdy nie miał zbyt wiele czasu na zmienianie pieluch. Niewiele czasu ma również na swoje hobby: hodowlę koni wyścigowych.

OGR I KOPALNIA SOLI

– Ludzie pytają, jak to możliwe, że mamy tak niskie ceny biletów. Mówię im, że nasi piloci latają za darmo – to jeden z najsłynniejszych cytatów prezesa Ryanairu. Biznesmen bez ogródek drwił również z tych pilotów, którzy protestowali przeciwko złym warunkom zatrudnienia. – Jeżeli to taka syberyjska kopalnia soli, a ja jestem takim ogrem, to dlaczego wciąż pracują dla tej linii? Jeśli którykolwiek z naszych chłopaków nie jest zadowolony z obecnego kontraktu, może pójść gdziekolwiek indziej. Życzę im powodzenia – drwił O'Leary. Pytany o to, co najlepiej motywuje pracowników – według prezesa stanowiących nie tyle największą wartość, ile największy koszt każdej firmy – odpowiedział zaś krótko: „Strach".

Te cytaty zapewne doskonale znają piloci największej europejskiej taniej linii. Mistrz taniego latania niespodziewanie wpadł jednak we własne sidła. Latem wielu z nich postanowiło wziąć sobie do serca radę prezesa i... odeszło do konkurencyjnych przewoźników, a zwłaszcza do wyjątkowo ekspansywnej linii Norwegian – niedoszłego partnera biznesowego Ryanairu. Latający na boeingach 737 są bowiem łakomym kąskiem na globalnym rynku, na którym coraz bardziej brakuje pilotów. Tylko norweskie linie zatrudniły w tym roku ponad 140 pilotów, którzy wcześniej latali dla irlandzkiego przewoźnika. Przedstawiciele Norwegów zapowiedzieli jednocześnie, że będą potrzebować jeszcze więcej nowych pracowników.

Sam O'Leary – który przekonuje, że Norwegian „może nie przetrwać zimy", bo linii „kończy się gotówka" – kłopoty z odwoływaniem lotów tłumaczył źle zaplanowanymi urlopami pilotów we wrześniu i w październiku oraz koniecznością poprawienia punktualności samolotów. Najprawdopodobniej przyczyną tak poważnych kłopotów taniej linii jest połączenie obu tych czynników. Pewne jest jedno: Ryanair poinformował o odwołaniu ok. 20 tys. lotów w ramach jesienno-zimowego rozkładu i zawieszeniu 34 tras. Kłopoty przewoźnika odczuli też podróżni korzystający z lotnisk w Krakowie, Gdańsku, podwarszawskim Modlinie czy na warszawskim Okęciu.

Szacuje się, że kłopoty irlandzkiego przewoźnika dotknęły ponad pół miliona pasażerów, w tym około kilkadziesiąt tysięcy podróżnych z Polski. W zamian poszkodowani mogą zgodzić się na podróż w innym terminie lub zażądać zwrotu pieniędzy. W tym wypadku prezes Ryanairu słynący z kategorycznego podkreślania, że zwrotów nie uwzględnia, zapowiedział, że wypłaci wszystkie należne odszkodowania.

REWOLUCJA?

W zeszłym tygodniu pracownicy Ryanairu sięgnęli po nowy oręż w walce z szefem, który odmawia uznania związków zawodowych: stworzyli nieoficjalny związek tych, którzy żądają lepszych warunków zatrudnienia. Jak poinformował brytyjski dziennik „The Guardian", w ten sposób piloci chcą przechytrzyć prezesa Ryanairu, którego ludzie wolą negocjować warunki zatrudnienia z przedstawicielami konkretnych baz. Oczywiście przedstawicielom Ryanairu – rzecznik linii ogłosił w roku 2012, że aby zmniejszyć obciążenie samolotów, zachęca ona pracowników do odchudzania i prezentowania się w strojach bikini w dorocznym kalendarzu – chodzi o to, aby wszystkim płacić możliwie jak najmniej. Członkowie załóg skarżyli się również brytyjskim i irlandzkim dziennikarzom, że przed podpisaniem umowy muszą zapłacić za rozmowę o pracę, a jeśli przejdą do kolejnego etapu – również za test na symulatorze. Pracownicy sami muszą płacić nie tylko za szkolenia, lecz także za mundury oraz posiłki. Pracownicy mają też zakaz używania służbowego prądu do ładowania prywatnych telefonów komórkowych.

Piloci irlandzkiej taniej linii w walce o lepsze warunki pracy zyskali również wsparcie finansowe kolegów po fachu z American Airlines. Szefowi Ryanairu w wyjściu z własnych tarapatów pomóc mogą nagłe kłopoty konkurentów. W zeszłym tygodniu z powodu problemów finansowych upadłość ogłosiły linie Monarch Airlines, piąty pod względem wielkości przewoźnik lotniczy w Wielkiej Brytanii.

Skórę prezesa uratować mogą też najnowsze dane. Wynika z nich, że mimo kłopotów z odwoływaniem lotów irlandzka linia przewiozła we wrześniu 11,8 mln pasażerów, czyli o 10 proc. więcej niż w zeszłym roku. Największy skandalista branży lotniczej ma więc spore szanse, aby przetrwać niespodziewane pikowanie i znów przekonywać, że już wkrótce wszyscy będą mogli latać już nie za funta czy złotówkę, lecz kompletnie za darmo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„500+" dla każdego Polaka!

Sukces programu „500+" już rozbudził – i dalej rozbudza – apetyty. Sukces niekoniecznie, przynajmniej na razie, liczony wzrostem liczby rodzących się dzieci, a temu przecież – zgodnie z intencją jego twórców – miał służyć, lecz na pewno realnie zmniejszający w Polsce obszary biedy, a to też zdobycz nie do przecenienia. A zatem sukces programu „500+" rozbudza apetyty – rządzących i rządzonych, a także opozycji.

Elżbieta Rafalska, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, już zdradziła, że rząd nosi się z zamiarem wprowadzenia corocznego dodatku w wysokości 500 zł dla najbiedniejszych emerytów – tych, którzy otrzymują świadczenia w wysokości do 1,5 tys. zł miesięcznie. Minister edukacji narodowej Anna Zalewska zapowiedziała z kolei dodatek „500+" dla nauczycieli dyplomowanych; dodatek, który „ma ich motywować do doskonalenia się i dowartościować". Niewykluczone, że starania o własne „500+" dla tych par, które mogą się poszczycić 50 latami pożycia małżeńskiego, podejmie minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Błaszczak. W każdym razie zaapelowali o to do niego samorządowcy z Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego, a wiceszef MSWiA Sebastian Chwałek nie powiedział „nie" i przyznał, że to „ciekawa propozycja".

Jednak pewnie i na tym nie koniec dobrych wieści, bo nie chce mi się wierzyć, żeby swoich „500+" nie chcieli mieć – do rozdawania – i inni ministrowie. Na przykład minister Szyszko – dla leśników, minister Radziwiłł – dla lekarzy, a minister Gliński – dla twórców. A już z całą pewnością zwolenników „500+" nie zabraknie wśród tych, którzy też chcieliby dołączyć do obdarowywanych jakimś dodatkiem. W końcu jak rozdawać, to dostawać!

Zaraz, zaraz, nie koniec… dobrych wieści? Dla kogo dobrych, dla tego dobrych. Wieści więc z pewnością dobrych dla beneficjentów tych wszystkich szykowanych programów rozdawniczych – a obserwując dotychczasowy zapał polityków PiS, można być pewnym, że pomysłów na ich mnożenie im nie zabraknie. Za to – z drugiej strony – wieści znacznie gorszych dla tych, którzy co miesiąc muszą się zrzucać, raz po raz odejmując sobie od ust, by sprostać szerokiemu gestowi rządu. A tak się jakoś składa, że rządzący, przy okazji ogłaszania kolejnych prezentów robionych przez siebie jednym obywatelom za pieniądze innych obywateli (i zarazem podatników), nawet słowem nie raczą wspomnieć, iż w tym samym czasie – po to, by starczyło na nowe wydatki, trzeba wprowadzić nowe podatki (bankowy) i parapodatki (od prądu, wody i torebek plastikowych) oraz podnieść wysokość już istniejących. A przecież już nawet dzieci wiedzą, że twierdzenie, iż pieniędzy na wszystko wystarczy dzięki uszczelnieniu systemu podatkowego, jest jaskrawym dowodem na oszczędne gospodarowanie prawdą. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Transport przyszłości

Mimo że każdy przedmiot, którego używamy, ma trzy wymiary, żyjemy w dwuwymiarowych miastach. Mapa miasta ma dwa wymiary, poruszamy się też w dwóch wymiarach. Czasami gdy przez miasto przechodzi estakada lub linie metra, ktoś przemieszcza się nad nami lub pod nami, ale to należy do rzadkości. Ponieważ wykorzystujemy tylko dwa wymiary z trzech powszechnie dostępnych (podróż w czwartym wymiarze, czyli teleportacja, jest na razie niedostępna), efektem są koszmarne korki w prawie wszystkich większych miastach świata. Ma to jednak wkrótce ulec zmianie. Wiele firm – w USA, Europie, Zatoce Perskiej i Chinach – testuje transport dronowy.

Przepisy ruchu trójwymiarowego stworzy komputer, a nie człowiek

Dron nie tylko będzie w stanie dostarczyć mały pakunek, nad czym intensywnie pracuje Amazon, lub drinka w drogim hotelu, lecz także pojawiają się pierwsze taksówki-drony i ciężarówki-drony. Już w kolejnej dekadzie, aby przemieścić się w godzinie szczytu z pracy do domu, nie trzeba będzie stać w korkach, zabierze nas taksówka-dron. Na razie nie istnieje nawet słowo, które będzie określało taki środek transportu, może będzie to „dronkab" („drontrak" dla ciężarówki), „latax", a może zupełnie inne. Tego nie wiadomo, ale wiadomo, że ta innowacja zrewolucjonizuje miejski ekosystem. Zaczniemy się poruszać w trzech wymiarach. Na początku dronkabami będą latali bogaci, a biedni będą stali w korkach, ale wraz z postępem technologicznym ceny spadną i powietrze zapełni się dronkabami, drontrakami oraz prywatnymi dronlotami.

Wszyscy znamy przepisy dwuwymiarowego ruchu drogowego. Jak jednak będą wyglądały przepisy ruchu trójwymiarowego? Będą to przepisy dla sztucznej inteligencji, która będzie sterowała dronkabami i dronlotami, a nie dla ludzi. I prawdopodobnie przepisy stworzy komputer, a nie człowiek. Zresztą spory sądowe w sprawach wypadków dronkabów też będzie rozstrzygał komputer, po analizie terabajtów wszystkich dostępnych danych, w ciągu kilku minut.

Jeżeli komuś wydaje się, że opisuję fikcję, której doświadczą nasze wnuki, to się myli. Pierwsze dronkaby pojawią się już ok. 2020 r., prawdopodobnie w Dubaju, a potem w wielu innych miastach w krajach rozwiniętych i w końcu zawitają do Polski. Ciekawe, kiedy powstanie w naszym państwie pierwszy wieżowiec przystosowany do obsługi dronkabów i czy pojawi się polska firma, która będzie produkowała dronkaby, dronloty i drontraki? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 71a92482cc

Mieszkanie na wielki

Łukasz Zboralski

Właśnie rozpoczęło się przyznawanie mieszkań z rządowego programu. I już widać, że „Mieszkanie Plus" może powtórzyć sukces programu „Rodzina 500+". Po lokale ustawiły się kolejki chętnych, niektórzy wracają z emigracji

Przed startem programu „Rodzina 500+" przeciwnicy rządu wieszczyli mu wielkie fiasko. Podobnie sceptycznie podchodzono do ogłoszonego w czerwcu 2016 r. programu „Mieszkanie Plus". Wprawdzie trudniej było już całkowicie podważyć plan PiS, bo od trzech miesięcy rodziny otrzymywały po 500 zł na drugie i kolejne dziecko, jednak sceptycyzmu nie brakowało. Część branży deweloperskiej twierdziła, że tak tanio, jak zakłada władza, nie da się zbudować mieszkań.

Pesymizm co do „Mieszkania Plus" zwiększało też to, że od ogłoszenia projektu do pierwszych decyzji, nie mówiąc już o pierwszych mieszkaniach, upływało sporo czasu. To między innymi dlatego na kongresie Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński w pewien sposób pogroził palcem ministrowi Andrzejowi Adamczykowi. I dlatego zapewne przed każdą ewentualną rekonstrukcją gabinetu Beaty Szydło to właśnie szef resortu infrastruktury i budownictwa pojawiał się w plotkach jako jeden z tych, którzy mogą posady stracić.

Okazuje się jednak, że minister Adamczyk może chyba spać spokojnie, bo wszystkie znaki wskazują, że program „Mieszkanie Plus" okaże się sukcesem. A opozycja znów będzie się zastanawiać jak to możliwe, że żaden z ich poprzednich rządów nie wpadł na plan tak prosty, a jednak rozwiązujący jeden z największych problemów Polaków. Bo choć rynek pracy i wcześniej działał nie najgorzej, to o własny kąt w kraju nie było łatwo. A cóż po lepiej płatnym miejscu pracy, gdy większość pieniędzy trzeba przeznaczać na wynajem? I jakie można mieć poczucie bezpieczeństwa dla rodziny, gdy rozpoczyna się życie jako młode małżeństwo z 30-kilkuletnim kredytem hipotecznym i z perspektywą, że przez te lata odda się bankom w sumie dwa razy tyle, ile wart jest kupowany lokal?

Trudno nie zauważyć, że PiS – proponując mieszkania tym, którzy nie załapują się na mieszkania socjalne, ale jednocześnie nie mają szans na kredyty – wstrzelił się idealnie w potrzeby ludzi. Sami rządowi analitycy szacowali, że dotyczyć to może nawet 40 proc. Polaków.

– Polska znajduje się w ogonie Europy pod względem liczby mieszkań na 1000 osób. Program „Mieszkanie Plus" odwróci tę niekorzystną tendencję – zapowiada „Do Rzeczy" minister Andrzej Adamczyk. I dodaje: – Zależy nam na tym, by Polacy mogli

eprasa.pl 71a92482cc

plus

Wizualizacja mieszkania i budynków, które powstają w Jarocinie w ramach programu „Mieszkanie Plus" FOT. JAROCIŃSKIE TOWARZYSTWO BUDOWNICTWA SPOŁECZNEGO SP. Z O.O.

podejmować odpowiedzialne decyzje o założeniu rodziny i posiadaniu potomstwa. Temu służą działania rządu Prawa i Sprawiedliwości. Wiemy przecież, że gdy nie ma gniazda – nie ma piskląt.

JAROCIN DA KLUCZE EMIGRANTOM

Ten, kto załapie się na mieszkanie w rządowym programie, ma móc je wynajmować za niewygórowany czynsz, a co najważniejsze – jednocześnie będzie w ten sposób nabywał prawa do własności. To jak kredyt na mieszkanie tylko bez bankowych odsetek i prowizji.

Jako pierwszy ruszył pilotaż programu, czyli inwestycje prowadzone przez spółkę BGK Nieruchomości SA z wykorzystaniem gruntów należących do samorządów, spółek Skarbu Państwa i prywatnych podmiotów. Pierwsze budowy ruszyły w Białej Podlaskiej, Jarocinie i Wałbrzychu (we współpracy z samorządami) oraz w Pruszkowie i Gdyni (przy współpracy z podmiotami prywatnymi). Liczba osób zainteresowanych mieszkaniami przekroczyła najśmielsze oczekiwania instytucji zajmujących się inwestycjami.

– Dzwoni pan, gdy właśnie obradujemy z komisją, która przyznaje mieszkania – mówi „Do Rzeczy" Jerzy Wolski, prezes Jarocińskie TBS Sp. z o.o. – Zbudujemy w sumie 366 mieszkań, a wniosków o ich przyznanie wpłynęło 720. Czyli mamy po dwie rodziny chętne na jeden lokal. Wnioski złożyli mieszkańcy miasta, ale i mieszkańcy innych gmin, a nawet osoby z miast w innych województwach. O programie zrobiło się tak głośno, że zainteresowani naszymi mieszkaniami byli też ludzie z Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i USA. To rodziny, które wracają z emigracji. I one były u nas na pierwszym miejscu, im już mieszkania przyznaliśmy – ujawnia.

W Jarocinie w trzech lokalizacjach – w dwóch na terenie miasta i jednej na terenie wiejskim – powstaje właśnie 258 mieszkań. A w tym tygodniu inwestorom przekazany ma zostać plac pod kolejnych 108 lokali. W budynkach będą dwa rodzaje mieszkań: większe – o powierzchni 55 mkw. (dwie sypialnie, pokój dzienny, aneks kuchenny, łazienka i pomieszczenie gospodarcze) – oraz mniejsze o powierzchni 35 mkw. (pokój z aneksem, łazienka

eprasa.pl 71a92482cc

i pomieszczenie gospodarcze). Do pierwszych lokali najemcy mają wprowadzić się w marcu przyszłego roku. – Wszystkie trzy lokalizacje są w pobliżu szkół i przedszkoli, bo nasz program przede wszystkim adresujemy do młodych małżeństw, które mają dzieci w wieku do 15 lat. To dla nas priorytet – tłumaczy prezes Wolski.

Rodziny w jarocińskich mieszkaniach będą płacić czynsz w wysokości 12 zł za metr kwadratowy, a w mieszkaniach na terenie wiejskim – 11 zł.

BIAŁA PODLASKA ZASYPANA WNIOSKAMI

Jeszcze większe zainteresowanie jest mieszkaniami, które powstają w Białej Podlaskiej. To tam w grudniu ubiegłego roku oficjalnie zainaugurowano start programu „Mieszkanie Plus". Łopatę pod budowę trzech bloków, w których powstanie 186 mieszkań, wbił sam Jarosław Kaczyński. A wicepremier Mateusz Morawiecki podkreślał, że u podstaw sukcesu wielu krajów zachodniej Europy stały właśnie takie programy jak ten.

Na jedno mieszkanie powstające w ramach programu w Białej Podlaskiej chętnych jest już ok. pięciu rodzin. Do teraz urzędnicy przyjęli blisko tysiąc wniosków. A te będą jeszcze spływać – termin ich przyjmowania minie dopiero z końcem tego roku. Urzędnicy z Zakładu Gospodarki Lokalowej w Białej Podlaskiej przyznawali w mediach, że liczba chętnych na „Mieszkanie Plus" przerosła ich najśmielsze oczekiwania. Dlaczego tak wielu stara się o mieszkanie z tego programu?

– Jest to atrakcyjne przede wszystkim z tego prostego powodu, że można to porównać do nieoprocentowanego kredytu na mieszkanie – ocenia Michał Trantau, rzecznik Urzędu Miasta Białej Podlaskiej. – Myślę, że to najbardziej kusi mieszkańców. No i jest to pierwsza inwestycja z tego programu w Polsce, więc naprawdę wiele osób się nią interesuje – dodaje.

W trzech blokach, pod które grunty dał samorządowy ZGL, powstaną mieszkania trzypokojowe i dwupokojowe. Jak zdradzają urzędnicy, zamieszkać w nich chcą głównie mieszkańcy Białej Podlaskiej. Chociaż są też wnioski od Polaków z zagranicy. Podobnie jak w przypadku Jarocina to rodziny, które chcą wrócić do kraju m.in. z Wielkiej Brytanii czy Niemiec.

Pierwszeństwo mają mieć młode małżeństwa z dziećmi, a wyłoniłby je specjalny system komputerowy, który przetworzy wprowadzone dane we wnioskach. Ci, którym się uda, na swój życiowy start będą musieli się jeszcze trochę przygotować – mieszkania, które do nich trafią, będą w stanie deweloperskim. Lokale mają zostać oddane w pierwszym kwartale przyszłego roku. – Czynsz, w zależności od metrażu, będzie wynosił 750–1000 zł miesięcznie – mówi Trantau. – Wynajęcie mieszkania w Białej Podlaskiej kosztuje porównywalnie, a nierzadko nawet więcej.

Pierwsze inwestycje to zaledwie początek. Dopiero w lipcu tego roku uchwalona została ustawa o Krajowym Zasobie Nieruchomości. To ona pozwoli na wykorzystanie gruntów Skarbu Państwa pod kolejne mieszkania dla Polaków. Jednocześnie BGK nadal będzie prowadził inwestycje wykorzystujące inne grunty. – Przy czym nie jest wykluczona w tym zakresie współpraca ze spółkami Skarbu Państwa, o czym świadczy wstępna umowa inwestycyjna z Pocztą Polską z 13 lipca tego roku, przewidująca wybudowanie na gruntach pocztowych ok. 1,1 tys. mieszkań w Warszawie – wskazuje Szymon Huptyś, rzecznik prasowy Ministerstwa Infrastruktury i Budownictwa.

Przygotowania do inwestycji mieszkaniowych trwają już w kolejnych 27 miejscowościach: Toruniu, Włocławku, Świdniku, Zamościu, Sulęcinie, Witnicy, Łowiczu, Łodzi, Tomaszowie Mazowieckim, Wieluniu, Skawinie, Radomiu, Warszawie, Nysie, Dębicy, Stalowej Woli, Kępicach, Pelplinie, Starogardzie Gdańskim, Czeladzi, Katowicach, Nidzicy, Kępnie, Kole, Poznaniu, Sianowie i Złocieńcu.

Na jedno mieszkanie w Białej Podlaskiej przypada już pięciu chętnych, a nabór wniosków w tym mieście będzie trwał jeszcze do końca roku

„Mieszkanie Plus" z pewnością zaspokoi potrzeby mieszkaniowe wielu rodzin. Jednak pod względem gospodarczym nie wszyscy widzą w nim wyłącznie zalety. A przynajmniej nie w tej formie. – Moja obawa dotycząca obu tych programów, czyli „500+" i „Mieszkanie Plus", jest taka, że one zachęcają ludzi, żeby żyli i mieszkali całe życie tam, gdzie się urodzili, także w mniejszych miejscowościach, gdzie rynek pracy nie kwitnie – mówi Maciej Bitner, główny ekonomista WiseEuropa. – Z punktu widzenia rozwojowego nie jest to korzystne, podatnicy de facto subsydiują działalność antyrozwojową. Oczywiście, ludzie będą korzystali z tej zaszytej, nieoprocentowanej pożyczki na własne mieszkanie i pewnie wielu to uszczęśliwi. Ja to rozumiem. Natomiast dostrzegam brak korzyści społecznej, która by występowała, gdyby te mieszkania powstawały głównie w ośrodkach rozwijających się, przede wszystkim w dużych miastach. Przemieszczanie się pracowników do dynamiczniej rozwijających się rejonów kraju jest jednym ze źródeł – dość słabo w Polsce wykorzystywanym – wzrostu PKB. Tymczasem mamy pomysł utrwalający stan, w którym w Polsce przestała rosnąć urbanizacja, a paliwo rozwojowe, którego potrzebują większe miasta, przestało płynąć. Sytuacja demograficzna niestety nie daje szans na wzrost liczby mieszkańców w dużych miastach, który nie odbywałby się kosztem mniejszych miejscowości. Tymczasem w zglobalizowanej gospodarce potrzebujemy silnych i rozwijających się dużych ośrodków pozwalających na optymalną skalę wykorzystania współczesnych technologii i technik organizacyjnych.

Za to polityczny sukces PiS powinien sobie zapewnić. Zdaniem politologa dr. Jarosława Flisa jednak głównie dlatego, że sukces „Mieszkania Plus" znów przyćmi opozycję, która takich programów nie podejmowała, będąc u władzy. – „Niedasizm" to jest problem, który dotychczas rządzących Polską kosztował utratę władzy. Okazuje się, że jednak pewne rzeczy da się zrobić – mówi dr Flis. – Pozostaje jednak inna kwestia. Finanse państwa są w stanie wiele rzeczy znieść przez jakiś czas. Stąd pytanie, jak długo te programy pociągną.

Zdaniem dr. Flisa także sukces polityczny też nie jest tak oczywisty do zdyskontowania. Wskazuje na tzw. problem buntownika – czyli trudność w utrzymaniu poparcia, gdy władza z rzecznika niezadowolonych musi zmienić się w inną. – Jeśli zadowolenie rośnie, to zmniejsza się liczba tych, którzy ją popierają – mówi politolog. – PO też np. budowała autostrady i wydawało się, że Polacy będą jej wdzięczni dozgonnie. Tylko że jak już się coś zbudowało, to trudno się chwalić, że się to zbuduje. Człowiek przestaje pamiętać, że wcześniej miał jakieś niezaspokojone potrzeby. Przecież na wodociągi zwracamy uwagę wtedy, kiedy wody w kranie nie ma. Jak jest, niewiele nas wodociągi obchodzą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 71a92482cc

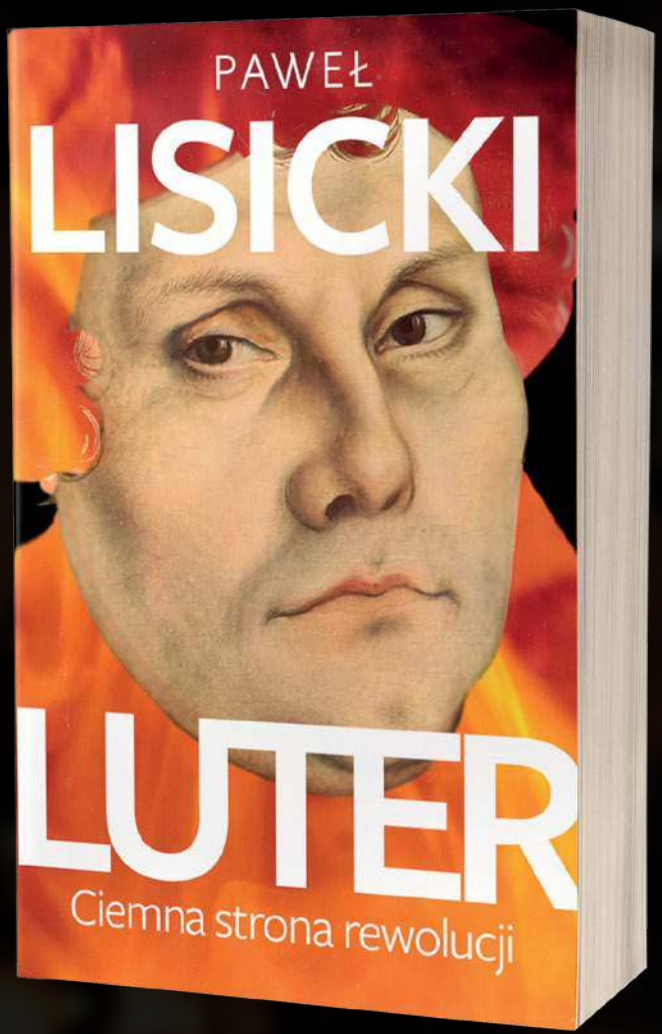

PRAWDZIWE OBLICZE REFORMATORA KOŚCIOŁA

Kup w pakiecie z e-bookiem na www.xlm.pl

wydawnictwo FRONDA · DO RZECZY · POLSKIE RADIO · XLM.PL Księgarnia Ludzi Myślących

eprasa.pl 71a92482cc

Szpiczak czeka na leki

debata DO RZECZY

Katarzyna Pinkosz

Eksperci obecni na debacie „Do Rzeczy" byli zgodni: konieczne są szybsze rozpoznanie szpiczaka i możliwość stosowania nowoczesnych terapii. Inaczej nie będzie on, tak jak w innych krajach, chorobą przewlekłą

Diagnozę „szpiczak plazmocytowy" słyszy co roku 1,5 tys.–1,8 tys. osób w Polsce. To trzeci pod względem częstości występowania nowotwór krwi, choroba „niezawiniona": nie zależy od stylu życia, diety, aktywności fizycznej. Nie można nic zrobić, by jej zapobiec.

W dodatku rozwija się skrycie, przez długi czas nie dając żadnych objawów lub są one tak niespecyficzne, że nawet lekarze nie podejrzewają choroby nowotworowej. Na szpiczaka zapadają zwykle osoby po 65. roku życia, a jeśli w tym wieku ktoś zgłasza się do lekarza z bólem pleców, to myśli on raczej o chorobie zwyrodnieniowej. Częste infekcje skłaniają lekarza do osądu, że jest to spadek odporności, normalny w tym wieku. Nie włącza się również sygnał alarmowy w przypadku anemii, gdyż może ona być spowodowana niewłaściwym odżywianiem lub charakterystycznym dla wieku pogorszeniem przyswajania składników odżywczych. – Szpiczak zwykle rozwija się skrycie, czasem pierwsze objawy przypominają banalną chorobę – potwierdza prof. Wiesław Jędrzejczak, konsultant krajowy w dziedzinie hematologii.

Chorzy często przez wiele miesięcy, a zdarza się, że nawet lat, chodzą od lekarza do lekarza w poszukiwaniu właściwej diagnozy. Niestety, im późniejsze rozpoznanie i rozpoczęcie leczenia, tym jest ono trudniejsze. Dlatego hematolodzy z Polskiej Grupy Szpiczakowej i Polskiego Konsorcjum Szpiczakowego opracowują specjalny kalkulator diagnostyczny, który ma ułatwić lekarzom rodzinnym szybsze rozpoznanie szpiczaka. – Zwróciliśmy uwagę na objawy, które zgłaszali chorzy. 70 proc. z nich skarżyło się na dolegliwości bólowe kości, 61 proc. miało zmiany osteolityczne, 56 proc. osłabienie. U prawie połowy wykryto białko w moczu, a jedna trzecia miała złamania – mówi prof. Krzysztof Giannopoulos, kierownik Oddziału Hematologicznego Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej.

Eksperci chcieliby, żeby w przypadku wystąpienia tego typu dolegliwości lekarze rodzinni byli bardziej wyczuleni i kierowali pacjentów na dodatkowe badania: m.in. morfologię, stężenia kreatyniny we krwi (wskazuje na problemy z nerkami), OB i CRP (pokazują, czy jest stan zapalny), a także na badanie sprawdzające obecność we krwi tzw. białka monoklonalnego, którego podwyższona ilość może wskazywać na szpiczaka. – Lekarze rodzinni powinni być czujni, doskonale zdajemy sobie sprawę, że od szybkiej diagnozy zależy szybkie podjęcie leczenia i jego efekt – potwierdza dr Michał Sutkowski, rzecznik prasowy Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce.

CEGIEŁKI ŻYCIA

Szpiczaka można wyleczyć jak na razie tylko dzięki przeszczepieniu szpiku (od dawcy spokrewnionego lub obcego), jednak tę metodę można zastosować tylko u młodych pacjentów, gdyż jest obarczona wieloma czynnikami ryzyka. U starszych pacjentów, których jest zdecydowana większość, trzeba stosować kombinację dwóch lub trzech leków, które co prawda nie są w stanie wyleczyć choroby, ale na pewien czas ją zatrzymują.

Kilkanaście lat temu zdiagnozowanie szpiczaka oznaczało, że choremu pozostały średnio dwa–trzy lata życia, a często nawet mniej. Przełomem było pojawienie się po 2000 r. talidomidu – pierwszego leku immunomodulującego. Wkrótce potem pojawiły się kolejny lek z tej grupy – lenalidomid – oraz pierwszy lek z tzw. inhibitorów proteasomu – bortezomib. Dzięki nim średnia życia chorych wydłużyła się do sześciu–siedmiu lat.

Niestety, szpiczak na razie jest „sprytniejszy" od leków, po pewnym czasie przełamuje ich działanie i powraca. – Każdy nawrót oznacza pojawienie

eprasa.pl 71a92482cc

Podczas debaty „Do Rzeczy" eksperci postulowali udostępnienie nowych leków także polskim pacjentom FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

się nieco innego podklonu komórek nowotworowych, dlatego dobrze jest podawać chorym leki nowocześniejsze lub o innym mechanizmie działania. Nowe terapie przedłużają życie. Podczas ostatniej konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Hematologów mówiono, że dziś nowo zdiagnozowani pacjenci będą żyli więcej niż 10 lat, jeśli będą mieli możliwość stosowania nowych leków – dodaje prof. Krzysztof Giannopoulos.

Hematolodzy oceniają, że chorzy na szpiczaka w Polsce na początku są leczeni zgodnie ze standardami – podobnie jak w innych krajach Europy. Gorzej jest w sytuacji, gdy choroba nawraca trzeci lub kolejny raz. Na świecie w takich przypadkach stosuje się leki nowej generacji, które są w stanie zabić nawet te oporne komórki nowotworowe. Od 2013 r. zarejestrowano już sześć nowych terapii. – W ostatnich latach dokonała się rewolucja w leczeniu szpiczaka. Każdy lek to cegiełka, która buduje życie chorego na szpiczaka. Im więcej ich mamy, tym większa szansa, że chory będzie żyć dłużej – potwierdza dr Dominik Dytfeld z Katedry i Kliniki Hematologii UM w Poznaniu, prezes Polskiego Konsorcjum Szpiczakowego.

Na razie polscy pacjenci nie mogą skorzystać z nowych leków, bo żaden z nich nie jest w Polsce jeszcze refundowany. Nie wszystkie co prawda zostały zgłoszone przez firmy do procesu refundacyjnego (a bez tego nie jest możliwe udostępnienie ich pacjentom), jednak jeden z nich czeka na decyzję od dłuższego czasu.

– Podsumowałem zastosowanie pomalidomidu w różnych klinikach u chorych na zaawansowanego szpiczaka plazmocytowego. U ponad 60 proc. pacjentów nastąpiła poprawa. To bardzo dużo, jeśli wziąć pod uwagę to, że ci pacjenci stosowali wcześniej od dwóch do ośmiu linii leczenia – opowiada dr Grzegorz Charliński z Oddziału Hematologii Specjalistycznego Szpitala Miejskiego im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Postępowania w ministerstwie

Z informacji przesłanych przez Milenę Kruszewską, rzeczniczkę Ministerstwa Zdrowia, wynika, że obecnie toczą się w resorcie postępowania refundacyjne dotyczące trzech leków w nawrotowym i opornym szpiczaku. Są to: panobinostat (dla chorych po co najmniej dwóch schematach leczenia i wznowie choroby), karfilzomib (po co najmniej jednym schemacie leczenia) oraz pomalidomid (po co najmniej dwóch schematach leczenia). Postępowanie w stosunku do dwóch pierwszych leków zostało zawieszone na wniosek producentów. Obecnie w Ministerstwie Zdrowia toczy się jedynie postępowanie w stosunku do pomalidomidu.

eprasa.pl 71a92482cc

– Pomalidomid jest bardzo ciekawym lekiem, działa nie tylko immunomodulująco, lecz także antynowotworowo. Jest jak siekiera, która „obcina łapki" komórkom nowotworowym. Oddziałuje też na cytokiny prozapalne. Wielokierunkowość działania tego leku jest jego zaletą i dobrym wskazaniem do stosowania dla pacjentów – przekonuje dr n. farm. Leszek Borkowski, farmakolog kliniczny i prezes Fundacji „Razem w Chorobie".

Nowe terapie powodują, że szpiczak coraz częściej staje się chorobą, z którą można żyć przez wiele lat, jeśli przyjmuje się kolejne leki. – Ubolewamy nad tym, że nie możemy stosować nowoczesnych terapii. Mamy nadzieję, że się to zmieni– dodaje dr Dytfeld.

W DOMU CZY W SZPITALU

Po szoku pierwszej diagnozy pacjenci starają się normalnie żyć. Wielu z nich, gdy lek pokonuje chorobę, docenia każdy dzień, realizuje pasje, pracuje, podróżuje, opiekuje się wnukami. Stają przed dramatyczną sytuacją, gdy dowiadują się, że ta kombinacja leków, którą przyjmują, jest ostatnią z refundowanych w Polsce i pozostaje dylemat, czy sprzedać dom, by kupić dla siebie szansę na życie? W podobnej sytuacji są bliscy. Pytają: Co zrobić, gdy choruje matka, ojciec, żona, mąż?

Koszty leczenia to problem nie tylko Polski. Również inne kraje dokładnie przypatrują się każdej nowej terapii, ważąc „za" i „przeciw", zanim zdecydują o refundacji. Tylko w Niemczech i Szwajcarii nie ma ograniczeń w stosowaniu nowych leków w szpiczaku. W pozostałych krajach systemy ochrony zdrowia starają się udostępniać chorym najbardziej efektywne leki. We Francji, przy ocenianiu kosztów, bierze się pod uwagę m.in. to, czy chory musi przyjmować lek w szpitalu, czy jest to terapia doustna, którą można stosować w domu. To wygoda dla pacjenta, a także znaczne obniżenie kosztów dla systemu ochrony zdrowia.

– Leki doustne, takie jak pomalidomid i ixazomib, są bardzo wygodne, zwłaszcza dla chorych, którzy mieszkają daleko od ośrodka leczenia. Proszę sobie wyobrazić sytuację pacjenta, który ma jechać do szpitala na podanie leku dwa razy w tygodniu kilkadziesiąt kilometrów lub więcej. To udręka dla niego, a zwykle ktoś musi z nim przyjechać, co wyłącza go z pracy. To również koszty, które trzeba brać pod uwagę – przekonuje prof. Jędrzejczak.

Potwierdza to dr Michał Sutkowski, który w swojej praktyce spotyka osoby ze szpiczakiem i widzi, jak chorzy funkcjonują na co dzień. – Wysiłek rodziny jest ogromny, by zorganizować wyjazdy do szpitala kilka razy w miesiącu. System takich kosztów nie liczy, podobnie jak kosztów pomocy społecznej. One zostaną zredukowane dzięki właściwemu leczeniu, również doustnemu – dodaje dr Sutkowski.

Nowe leki są tak drogie, że przy obecnym poziomie wydatków w Polsce na ochronę zdrowia nie jest możliwe refundowanie wszystkich terapii dla wszystkich chorych. Eksperci uważają, że trzeba więc wybierać leki najbardziej efektywne, jak to jest w Czechach czy na Słowacji, w krajach o podobnym poziomie PKB na mieszkańca jak w Polsce. Jednak w tych krajach niektóre z nowych leków są dostępne dla pacjentów. – Szpiczak to niejednorodna choroba, u niektórych osób przebiega jednak ostrzej i bardziej dramatycznie. Chciałbym, by można było nowe leki podawać przynajmniej tym pacjentom, którzy są najbardziej poszkodowani przez los. Te leki wyrównują ich szanse – przekonuje prof. Jędrzejczak.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Debata „Wartość medycyny innowacyjnej w terapii szpiczaka plazmocytowego" została zainicjowana w ramach kampanii edukacyjnej „Wczesna diagnostyka szpiczaka plazmocytowego", której partnerami są: Polska Grupa Szpiczakowa, Polskie Konsorcjum Szpiczakowe oraz firma Celgene sp. z o.o.

dr Leszek Borkowski
– Gdy choroba jest przewlekła, nawrotowa, musi być cała gama leków, dlatego że pacjenci z chorobą nawrotową są innymi pacjentami niż na starcie leczenia. Bardzo się cieszę, że tych leków przybywa. Martwi mnie to, że tempo wprowadzania ich w Polsce nie jest takie jak w innych krajach.

prof. Krzysztof Giannopoulos
– Jesteśmy wdzięczni ministerstwu za ostatnie decyzje refundacyjne, bardzo korzystne dla chorych na chłoniaki i przewlekłą białaczkę limfocytową. Niezaspokojone potrzeby dotyczą chorych na nawrotowego szpiczaka opornego na leczenie. Liczymy na pozytywne działania ministerstwa w tym względzie, chcemy mieć narzędzia do pracy, z których będą korzystali pacjenci.

dr Dominik Dytfeld
– Jesteśmy świadomi kosztów nowych terapii, ale bez nich nie będzie postępu w leczeniu chorych. Jako lekarze jesteśmy świadomi ograniczeń finansowych i tego, że nie jesteśmy bogatym krajem. Myślę, że określimy pewne populacje pacjentów, dla których dostęp do nowoczesnych terapii będzie kluczowy, i że uda nam się stworzyć wspólnie z płatnikiem takie zasady, które pozwolą nam udostępnić leki przynajmniej tym pacjentom, którzy najbardziej tego potrzebują.

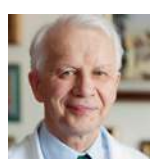

prof. Wiesław Jędrzejczak
– Nie można zapobiec chorobom hematoonkologicznym, takim jak m.in. szpiczak plazmocytowy. Usiłujemy polskim chorym udostępnić medycynę na poziomie niemieckim za pieniądze wielokrotnie mniejsze, co jest niemożliwe.

dr Michał Sutkowski
– Jako lekarze rodzinni jesteśmy bardzo zainteresowani nową ustawą o podstawowej opiece zdrowotnej. Mamy nadzieję, że lekarz rodzinny dostanie więcej możliwości diagnozowania chorego i opieki nad nim. Niewątpliwie jednak poziom finansowania opieki zdrowotnej w Polsce musi wzrosnąć. Czekamy na nowe rozwiązania.

dr Grzegorz Charliński
– Od kilku lat pracuję w Toruniu, gdzie dużą grupą leczonych przeze mnie osób są rolnicy. Jeśli mają przyjeżdżać często na podawanie leków w szpitalu, to rezygnują z takiego leczenia i wybierają terapię, która nie wiąże się z koniecznością tak częstych przyjazdów. Mimo że wiedzą, iż przez to ich leczenie będzie gorsze. Nie stać ich na częste przyjazdy.

eprasa.pl 71a92482cc

TEST „DO RZECZY": SKANER EPSON WORKFORCE DS-1630

Szybkie skanowanie jednostronicowe, niezłe darmowe oprogramowanie oraz stosunkowo niska cena urządzenia – to największe zalety uniwersalnego skanera Epsona.

Szybkość skanowania wynosi 25 stron na minutę, co jest niezłym wynikiem w tej klasie. Przydatny jest również automatyczny podajnik, który obsługuje do 50 arkuszy papieru. Skaner potrafi też skanować dwustronnie – funkcja duplex działa już jednak niestety relatywnie wolno (ok. 10–12 stron na minutę). Szybsza mogłaby być również funkcja zapisywania do wyszukiwalnego PDF. Podczas testów automatyczny podajnik przeważnie działał dobrze, chociaż przy skanowaniu mniejszych formatów zdarzały się zacięcia papieru.

Oprogramowanie dołączone do tego modelu skanera – współpracujące zarówno z system Windows, jak i MacOS oraz Linux – nieźle radzi sobie za to z rozpoznawaniem tekstu (OCR), co można docenić, m.in. skanując tony wizytówek. Jakość skanowanych dokumentów jest bardzo dobra.

Ten model Epsona umożliwia skanowanie zarówno do folderów, jak i na adres e-mailowy. Przydatne są też funkcje przycinania dokumentów, usuwania pustych stron, usuwania śladów po dziurkaczu etc. Po stronie plusów można też wpisać minimalistyczny design (do obsługi służą zaledwie trzy przyciski: „Power", „Cancel" oraz „Start"), niewielkie rozmiary (451 x 315 x 120 mm), niską wagę (3,7 kg) oraz intuicyjną obsługę urządzenia. Nieco obaw budzą plastikowe elementy podajnika papieru, przez co urządzenie może nie należeć do najtrwalszych na rynku. Mogą to być jednak tylko pozory.

Testowany skaner jest dobrym gadżetem, który można polecić zarówno do domu, jak i do małej firmy, w której skanuje się nie więcej niż 1,5 tys. dokumentów dziennie.

Cena: 1,2 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

PALUSZEK RANDKOWY

„Paluszek randkowy", bo tak chyba najlepiej można określić Tinda Finger, to gadżet przeznaczony dla użytkowników (użytkowniczek) mobilnych portali randkowych. Najprościej mówiąc, ów Tinda Finger – do złudzenia przypominający gumowy palec – podłączamy do USB i wprawiamy w ruch obrotowy, a on samoczynnie „smyrając" ekran, pozwala na przesuwanie zdjęć w aplikacjach randkowych na ekranie telefonu, nie męczymy więc własnej dłoni. Producent przekonuje, że to świetny wybór dla tych, którzy muszą przejrzeć ich naprawdę masę, zanim zdecydują się na wybór partnerki lub partnera. W ogóle wszystko to brzmi strasznie dwuznacznie i mało konserwatywnie, ale „paluszek randkowy" rzeczywiście istnieje i można go zamówić na Kickstarterze za ok. 40 zł od sztuki. Dostawa w grudniu.

ZŁODZIEJ NA KLISZY

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Zostaliście kiedyś okradzeni? Mnie zdarzyło się to raz, kiedy w jednym z warszawskich hosteli współlokatorka w wieloosobowym pokoju, korzystając z mojej nieobecności, postanowiła opuścić go wspólnie z zawartością mojego portfela. Jej łup, a moja strata na szczęście nie były na tyle duże, by fatygować sprawą policję, ale... No właśnie, gdybym wtedy dysponował Voltermanem, nie omieszkałbym dać złodziejce do wiwatu. Dla samej satysfakcji, by zobaczyć jej minę w momencie, gdy jej znajomi dzwoniliby z wieścią, że jej zdjęcie i fotografia cudzego portfela są na portalach społecznościowych. Dlaczego? Volterman Smart Wallet, inaczej niż telefony, które wyją i gwiżdżą, gdy znajdą się daleko od właściciela, ma w sobie ukrytą miniaturową, ale niezłą kamerkę. Gdy portfel znajdzie się w pewnym, ale niewielkim oddaleniu od właściciela, natychmiast prześle za pomocą Bluetooth dyskretny, ale słyszalny dla niego sygnał na smartfon, a właściciel w ten sposób natychmiast będzie mógł aktywować ustawienie „zagubiony portfel". Co to da? Otóż Volterman Smart Wallet natychmiast zrobi zdjęcie osoby, która ów portfel otworzyła, i prześle je właścicielowi. W dodatku sygnał GPS wskaże, gdzie Volterman Smart Wallet się znajduje. Działa też w drugą stronę. Przy zagubieniu telefonu portfel pozwala na aktywowanie w nim sygnału alarmowego, co ma umożliwić odnalezienie przedmiotu; może też służyć jako przenośny hotspot Wi-Fi. Na Indiegogo w cenie ok. 450 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 71a92482cc

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Dziewięć odmian jajecznicy

Jajecznica, dzisiejsze tradycyjne danie śniadaniowe, wydaje się niezmienna od kilkunastu pokoleń. Ot, bierzemy jajka, wbijamy do naczynia i mieszamy albo od razu wbijamy na patelnię z rozgrzanym masłem, a po kilku chwilach wszystko gotowe. Można jeszcze dorzucić dla smaku parę plasterków wędliny, trochę cebuli, czasem przed smażeniem zmieszać jajka z mąką, ze śmietaną lub z mlekiem. Nie zawsze jednak tak było.

Przede wszystkim dawne przepisy podają, żeby jajecznicę przygotowywać nie tylko na maśle, lecz także na tartej bułce, którą wysypuje się rondel „grubo na palec". Każde wbite jajko posypuje się zaś solą, pieprzem i siekaną cebulą. Według „Kucharki litewskiej" z końca XIX w. zwykła jajecznica zwie się po prostu „szarpana", podany jest także przepis na… taką ze śledziami. Po prostu oczyszczone i wypłukane sardele lub śledzie pozbawione ości siekamy drobno, mieszamy w osobnym naczyniu z rozbitymi jajkami, a potem „smażymy na roztopionym maśle do miernej gęstości". Oczywiście zamiast śledzia można użyć drobno pokrajanej szynki albo „innej jakiej wędliny". Jajecznicę przygotowuje się z jaj nie tylko kurzych, lecz także gęsich, a przykładem takich niechaj będą „jaja gęsie pieczone". Ot, bierzemy tyle jaj, ile osób, w każdej skorupie robimy małą dziurkę i wysączamy przez nią zawartość, z której na sporej łyżce masła smażymy „twardą jajecznicę". Później przecieramy ją przez sito, dorzucamy łyżkę tartej bułki, szczyptę kwiatu muszkatołowego i trochę posiekanej trybulki. Wbijamy też trzy lub cztery kurze jaja i mieszamy. Aby nie było zbyt łatwo, ową jajecznicę nakładamy cienką szprycą do pustych, gęsich skorup i jeszcze na koniec w tychże skorupkach pieczemy.

Niezwykłe doprawdy przepisy pochodzą z XVII w. Na przykład jajecznica skopowa, przygotowywana z rozmachem godnym magnackiego dworu. Ot, panie kochanku, bierzemy cały udziec skopowy, to znaczy część wykastrowanego odpowiednio barana, pieczemy go, a w trakcie przypiekania wyciskamy z niego sos na rynkę, którą wstawiamy w węgle i wbijamy do niej sześć jajek. Dodajemy jeszcze sok wyciśnięty z cytryny, startą gałkę muszkatołową, przysmażamy jajecznicę na skopowym tłuszczu i zajadamy dopóty, dopóki gorąca. Co robimy ze skopowym udźcem, tego „Moda bardzo dobra smażenia konfektów" nie podaje, ale zapewne czeladź ucieszy się z niego bardziej niż z jajecznicy z pańskiego stołu.

Prawdziwy szał to jednak francuskie przepisy z XVIII w. Tak zwana jajecznica inaczej to właściwie omlet z jaj, posypywany pietruszką i siekaną cebulą, czasem przyrządzany z nerkami cielęcymi, ze szparagami, z truflami, ze smardzami, z pieczarkami. Jest też oczywiście jajecznica z wędzonymi śledziami. Ciekawie zaś przygotowuje się jaja smażone – smażąc „trzy jajecznice o trzech jajach każda", doprawiając je pietruszką, cebulą, solą i pieprzem. Następnie każdą kroi się na dwoje i powstałe w ten sposób sześć kawałków moczy dodatkowo w ubitym jajku, posypuje tartym chlebem, stawia na ogniu po raz kolejny, podając obłożone smażoną pietruszką.

Do tego wszystkiego można dodać przepis dawny, słowiańsko-chłopski, mianowicie jajecznicę z dodatkiem pokrzyw. Przygotowujemy ją prosto – najpierw zbieramy gałązki młodej pokrzywy, płuczemy je, smażymy na maśle, na koniec dorzucamy rozbite jajka i mieszamy. Jak podają Hanna i Paweł Lisowie, można zamiast pokrzywy użyć także podagrycznika, gwiazdnicy albo rdestu wężownika. ©℗

FOT. FOTOLIA

Sztuka mięsa z jajecznicą

Smażymy z 10 jaj jajecznicę z gotowaną szynką pokrojoną w kostkę. Bierzemy kawałek mięsa wołowego na zrazy, rozbijamy, wałkujemy, solimy. Kładziemy do środka jajecznicę i zawijamy mięso tak, aby miało kształt „podługowatej bułki chleba". Następnie wsadzamy do pieca, najlepiej chlebowego, obkładamy plastrami słoniny lub kawałkami masła. Pieczemy, aż mięso stanie się miękkie, a podając na stół, możemy zalać mocnym sosem z bulionem, jeśli jest zbyt suche.

Jajecznica z mąką

Trzy jajka wbijamy do miski lub garnka, mieszamy, dosypując garść przedniej mąki, rozcieramy łyżką do czasu, aż nie będzie grudek i wszystko przybierze postać jednolitej mieszaniny. Następnie doprawiamy solą i pieprzem, wylewamy na gorący olej lub masło na patelnię i smażymy jak zwykłą jajecznicę.

eprasa.pl 71a92482cc

WEGAŃSKĄ SŁODKOŚĆ POLECA PAULINA HOLTZ

Zawsze byłam, niestety, fanką słodyczy. Moja cudowna babcia Amelia robiła obłędne bezy. Potrafiłam napisać do niej kartkę z wakacji z prośbą, aby upiekła je na mój przyjazd. Ta ilość cukru musiała być dla mnie zabójcza, ale rozkosze podniebienia były tego warte. Teraz na co dzień staram się oczywiście ograniczać słodycze, ale są takie chwile, że marzę o takim prawdziwym, smacznym, glutenowym i słodkim cieście.

W mojej diecie wegańskiej największym wyzwaniem są właśnie ciasta. Rzeczywiście, pieczenie wegańskich słodkości wydaje się niesamowicie wymagające, ponieważ nie każdy wie, jakie stosować zamienniki jajek i masła. Jest jednak takie ciasto, które nie dość, że robi się błyskawicznie, to jeszcze jest z owoców, dość nietypowych jak na ciasto, ale efekt jest powalający. I właściwie nie ma szans, żeby nie wyszło. Recepturę znalazłam na blogu jednej z najsłynniejszych gotujących weganek, czyli Jadłonomii (www.jadlonomia.com).

Uważam, że można używać tego ciasta jako bazy i – na przykład – jak klasyczny piernik przełożyć powidłami. Albo dodać kawałki czekolady do surowego ciasta. Nadaje się idealnie jako drugie śniadanie, ciasto świąteczne czy szybkie ciasto dla niespodziewanych gości.

Składniki:

• szklanka krojonych pomidorów z puszki • banan • ½ szklanki oleju • ½ szklanki cukru • 2 szklanki mąki • łyżeczka sody • ½ łyżeczki proszku do pieczenia • łyżeczka cynamonu • łyżeczka imbiru • ½ łyżeczki soli.

Do lukru: ¼ łyżeczki cukru pudru • ½ łyżeczki suszonego imbiru lub przyprawy do piernika • odrobina ciepłej wody.

Przygotowanie:

Szklankę pomidorów z puszki dokładnie zmiksować. Dodać banana, olej, cukier i jeszcze chwilę miksować na gęsty, puszysty krem. Osobno wymieszać pozostałe suche składniki, potem wszystko połączyć i krótko wymieszać. Przełożyć ciasto do keksówki wyłożonej papierem do pieczenia, wstawić do rozgrzanego wcześniej do temp. 180 st. C piekarnika i piec 40–50 min na złoty kolor. Ostudzić i polać lukrem przygotowanym z podanych składników. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM PAULINY HOLTZ

Paulina Holtz jest aktorką teatralną i filmową.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Plastik zakałą ludzkości

Elegancka pańcia w lokalnym supermarkecie bierze przy kasie co najmniej 10 foliowych torebek. Darmowych oczywiście. Dwie śmietanki, chleb, pomidory ładuje do osobnej siateczki. Wrzuca zakupy do wypasionej bryki.

Konstancińska dama lubi czystość i porządek. Czy nie przeszkadza jej widok torebek fruwających po lesie? Nie mogła trzymać w samochodzie torby na zakupy? Zamiast do woreczka, kartkę z ceną przykleić do brokuła czy banana? Nie wie, że setki ton tego plastiku leżą w lasach, morzach, rzekach? I że duszą się od niego ryby, zwierzęta, że rozkłada się setki lat? Nie łączy tego z osobistym aktem zapakowania trzech cebul do torebki foliowej?

Cieszy mnie projekt obłożenia plastikowego paskudztwa opłatami, bo tylko pieniądze zadziałają. Apele o dbanie o środowisko Polaków nie ruszają. Na pańci z Konstancina to nie zrobi wrażenia. Nawyki są po prostu silniejsze.

Polak produkuje rocznie ponad 300 kg śmieci. Zdecydowana większość, bo 63 proc. odpadów, trafia na wysypisko, tylko 16 proc. do recyklingu. Na każdym targu sprzedawca ma gruby zapas foliówek, chętny zapakować w nie parę jabłek. Dziwi się na moje: „Proszę bez torebki", przekonuje, że jednak z torebką lepiej. Kiedy zaczyna się sezon grzybobrania, z zagajników wokół naszego domu na krańcu Ursynowa zbieram codziennie dobrą dziesiątkę puszek i foliówek. Grzybobranie jest nierozerwalnie związane ze śmieceniem.

Na świecie powoli powstają sklepy, do których przychodzi się z własnymi pojemnikami. W Berlinie od roku działa supermarket bez opakowań i foliowych siatek przy kasach. Założycielki, Sara Wolf i Milena Glimbowski, pieniądze na otwarcie biznesu zebrały w kampanii crowdfundingowej. Pierwszy sklep bez opakowań mamy także w Warszawie. Nazywa się Nagie z Natury. Ciekawe, że założyli go nie Polacy, ale Hiszpan, Mark Navarro, ze swoją rodaczką Carlą. Ziarna, mąki, ryż, ciasteczka kupuje się tam na wagę – można je spakować do torebki papierowej albo do przyniesionego z domu opakowania. Na razie taka inicjatywa wydaje się kaprysem bogatych, bo sklep znajduje się w zamożnej dzielnicy, ale prędzej czy później trzeba się będzie zreformować. Koszt niewielki – taszczenie do domu szklanych butelek na mleko, kefir, śmietanę. Trochę niewygody, ale korzyść dla zdrowia, no i warto się pomęczyć dla dobra naszych wnuków.

Ciekawe, jak sobie z tym poradzi konstancińska „lejdi". ©℗

eprasa.pl 71a92482cc

NASZ TEST: MERCEDES GLA 220 4MATIC

Według producenta jest to SUV. Tak naprawdę najmniejszy crossover z gwiazdą na przedzie to zgrabnie wyglądający podwyższony kompakt z miękkim, komfortowym zawieszeniem i przyzwoitym prześwitem (16,4 cm), który pozwala na w miarę bezpieczny zjazd z asfaltu na bezdroża.

W KABINIE

Eleganckie wnętrze spełnia wymogi samochodu klasy premium. Fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało podczas jazdy. Na miejscu kierowcy siedzi się wyżej niż w tradycyjnym kompakcie, ale niżej niż w większości typowych SUV-ów. Niestety, wewnątrz jest dość ciasno. Miejsca nad głową jest mało – osoby o wzroście przekraczającym 180 cm muszą się więc przyzwyczaić do bliższej znajomości z podsufitką. Niewiele przestrzeni jest też na tylnej kanapie – na auto rodzinne GLA 220 raczej się więc nie nadaje. Bagażnik o pojemności 421 l jest już jednak w miarę przyzwoitej wielkości.

JAZDA

Testowany mercedes z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 184 KM od 0 do pierwszej setki przyspiesza w nieco ponad 7 s. Crossover najlepiej sprawuje się na tradycyjnych drogach, choć całkiem przyzwoicie radzi sobie również poza asfaltem. Na pochwałę zasługują m.in. system regulacji prędkości podczas zjazdu oraz sterowany elektronicznie układ 4Matic, który zapewnia dobrą przyczepność na śliskich i grząskich nawierzchniach.

Na dziurach i wybojach dobrze sprawdza się bardzo miękkie zawieszenie, które świetnie tłumi także nierówności na miejskich drogach.

Wprawdzie w tej wersji silnikowej trudno uznać GLA za sportowe auto, jednak dynamiczne prowadzenie na serpentynach i nie tylko ułatwione jest dzięki precyzyjnemu układowi kierowniczemu. Auto jest zwinne. Automatyczna siedmiostopniowa skrzynia biegów działa bez zarzutów. Mimo to GLA 220 nie należy do tych modeli Mercedesa, które sprawiają, że na twarzy kierowcy błyskawicznie pojawia się szeroki uśmiech.

BEZPIECZEŃSTWO

Mercedes GLA w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobył komplet pięciu gwiazdek. System Attention Assist monitoruje zachowanie kierowcy i zapobiega zaśnięciu za kierownicą. Elektroniczni asystenci ostrzegają też przed samochodami w martwym polu lusterek oraz alarmują przed niezamierzoną zmianą pasa.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Tym, którzy mają kłopoty z parkowaniem, spodoba się system kamer 360 stopni, które nie tylko ułatwiają poruszanie się po zatłoczonych parkingach, lecz także sprawdzają się podczas manewrowania na szlakach offroadowych (nie zalecamy jednak wjazdu tym autem w trudniejszy teren).

CENA

Model GLA 180 w najtańszej wersji z silnikiem o mocy zaledwie 122 KM i sześciobiegową skrzynią kosztuje 124 tys. zł. Za GLA 220 z napędem na cztery koła, automatyczną skrzynią biegów i silnikiem o mocy 184 KM trzeba zapłacić co najmniej 153 tys. zł. Najmocniejsza wersja z 381 końmi pod maską to już koszt przekraczający 252 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q3, BMW X1, Honda HR-V, Hyundai Tucson, Infiniti QX30, Range Rover Evoque ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ: JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 71a92482cc

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ KSIĄŻKA P. LISICKIEGO „LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI."

KIM BYŁ MARCIN LUTER? REFORMATOREM, KTÓRY Z MIŁOŚCI DO PRAWDY WYSTĄPIŁ PRZECIW NADUŻYCIOM PAPIESTWA? CZY REBELIANTEM, PREKURSOREM PÓŹNIEJSZYCH REWOLUCJONISTÓW?

W OSTATNICH LATACH OBRAZ LUTRA ULEGŁ CAŁKOWITEJ PRZEMIANIE. ZA SPRAWĄ LICZNYCH WYPOWIEDZI KARDYNAŁÓW WALTERA KASPERA, KURTA KOCHA CZY KARLA LEHMANNA STAŁ SIĘ Z WOLNA NAUCZYCIELEM WIARY I WZOREM DO NAŚLADOWANIA DLA KATOLIKÓW.

JEST TO KSIĄŻKA O PRAWDZIWEJ TWARZY MARCINA LUTRA I O TYM, CZY OBECNE DĄŻENIE DO JEGO REHABILITACJI PODYKTOWANE JEST DĄŻENIEM DO PRAWDY CZY TEŻ JEST EFEKTEM ZDRADY.

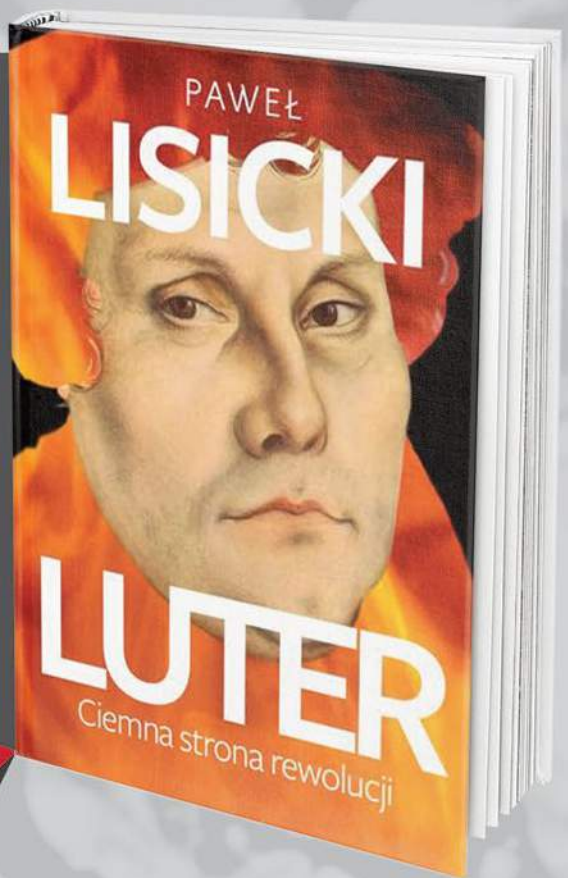

142 zł

oszczędność 77 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 71a92482cc

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Sojusz przez biznes

MARCIN MAKOWSKI: Przez ostatnie dwa tygodnie nie wychodziłeś z samolotów i ze spotkań z politykami. Zacznijmy od tego, co robiłeś w Nevadzie. Dlaczego w ogóle nasz czytelnik powinien się tym interesować?

MATTHEW TYRMAND: Może ze względu na związek z polską polityką? Faktycznie w ostatnim czasie uczestniczyłem wraz z senator Anną Marią Anders w dyplomatycznej i gospodarczej misji w Nevadzie, która rozpoczęła się w Reno. Właśnie tam gubernator Brian Sandoval otrzymał z rąk Anders odznaczenie Amicus Poloniae za rozwijanie relacji handlowych z Polską. Myślę, że mało osób zdaje sobie z tego sprawę, ale największa polska inwestycja w USA znajduje się właśnie w Nevadzie, w miejscowości Robinson, gdzie KGHM kupiło kopalnię miedzi oraz złota. To również największa inwestycja zagraniczna samej spółki. Dlatego istotne jest, aby wspierać podobne przedsięwzięcia z obu stron, szczególnie że coraz więcej polskich firm interesuje się inwestowaniem w Ameryce. Zwłaszcza w stanie Nevada, przenosząc się m.in. z Kalifornii i Ohio. Dzieje się tak ze względu na liberalną politykę podatkową, która pomaga w rozwoju biznesu bez nadmiernych obciążeń fiskalnych.

Nevada to jednak przede wszystkim Las Vegas z ok. 20-tysięczną Polonią.

W mieście, jeszcze przed tragicznym zamachem, rozmawialiśmy z burmistrz Carolyn Goodman na temat wykorzystania potencjału tych ludzi. W pewnym sensie może w tym pomóc otwarcie bezpośredniego połączenia LOT-u pomiędzy Warszawą a Las Vegas, na temat którego obecnie trwają rozmowy. Wydaje mi się, że Ministerstwo Rozwoju i wszystkie instytucje odpowiedzialne za wymianę gospodarczą powinny się dzisiaj mocno zainteresować wzmocnieniem relacji z Nevadą. Warto potraktować lokalne success story KGHM jako przykład ekspansji w innych stanach z liczną populacją Polonii, czyli np. w Nowym Jorku oraz na północnym wschodzie USA.

Jednak to się już dzieje. Planowane jest utworzenie konsulatu w Houston oraz Seattle.

To właściwy kierunek, ale konsulatów powinno być więcej i muszą być otwierane szybciej. Transfer kulturowy, technologiczny i gospodarczy pomiędzy Polską a USA rozkwita, również ze względu na sojusz polityczny. Nie można tej szansy zmarnować. Houston jest pod tym względem kluczowe, bo – jak pokazała wizyta Trumpa w Warszawie – wymiana gospodarcza między Stanami Zjednoczonymi a Europą Wschodnią będzie dotyczyła w dużej mierze sektora energetycznego. Houston stanowi centrum amerykańskiego rynku energetycznego i na tym strategicznym odcinku należy skupić uwagę odpowiedzialnych ministerstw. Tymczasem gdy senator Anders poleciała do Nowego Jorku, by załatwić sprawy związane z Paradą Pułaskiego, miałem okazję zająć się amerykańską polityką w Colorado Springs podczas debaty konserwatywnej organizacji Council of National Policy. Stephen Bannon był na miejscu, wreszcie pojawiła się okazja do nadrobienia zaległości.

Jak sobie radzi poza Białym Domem?

Znacznie lepiej, gdy nie siedzi w klatce tych układów personalnych. W tej chwili lata po całych Stanach, rekrutując kontrkandydatów w regionalnych wyborach do Kongresu, którzy wystartują z bardziej populistycznym i konserwatywnym programem przeciwko słabym republikanom. To efekt uświadomienia sobie, że rewolucja, która rozpoczęła się w 2016 r., musi być dzisiaj kontynuowana poza Waszyngtonem. Czasami jednak nawet tam wydarzy się coś dobrego, bo rozmawiamy chwilę po otwarciu wystawy poświęconej armii Andersa w Kongresie. Na miejscu oprócz senator obecni byli Adam Bielan i ambasador Piotr Wilczek. Nie bez powodu ich nazwiska często przewijają się w naszych rozmowach. To tylko jeden z przykładów, jak konsekwentnie trzeba walczyć o pozycję Polski w relacjach z USA. Historia potrafi w tym pomóc. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 71a92482cc

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

SOBOTA 20:30 Gry tajnych służb

Niewyjaśnione samobójstwa, niewykryte morderstwa w III RP

PONIEDZIAŁEK 20:30 Tweet-up Telewizji Republika

Interaktywnie przez Twitter

PIĄTEK 20:50 Oddaję Państwu głos

Widzowie zadają pytania NA ŻYWO naszym gościom

eprasa.pl 71a92482cc

OKIEM BLOGERKI

Katujmy dzieci

KATARYNA

HANNA BAKUŁA: Jeżeli odpuścimy, to będzie kupa kalek, bękartów i dzieci z wadami!

To sprzed roku, ale dziś jeszcze bardziej aktualne. W przeciwieństwie do ubiegłorocznego czarnego marszu, który był protestem przeciwko obywatelskiemu projektowi wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji, tegoroczna jego powtórka nie jest już „przeciwko", jest bardzo „za". W całej Polsce trwa zbiórka podpisów pod projektem ustawy liberalizującej aborcję, w tym roku pod hasłem: „Ratujmy kobiety" promowany jest projekt ustawy dopuszczającej nie tylko aborcję na życzenie do 12. tygodnia ciąży, lecz także późne aborcje – aż do 24. tygodnia ciąży – gdy „występuje prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu" – i aż do dnia porodu, gdy „upośledzenie lub choroba uniemożliwia płodowi samodzielne życie". A to wszystko pod hasłem: „Ratujmy kobiety".

Samozwańcze obrończynie kobiet przygotowały wyjątkowo okrutny projekt dopuszczający faktyczne dzieciobójstwo

Ciekawe, ile osób, podpisując się pod projektem ustawy komitetu „Ratujmy kobiety", ma świadomość, że poparło zabijanie dzieci z zespołem Downa – bo niewątpliwie jest to „ciężkie i nieodwracalne upośledzenie", które już na mocy obecnej ustawy jest przesłanką do legalnej aborcji – nawet wtedy, gdy dziecko osiągnęło już zdolność do samodzielnego życia poza organizmem matki i może zostać wyabortowane całkiem żywe.

Użyte w projekcie terminy – „ciężkie i nieodwracalne upośledzenie", „upośledzenie lub choroba uniemożliwiająca samodzielne życie" – są tak pojemne, że spokojnie zmieści się w nich to, co się będzie chciało tam upchnąć, zwłaszcza że ustawa nie wymaga nawet pewności co do rozpoznania, mowa jest dużo bardziej miękko o „występowaniu prawdopodobieństwa". Ratujmy kobiety przed dziećmi z wadami. Samozwańcze obrończynie kobiet przygotowały wyjątkowo okrutny projekt dopuszczający faktyczne dzieciobójstwo, nawet jeśli na użytek własnego sumienia nazywają je sobie eufemistycznie „egzekwowaniem praw reprodukcyjnych". I trzeba o tym głośno mówić.

Trzy lata temu we wrocławskim szpitalu dziecko z zespołem Downa przeżyło legalną aborcję wykonaną w 23.–24. tygodniu ciąży i przez wiele godzin umierało w męczarniach, bo polskie prawo, co prawda, pozwala zabić takie dziecko w brzuchu matki, ale jeśli już się poza tym brzuchem znajdzie i jeszcze żyje, to nakazuje je reanimować, przedłużając mu zaplanowaną i oczekiwaną agonię. Niestety, autorki projektu „Ratujmy kobiety" nie przewidziały w nim prawa do dobicia dziecka, które wbrew woli matki i mimo wysiłku aborterów przeżyje własną śmierć. Jeśli projekt dopuszczający bardzo późne aborcje przejdzie, to sytuacje takie jak ta z Wrocławia mogą stać się codziennością w polskich szpitalach. Zapis dopuszczający dobijanie dzieci byłby tylko logiczną konsekwencją ustawy opartej przecież na założeniu, że dziecko jest własnością matki i ma ona prawo się przed nim ratować, jak chce.

Bo uzurpowanie sobie prawa własności dziecka oburza tylko wtedy, gdy jakaś matka nie chce po urodzeniu zaszczepić swojego dziecka. Zabić je przed urodzeniem to jej suwerenna decyzja. ©℗

PODSŁUCHANE

Broń dla każdego

Kinia, czego płaczesz? To z powodu „Anny Kareniny"?
Kogo, Michał? Ona jest z PiS?
Nie, to tytuł tej książki Bułhakowa, co cię Mazurek pytał.
Aaa, to. Zapomniałam, teraz czytam „Furdyderkę" Miłosza. Ale to nie dlatego. Ja się boję tak strasznie!
Ale czego, Kinia?
Że jak już wejdzie ta nowa ustawa o broni, to wszyscy się powystrzelamy. Tutaj, w Sejmie, także.
No fakt. Wesoło nie jest. Wyobraź sobie Brudzińskiego z pistoletem.
Broń jest straszna! Raz mi dali potrzymać pistolet, nienaładowany oczywiście. Obrzydliwość, mówię ci! Szybko wypuściłam z ręki. Ty strzelałeś kiedyś?
Raz. To znaczy raz wystrzeliłem. Kolega mnie na strzelnicę zabrał, strasznie mnie męczył, to poszedłem. Dał mi pistolet do ręki, ten mi jakoś sam wystrzelił, huk straszliwy, przewróciłem się. Koszmar po prostu! Poza tym to jakiś absurd, żeby się bronić bronią. My mamy przecież co innego do samoobrony.
Tak – konstytucję! Ja nawet noszę taką w twardych okładkach, zobacz. Jak dam tym w łeb! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Za chwilę w drodze zwykłej ustawy dowiemy się, że Jarosław Kaczyński jest królem Polski".

KAMILA GASIUK-PIHOWICZ,
posłanka Nowoczesnej, w radiowej Trójce

eprasa.pl 71a92482cc

Che, che, che!

fot. Jerzy Gumowski

Właśnie dzisiaj — 9 października — mija pół wieku od zgonu *„Che”* Guevary. I tyleż czasu trwa globalny kult tego kata wykazującego iście ludobójczą predylekcję. Rzecz wielce osobliwa, że całe 50 lat dla miliardów ludzi młodych i *„ciągle młodych”* (zwłaszcza dla weteranów ruchu hippisowskiego i paryskiej rewolty ’68) bożyszczem, którego twarz to święte logo noszone na koszulkach, jest krwawy oprawca w służbie totalitarnego reżimu. Liczne pokolenia młodzieży noszącej te koszulki świadczą o tym jak łatwo przychodzi salonowemu lewactwu robienie wody z niedojrzałych mózgownic. Podobno niektórzy dojrzewają jednak i wyzbywają się kultu Guevary, czego dowodem mają być: najbardziej radykalny antybolszewicko minister rządu pani Szydło i jeden z pisowskich wicemarszałków Sejmu.

Ernesto Guevara, ksywa *„Che”* (co znaczy *„Stary”* — tym zwrotem Guevara *„tykał”* każdego), pierwszoplanowy *„companero”* (towarzysz) Fidela Castro z rewolty 1959, również został ministrem. Gdy bowiem zwycięski Castro zebrał swych pupilów przy jednym stole, by utworzyć *„rewolucyjny rząd”*, potrzebował szefa do spraw finansów, spytał więc czy wśród obecnych są ekonomiści. Rękę uniósł tylko Guevara i dostał stanowisko. Później się okazało, że miał akurat ciężkiego kaca, dlatego źle usłyszał pytanie — myślał, że chodzi o to, czy na sali są komuniści. Jako prezes Banku Narodowego bardzo szybko doprowadził gospodarkę Kuby do dna, a społeczeństwo do nędzy ekstremalnej.

Kochał nie tylko pić, lecz i gnębić ludzi, katować, mordować. Był okrutnym zwyrodnialcem pokroju Marata czy Dzierżyńskiego. W hawańskim więzieniu La Cabana osobiście torturował i *„eliminował”* mniemanych wrogów reżimu, gdyż ta robota sprawiała mu sadystyczną przyjemność. Wieśniaków rozstrzeliwał w masowych egzekucjach (o jednej z takich rzezi redakcja **„Observera”** wyraziła zdanie: *„Największy masowy mord kubańskiej rewolucji”*). Pragnąc rzezi większych pognał ze swymi zbirami za ocean wyzwalać Afrykę *„kałachem”*, lecz ta armijna interwencja kubańskich marksistów przyniosła *„wyzwalanym”* regionom Czarnego Lądu tylko Armagedon. Śnił się Guevarze Armagedon dużo okazalszy, atomowy, realizowany rakietami balistycznymi, jakie Moskwa zainstalowała u Castro. Nikita Chruszczow się wtedy przestraszył i powstrzymał, ku wściekłości *„Che”*, który krzykiem i biciem pięścią w stół żądał, by je bezzwłocznie wystrzelono ku głównym miastom Stanów Zjednoczonych. Dowiedziawszy się o tym publicysta brytyjski Christopher Hitchens (ekswielbiciel Guevary, zwący siebie *„nieugiętym marksistą”*) zrzucił bielmo z oczu: *„To już było dla mnie nazbyt dużo. Nie można być rewolucjonistą, który pragnie wyzwolić świat, i jednocześnie ludobójcą, który chce wcisnąć atomowy guzik”*. Polski publicysta, Mirosław Skowron: *„Czym Guevara różni się od Hitlera? Tylko skalą i możliwościami, plus tym, że wódz III Rzeszy nigdy osobiście nie torturował i nie mordował (...) Guevara zakładał na Kubie obozy koncentracyjne, gdzie wykańczano ludzi, chciał także w imię doktryny mordować miliony bronią atomową”*. I jeszcze biograf Guevary, Lawrence Osborne: *„Był autorem przemówień gorszych niż faszystowskie, bezwzględnym zabójcą, bandytą mordującym w imię chorej ideologii”*. Wszystko to jest prawda. *„A jednak, wbrew wszystkiemu, mit «Che» trwa wciąż”* — napisał słusznie Sean O’Hagan kilka lat temu.

> *Lawrence Osborne: „Czerwoni bezbłędnie wykorzystali jego samczy urok, tworząc godło pełne siły erotycznej”*

Globalnie mit ów eksplodował gdy armia boliwijska wspomagana przez CIA dopadła *„Kubańca”* w górskiej wiosce, gdzie Guevara *„wyzwalał Amerykę Łacińską”* nie mogąc zrozumieć czemu tamtejsi chłopi uciekają przed jego partyzantami, vulgo: czemu mylą *„companeros”* z *„bandidos”*. Śmierć herszta nie była ani bohaterska, ani rycerska — wydany przez wieśniaków dostał kulę w łeb klęcząc. Niby nie nadawało się to na poemat heroiczny, ale lewica ma (od zawsze) wybitny talent do *„strugania z banana”* spiżowych figur i czynienia ich obiektem kultu *„internacjonalistycznego”*. Zaczął guru europejskiego lewactwa czasów powojennych, stalinista francuski Jean–Paul Sartre, ogłaszając Guevarę *„najpełniejszą istotą ludzką ery współczesnej”*. I pooooszło! Goszystowski świat oszalał na punkcie Guevary. Marksistowska inteligencja równała go z Mesjaszem, młodzież z Robin Hoodem — stał się *„wiecznie żywy”*, choć nie jak Lenin, raczej jak Elvis (mianowano go *„Elvisem Presleyem rewolucji”*). Ikonę totalną uczynił z niego przemysł — okazało się, że można robić fortuny na jego wizerunku, którym ozdabiano wszystko, od T–shirtów do gadżetów. Ten wizerunek — przystojna gęba długowłosego/wąsatego *„Che”* w partyzanckim berecie z pięcioramienną gwiazdą — to zdjęcie wykonane przez legendarnego fotografa Alberto Kordę siedem lat przed śmiercią idola (1960).

Upływające dekady nie gasiły kultu *„Che”* wśród kolejnych generacji młodych *„pożytecznych idiotów”*, bo starzy *„pożyteczni idioci”* mający globalną sławę ciągle dorzucali paliwa do tego pieca. A to Madonna przebrała się za Guevarę na okładce swej płyty **„American Life”**, a to Robert Redford sfinansował gloryfikujący *„kubańskiego świątka”* film Brazylijczyka Waltera Sallesa **„Dzienniki motocyklowe”** (młodziutki Guevara jako romantyczny/idealistyczny wędrowiec, chodząca, czy raczej jeżdżąca, niewinność/poczciwość) — i proguevarystowskie *„show must go on”* funkcjonowało dalej w najlepsze, ogłupiając pokolenie za pokoleniem bez trudu, bo młodzi łakną idoli wciskanych im przez *„kulturę masową”* (którą dyryguje Salon), a nie wciskanej przez zgredowe belferstwo prawdy historycznej pełnej brzydkich faktów. Ci, co podróżują wzdłuż i wszerz globu, wszędzie dziś widzą na piersiach młodych ludzi uroczą mordę *„Che”* Guevary. Wielu spośród tych młodych ludzi nie dałoby rady odpowiedzieć na pytanie czyja to gęba. Zwłaszcza panienki. L. Osborne: *„Brodaty macho owinął je sobie łatwo wokół małego palca”*. Ejże! — czy aby na pewno małego?

Kości Guevary spoczywają w mauzoleum na przedmieściach Santa Clara. Przez dekady było to dla ogłupionych castryzmem Kubańczyków miejsce quasi–religijne, pielgrzymki tłoczyły się tam bez ustanku. Czy teraz, po śmierci Fidela, dalej tak będzie? I czy *„megakult Guevary, równie baśniowy co świat Alicji z Krainy Czarów”* (O’Hagan) przetrwa dekady kolejne? To możliwe, bo perfidna wredność lewaków (i głupota młodych frajerów tumanionych przez lewaków) jest równie niezmierzona jak cierpliwość T–shirtów. ©℗

Waldemar Łysiak

PS. Gdy już jesteśmy przy Ameryce Łacińskiej: Angela Merkel kupiła sobie właśnie dużą rezydencję w Urugwaju. Ten adres ucieczki Niemcy z powodzeniem przetestowali 70 lat temu.

eprasa.pl 71a92482cc

BOSS
HUGO BOSS
watches

eprasa.pl 71a92482cc